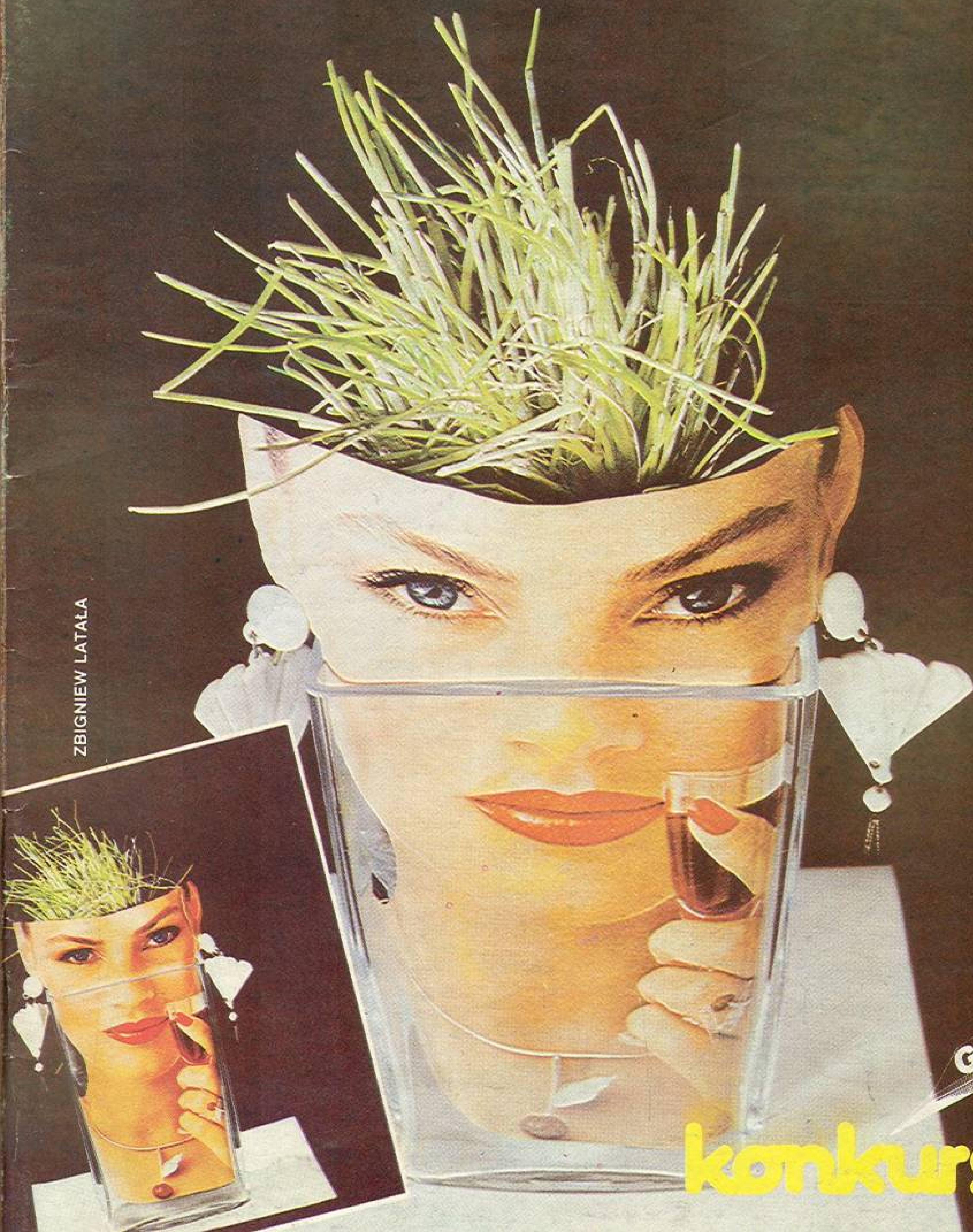
MIESIĘCZNIK 6(57) CZERWIEC 1987 CENA 100 ZŁ

fantastyka

PL ISSN 0209-1631
NR INDEKSU 35839



ZBIGNIEW LATAŁA

Alicja w krainie czarów



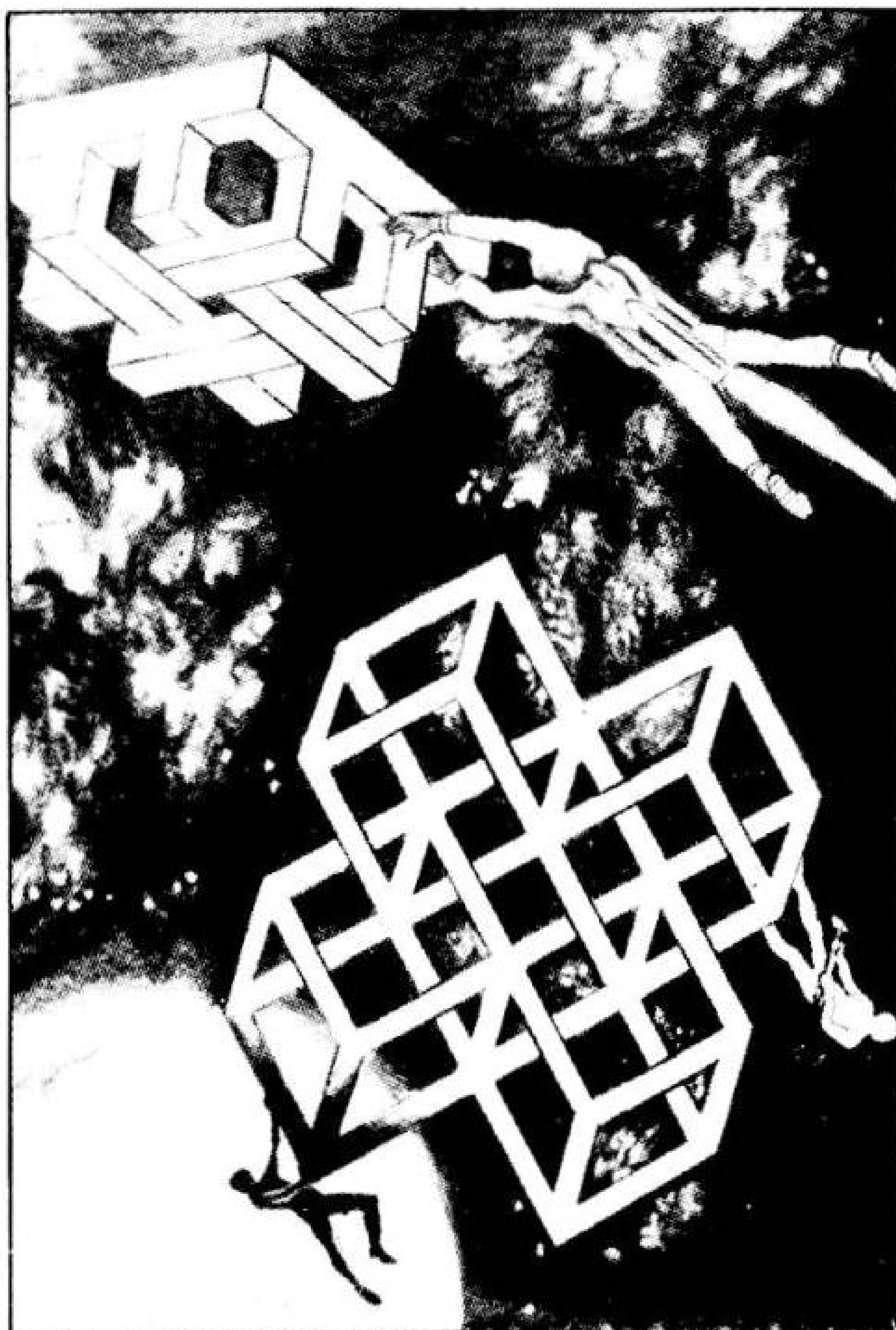
ANDRZEJ OLICHWIER II nagroda w konkursie fotograficznym

Sportowa Agencja Fotograficzna „SpAF" podjęła się w ubiegłym roku organizacji I Ogólnopolskiego Konkursu Fotografii Fantastycznej „Alicja w krainie czarów" (informowaliśmy o tym w „Fantastyce" nr 11/86). Temat tego konkursu był dużym zaskoczeniem. Organizatorzy otrzymali wiele listów i telefonów z zapytaniami, jakie powinny być zdjęcia i co powinny przedstawiać. Te pytania potwierdziły opinię, że większość uczestników konkursów podchodzi konformistycznie do fotografii i oczekuje podania im na talerzu recepty na wykonanie niekonwencjonalnego zdjęcia.

Mimo dużego zainteresowania, wiele osób nie zdecydowało się na wysłanie swoich zdjęć. Wolały one przeczekać pierwszy konkurs, zobaczyć prace laureatów i wzorując się na nich wziąć udział w drugim konkursie. Skutek był taki, że nadesłano 123 prace 44 autorów o bardzo zróżnicowanym poziomie technicznym i interpretacji tematu.

Jury konkursu w składzie: Kazimierz HELEBRANDT (ZPAF) – przewodniczący, Andrzej BRZEZICKI (miesięcznik literacki „Fantastyka"), Zenon HARASYM (ZPAF), Stanisław JABŁONKA (zakład fototechniki Politechniki Wrocławskiej) i Adam SOBOTA (Muzeum Narodowe – Wrocław) postanowiło pierwszej nagrody nie przynawać. Drugą nagrodę ex aequo (po 20 tys. zł) otrzymali: Andrzej OLICHWIER z Białegostoku i Marian ORZOŁ z Tarnowskich Gór, zaś trzecią (10 tys. zł) – Bolesław PRUS z Ciechanowa. Dwa wyróżnienia (po 5 tys. zł) otrzymali: Piotr BERNACKI z Tarnowa i Dariusz ZARĘBA z Pucka. Nagrodę specjalną dla najlepszej pracy studenckiej (20 tys. zł) przyznano zdobywcy drugiej nagrody Andrzejowi OLICHWIEROWI – studentowi Uniwersytetu Warszawskiego (filia Białystok). Ogółem jury zakwalifikowało na wystawę 43 prace 28 autorów.

W naszej „Galerii" przedstawiamy niektóre z nagrodzonych prac. ■



Stanisław Komarek

FIGURY NIEMOŻLIWE

Po niemożliwie długim czasie przedstawiamy najlepsze z prac, jakie wpłynęły na ogłoszony w zeszłym roku konkurs. Przy ich ocenie braliśmy pod uwagę trzy kryteria: prawidłowość użycia „figur niemożliwych", poziom artystyczny oraz jakość techniczną prac, co wiąże się z możliwością reprodukcji w naszym piśmie.

Wśród wybranych znajdują się prace dzieci i dorosłych, plastyków i amatorów, o uniemożliwia porównywanie ich między sobą. Przyznanie miejsc pierwszego, drugiego... itd., zostawiamy więc samym Czytelnikom. Ale robimy tu wyjątek dla pracy MARIANA THIEDE z Tucholi, szczególnie wyróżniającej się spośród 467 prac, które zostały nadesłane do naszej redakcji.

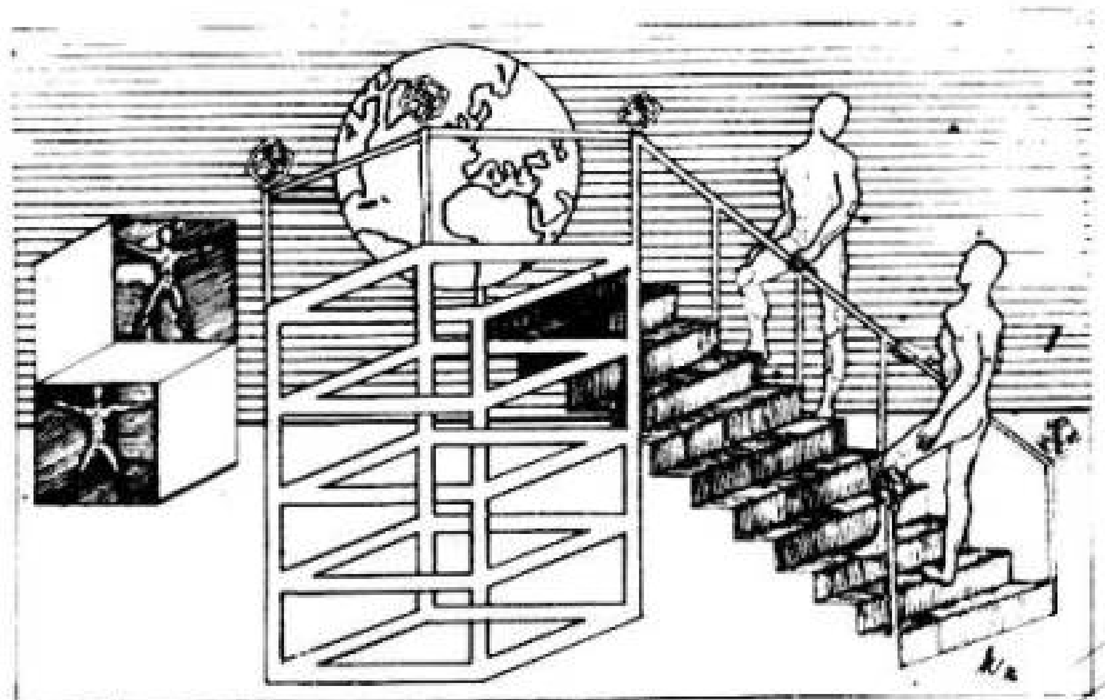
W naszej „niemożliwej" GALERII prezentujemy rysunki: STANISŁAWA KOMARKA z Czeskiego Cieszyna, MARIANA THIEDE z Tucholi, URSZULI GŁADYSZ i KATARZYNY HEINRICHT z Wrocławia, ROBERTA MARCINKOWSKIEGO z Krakowa, MAŁGORZATY SAWKO z Koszalina i CZESŁAWA KABALI z Gdańska.

Mimo prawie pięciuset prac nadesłanych na nasz konkurs, tylko niewielka ich liczba przedstawiała zadowalający poziom. Dlatego z prawdziwą przyjemnością drukujemy te, które uważamy za najlepsze.

W nastepnych numerach postaramy się zamieścić jeszcze kilka rysunków zasługujących naszym zdaniem na uwagę.

I jeszcze jedna uwaga: panowie – dziewczyny w natarciu!

Andrzej Brzezic



STANISLAV KOMÁREK

„Figury niemożliwe" i „Alicja w krainie czarów" to tematy dwóch konkursów ogłoszonych w zeszłym roku. Oba są już rozstrzygnięte – w naszej „Galerii" prace laureatów! Czy odbiegają one choć trochę od stereotypów, tak trafnie wychwyconych przez Grzegorza Filipa w jego eseju „Świat plastyki fantastycznej" (str. 58) – oceńcie Państwo sami.

...3...2...1...



Nie po raz pierwszy podziwiam tempo zmian świata, w którym żyjemy: chyba nigdy tak szybko nie starzały się domy, ulice, nie mijały mody, nie goniły tak zjawiska polityczne i kulturowe, jak to się dzieje obecnie.

A my za tym galopem doskonale nadążamy i wcale on nas nie dziwi, właściwie to nawet go nie zauważamy. W „Życiu Literackim" leci zakazany do niedawna „Doktor Żywago" oraz... dalszy ciąg powieści o pani zmienionej przez krokodyla. W „Odrze" Stanisław Lem drukuje, jak gdyby nie zważając na to, co dotychczas długo już głosił – prawdziwą fantastykę: „Fiasko", nawiązujące do całego nurtu literackiego science fiction o próbach kontaktu między dwiema różnymi kulturami. Czyżby był to galopujący powrót do własnego początku pisarstwa, do powieści z okresu zamkniętego niegdyś opublikowaniem „Solaris"?

Tak jakoś przyzwyczailiśmy się w fantastyce do tego, że Lem zawsze kreuje nowe epoki fantastyczne. Wymknęła mu się wprawdzie z rąk fantasy, nigdy jej nie uprawiał, chociaż on pierwszy rozpoczął jakże dawno temu pisywanie baśni. Były to baśnie filozoficzne, ale mogła na ich kanwie powstawać i fantasy. Nie podjął tej rękawicy, począł się w ogóle wstydzić i zapierać gatunku, który mu dał sławę, zapierał się wielokrotnie swego fantazjowania, dając do zrozumienia, że nadszedł czas na filozofowanie, filozofowanie zrodzone z nauki, z jej niewzruszonych praw. Złamał w ten sposób słynną zasadę wygłoszoną przez twórcę nowoczesnej fizyki Edingtona, która brzmiała: *„Remont, filozofom wstęp wzbroniony"*.

Reakcją na ten nurt twórczości Lema były najpierw oklaski, a później odejście masowej publiczności od tego co głosił.

Napisałem więc nie tak przecież dawno, jeszcze parę miesięcy temu, że dzieje się w literaturze coś przeciwnego jej zwyczajnej drodze rozwojowej, że w fantastyce to co było masowe, takie jak pisarstwo Lema – staje się elitarne, podczas gdy normalna praktyka awansu pisarstwa bywa przeciwna: najpierw nowości podchwytuje elita, a dopiero później się one rozprzestrzeniają.

W fantastyce widocznie działo się odwrotnie. Najpierw istniała masówka (tak było z Lemem), następnie szczytowe osiągnięcia wychwytywała elita. I oto Lem, ten meteor, który oderwał się od masy fantastycznych pobratymców i powędrował w lepsze (?) sfery powraca nagle na starą Ziemię. Najwyższy chyba czas po temu. Byłem ostatnio – niech ten przykład będzie *pars pro toto* – na interesującym spotkaniu z miłośnikami gatunku z Klubu Krakowskiego – i oni, ci miłośnicy, wcale niczego innego nie chcąc dostrzec, oświadczyli mi, iż teraźniejszy Lem bardzo mało ich interesuje jako zbyt mało literacki, zbyt umykający od fabuły, zbyt suchy w swoich przemądrych wywodach.

A przecież spotkanie odbywało się właśnie w Krakowie, w siedzibie jedynego wydawnictwa, któremu Mistrz powierza swoje dzieła do publikacji. Na szczęście – jak to ktoś ostatnio powiedział – Lem przejrzał, zrozumiał swoją elitarność, może poczuł się bardzo samotny w tym swoim locie i postanowił zmienić jego kierunek. Niedługo zobaczymy czy „Fiasko" zadowoli szerokie, najszersze rzesze miłośników science fiction, bo myślę, że jednak ich jest w tym kraju najwięcej i oni ten właśnie gatunek fantastyki najbardziej polubili, chociaż tu i ówdzie, zwłaszcza w listach do nas, podnoszą się głosy za drukowaniem baśni, fantasy, co muszę przyznać jakoś nie bardzo nam, redaktorom pisma „Fantastyka", wychodzi.

Jednakże, proszę zwrócić uwagę, Stanisław Lem nie całkiem zmienił swój pogląd, swój niechętny stosunek do fantastyki. Drukuje przecież najnowszy utwór w piśmie nie mającym z tym gatunkiem wiele wspólnego.

Tak czy owak sytuacja się zmienia. Publiczność mocno przebiera w tym co ukazuje się na rynku księgarskim. Już wiele książek spoczywa na ladach, można im się przyjrzeć, powybrzydzać nad słabością druku, nad małą atrakcyjnością okładek, a równocześnie i nad zawyżonymi cenami. Jakże się cieszę, że plon naszego konkursu zgromadzony w tomie Wydawnictwa Literackiego zatytułowanym „Trzecia brama", nie podzielił losów licznych innych pozycji, czekających ciągle na miłośników –, lecz został w mig rozkupiony. Już kończymy pracować, trudna to robota, nad kwalifikowaniem utworów kolejnego naszego konkursu i jestem głęboko przekonany, że i z jego plonu uda się wykroić niezgorszą książkę, całkiem jednakże inną niż „Trzecia brama". Taka szybka jest rotacja pokoleń literackich i ich twórczości. Inaczej pisało się jeszcze niedawno fantastykę, inaczej pisze się dzisiaj, a z bogatego, tak jest, już dość bogatego dorobku tego gatunku, ciągle jeszcze u nas (ale nie tylko) frapującego spory odłam publiczności literackiej – ostaną się na czas dłuższy jedynie bardzo nieliczne pozycje!

Podobnie zresztą jak to się dzieje w innych dziedzinach sztuki. Szkoda jednak, że tak mało wychodzi drugich i trzecich wydań fantastyki, że gatunek ten – mimo żądań miłośników – rzadko daje satysfakcję powrotów najbardziej lubianym utworom – traktowany komercjalnie przez wydawców, którzy boją się, że na powtórkach nie zdołają zarobić, jest ciągłym wyścigiem nowości, nowości nazbyt rzadko podlegających właściwej selekcji.

10–9–8–7–6–5–4–3–2–1–0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek **Zespół redakcyjny:** Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Łatała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nacz.), Maciej Parowski, (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J.Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-38. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch" Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Oddano do składu [illegible] 1987 r. Druk i oprawa: Pras[illegible] dy Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.
Zam.1452/87,K-4
Nakład 150 000 egz.

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 26 marca 1987 r.

LĄDOWANIE LII

Dziś dyskusja o tym czego brakuje w „Fantastyce", ale jak się okazuje nie tylko w tym naszym piśmie. Oczywiście taka dyskusja musi się zacząć od sprawy najważniejszej dla wielu Czytelników, od wideo, które coraz skuteczniej, wspólnie z telewizją, niszczy kino. Ale jak samo wygląda, właśnie jak?

Pół melona dla chały

Jeśli to prawda, co pisze się w niektórych publikatorach, że w Polsce, w domach prywatnych i w klubach, działa już około pół melona wideo, to jest to prawda idiotyczna. Przecież nie wyprodukowano na sprzedaż u nas ani jednego filmu wideo, nie ma polskich kaset, a wszystko to co w ukryciu przed panami celnikami zwożą ludzie do kraju to trzeciorzędne kopie. Już ze zużycia (bo to czwarte czy piąte, a może i dalsze nagranie) taśmy pełne są zniekształceń, źle widoczne, oczy trzeba do tego wyślepiać, a mimo to niewiele widać. Do czego więc służą te tysiące przemyconych czy opłaconych na cle aparatów – do oglądania chały? Podobno przygotowuje się jakieś ustawy czy zarządzenia, skierowane przeciwko dzikiej gospodarce przywożonymi i nielegalnie demonstrowanymi obrazami, filmami. Ale jak kontrolować? Toż to wkrótce trzeba będzie do takiej kontroli całą armię specjalistów zaprzęgać i jej płacić. Coś wariackiego jest w tej całej wideosprawie i to ze wszystkich stron. I tych, co oglądają chały i tych, co chcą, żeby to oglądanie uczynić czymś zorganizowanym.

Leonard Pietrusiński z Krakowa

Wideo to jest to! W każdym klubie powinien być taki aparat, żebyśmy mogli obejrzeć wszystkie najciekawsze filmy, nie tylko krajowe, lecz także i zagraniczne. W takim klubie to można by pokazywać to, na co nie możecie sobie pozwolić w drukowaniu za złotówki. Przecież to, co w czterech ścianach – tego nikt z zewnątrz nie ogląda, jakież pole do popisu.

Janek z kumplami
z Zabrza

Małość naszej planety

Witajcie. Pisałem do redakcji już trzykrotnie (sam lub z innymi osobami, raz nawet fragmenty listu wydrukowaliście) w różnych sprawach związanych z „Fantastyką". Teraz tylko o komiksie i to wyłącznie o Kovalu. Wprawdzie skończył się (?) już parę miesięcy temu, ale dopiero teraz przeczytałem książkę Jacka Natansona „Złote Brighton" i artykuł Macieja Iłowieckiego o „końcu wszechświata". Otóż te dwie pozycje pomogły mi zrozumieć lepiej pewną dysharmonię w Waszym komiksie. Chodzi mi o to zderzenie dwóch światów, w których rządzą różne prawa, także fizyczne. Do czasu kiedy Funky przebywał w naszym świecie pokazywaliście cywilizację, technikę i prawa ziemskie. Pojawienie się drugiego wszechświata wydawało mi się początkowo śmieszne, lecz teraz myślę inaczej. Przez zestawienie Ziemian z Drollami wspaniale pokazaliście jak potężny poprzednio świat i jego olbrzymie problemy – stał się mały w porównaniu z innym, pierwszym napotkanym, obcym światem. Także postać Kovala znalazła tu uzasadnienie, ponieważ tylko on mógł wygrać walkę mimo tak wielkiej dysproporcji sił. Ukazaliście małość naszej planety we wszechświecie i jednocześnie siłę człowieka. Chciałem pogratulować stworzenia tak dobrego komiksu, najlepszego na pewno w tych stronach. Czekam na dalsze ciekawe przygody Kovala.

Grzegorz Weigt z Prudnika

To dziwne, że właśnie w tym naszym kraju, nie mającym komiksowych tradycji, zrodził się komiks, który stał się popularniejszy, tak śmiem twierdzić, od wszelkich dotychczasowych historii obrazkowych, jakie się u nas drukowało. Jest to komiks, który na pewno może się podobać bardziej od zagranicznych. Kilka z nich dotarło do nas i nie zrobiły wielkiej kasy. Czy nie przyszło Wam nigdy na myśl, że ten bohater o zangielszczonym nazwisku ma prawdziwie polski charakter i że przez to może się podobać nawet za granicą. Pogadajcie sobie na ten temat z Węgrami, którzy śledzili kawałek losów Kovala w swojej „Galaktice". To zobowiązuje.

Grzegorz Szuwarło z Warszawy

W telewizji najgorzej

Ja czytam wszystkie gazety, w których piszą o filmie i szukam w nich programów telewizyjnych, takich żeby zapowiadały filmy science fiction albo jeszcze lepiej fantasy. Tymczasem ani du-du. Nikomu się nie chce w telewizji, bo z kinami trochę lepiej, wyświetlać filmów tego rodzaju, na które my wszyscy, miłośnicy, czekamy z niecierpliwością. Na czym się mamy uczyć postępu naukowego, wielkiej techniki – na gazetach, na źle działających automatach na dworcach kolejowych, albo tych grach zdezelowanych, że ich połowa nieczynna, na budkach telefonicznych co pieniądze kradną? Najlepsze byłyby do nauki przyszłości filmy o nauce i technice, o robotach, sztucznych ludziach. I tego nie ma. Miliony telewidzów musiały dymać do kin, żeby oglądać tam „Wojny gwiezdne", bo ich nie pokazano w telewizji. Pisuje do Was tylu polskich autorów. Nawet niezłe rzeczy czasem piszą, ale z tego nic się nie robi w telewizji. W „Ekranie" było, że już gotowa jest do wyświetlania „Paradyzja" Zajdla, i nie można się jej doczekać.

Jan Rzeszuto z Wrocławia

Ludzie, jakie te książki drogie. Czyście poszaleli, żeby pozwolić na to, aby Wasza „Trzecia brama" i inne opowiadania, które już dawno szły w „Fantastyce", kosztowały aż ponad trzy stówy. Niech sobie wydawnictwa zarabiają na innych książkach, nie na fantastyce, która jest dla młodych. A my skąd mamy brać tyle pieniędzy?

A.P. z Legnicy

Na spotkaniach z miłośnikami fantastyki największe cięgi dostają się często komiksom u nas drukowanym, z Kovalem włącznie! To stwierdzam, zamiast pisać obszerny komentarz do całej dyskusji podczas dzisiejszego orbitowania.

Redaktor

Komu, komu...

Zwracam się z prośbą. Posiadam do odstąpienia większość luźnych numerów „Fantastyki" oprócz 8, 20, 21, 22, 27, 28, 37, 38, 39, 42 i 48. Oferty pod adresem: **W. Nowicka;** *Fałata 39/1, 82-300 ELBLĄG.*

Mam prawie wszystkie numery „Fantastyki". Pilnie odsprzedam. **Joanna Rusek,** *Limanowskiego 152 m. 50, ŁÓDŹ.*

Córka pani prowadzącej kiosk w czasie choroby matki sprzedała komuś mój egzemplarz „Fantastyki" i to 50 numer, na który czekałem... Wyczerpałem już wszystkie możliwości... **Wojciech Starzyński,** *Focha nr 1 m 19, 27-400 OSTROWIEC ŚWIĘTOKRZYSKI.*

Poszukuję „Fantastyk" nr 1 i 2 z 1982 r. 1, 3, 6, 10 z 1983 r., 12 z 1985 r. oraz 6, 8, 10, 11 z 1986 r. Odkupię po cenie nie wyższej niż 120 zł lub wymienię na nr 2 z 1985 r. oraz książki „Pierwszy ziemianin" Peteckiego, „Wyjście z cienia" Zajdla, „Czarny olbrzym" Bilenkina i „W Jądrze Galaktyki" Snegowa (wycięta z „Fantastyki"). **Mariusz Pęczek,** *Stok Polski 54, 98-287 WOJKÓW, woj. sieradzkie.*

Zaufałam znajomemu i pożyczyłam mu powieść Jamesa Tiptree jr. „Houston, Houston..." z numeru 3/6/83 „Fantastyki". Znajomy powieść zgubił. Zwracam się z gorącą prośbą do wszystkich czytelników o pomoc w odzyskaniu. Nie mam ciekawszych książek na wymianę, ale chętnie odkupię. **Katarzyna Cieślelska,** *Afrykańska 12 m 49, 03-946 WARSZAWA.*

Poszukuję Tolkiena „Hobbit, czyli tam i z powrotem". Zapłacę lub wymienię na inne książki fantastyczne. **Rafał Wróbel,** *Drewnowska 130 m 84, 91-008 ŁÓDŹ.*

Oferuję „Fantastyki": 11/83, 22-27/84, rocznik 85, rocznik 86 kompletne. Pragnąłbym w zamian: 3/82, 1/83, Tolkiena „Władca Pierścieni", interesuje mnie każda ciekawa wymiana. **Dariusz Krakowski,** *ul. Polna 18i/4, 43-250 PAWŁOWICE.*

Sprzedam „Fantastyki": rok 1983 – 9/13, 10/13, 11-12/14-15,rok 1984 – 1/16, 2/17, 3/18, 5/20, 6/21, 7/22, 8/23, 9/24, 11/26, rok 1985 – 3/30, 4/31, 5/32, 6/33, 7/34, 9/36, 10/37, 12/39, rok 1986 – 2/41, 4/43, 5/44, 6/45, 7/46, 8/47, 9/48, 10/49, 11/50, 12/51. **Marek Jasnoch,** *Złemięso 30, 89-652 ŁĄG, woj. bydgoskie.*

Posiadam do wymiany „Fantastyki". Poszukuję nr 2/52 z 1983 r. i książek: „Hobbit", „Władca Pierścieni", „Silmarillion" – Tolkiena. **Stanisław Wnuk,** *28 Czerwca 1956 nr 130 m. 2, 61-526 POZNAŃ.*

Pilnie odkupię następujące numery „Fantastyki" – 16, 20, 22, 23, 24, 27, 28, 29. **Przemek Chwaliszewski,** *Budowlanych 25/28, 42-714 LISÓW, woj. częstochowskie.*

Mam do sprzedania „Fantastyki" i powieści ze środka „Fantastyki": „Houston, Houston...", „Gwiazdy – moje przeznaczenie", „Czas jest najprostszą rzeczą", „Miasto i gwiazdy", „Formy Chaosu", „Broń Chaosu", „Zbudź się w Famagușcie", „W Jądrze Galaktyki", „Świat czarownic", „Księżniczka Marsa", „Zapomnij o Ziemi", „Jeźdźcy smoków", „Aleja potępienia", „Sprawa Kilyosa", „Pieśń dla Lyanny", „Żuk w mrowisku", „Najazd z przeszłości". **Eugeniusz Kaliński,** *Westerplatte 22/36, 11-400 KĘTRZYN.*

Posiadam około 40 „Fantastyk" i 60 książek SF. Pragnę odstąpić. **Robert Kapustka,** *Dąbrowskiego 100/1, 60-576 POZNAŃ.* ■

Kurd Lasswitz

CUDOWNA LAMPA ALADYNA

(Aladins Wunderlampe)

Po kolacji zasiedliśmy wokół okrągłego stołu w przytulnym kąciku i profesor Alander zaproponował mi cygara, podczas gdy nasze żony rozłożyły swoje ręczne robótki.

– I cóż by pani wybrała? – zwrócił się do mojej żony, kontynuując rozmowę. – Czapkę niewidkę, czy płaszcz doktora Fausta, czy niewyczerpaną sakiewkę Fortunata, czy jabłko z drzewa życia, czy...

– Płaszcz, naturalnie płaszcz – wykrzyknęła moja żona. – Mogłabym się wreszcie do syta napodróżować.

– A na posiłki być z powrotem w domu – wtrąciła z uśmiechem młoda żona Alandera. – To by ci całkiem odpowiadało, Georg.

– Cicho! – zagroził Alander. – Ty i tak weźmiesz sobie czapkę niewidkę – być wszędzie obecną i niepostrzeżenie obserwować, to coś dla naszych żon. A pan – zwrócił się do mnie – jako hipochondryk, z tym niebezpiecznym uciskiem raz z prawej, raz z lewej strony, otrzyma owo uzdrawiające jabłko, wtedy zostanie ta wielka portmonetka, a to właśnie coś dla mnie.

– Pańskie wyliczenie czarodziejskich rekwizytów było bardzo niepełne – odparłem. – Nie jestem zadowolony z tych ograniczonych możliwości. Gdybym kiedyś mógł sięgnąć po skarb czarownic, wybrałbym jakiś środek, dzięki któremu każde moje życzenie mogłoby się spełnić.

– Wielkie nieba, cóż za głupstwa by pan wówczas popełniał – przerwała mi pani Alanderowa i odsunęła się odrobinę – w takim razie nie będę dalej siedziała obok pana.

– A zatem musiałbym sobie tego właśnie życzyć. – Podniosłem kłębek włóczki, który jej upadł. – Zaś ów kłębek...

– Pozostawiłby go pan zapewne na podłodze...

– I byłbyś najnieszczęśliwszym człowiekiem na świecie, którego każdy kaprys jest spełniany i który nie ma już żadnych innych pragnień – zauważyła moja żona.

– Tego nie rozumiem. Gdyż po pierwsze mógłbym naprawić każde ewentualne głupstwo, zaś po drugie...

– Mógłby pan sobie zażyczyć najpierw niezbędnego rozumu – zauważył sucho Alander.

– Wybaczy pan – powiedziałem. – Rozumiem to nie w ten sposób, że każda moja przelotna myśl ma się zaraz zamienić w czyn; nie, ja wybrałbym sobie aparat, który mógłby zostać użyty dopiero po pewnym namyśle i który dałby mi do dyspozycji potężnego, lecz nie wszechwładnego ducha, co już samo przez się stwarzałoby dobroczynne ograniczenie. Można powiedzieć, jakąś cudowną lampę Aladyna.

– I co dalej? – spytała nasza łaskawa gospodyni.

– Wtedy oddałbym mojego ducha do pani dyspozycji.

– Mam nadzieję, że myśli pan o duchu z lampy. Dobrze, w takim razie możemy sobie wymyślić jakieś ładne życzenie.

Alander uśmiechnął się i wyjął ze swojego biurka przedmiot, który postawił na stole. Była to niewielka miedziana lampa z dziwnymi ornamentami.

– Lampa jest – powiedział – proszę o ducha.

– Cóż to za dziwny przedmiot? – wykrzyknęła moja żona, dotykając lampy. – Jeszcze nigdy tego u pana nie widziałam.

– Dopiero dziś zaoferowano ją muzeum. Ja sam nie miałem jeszcze czasu na dokładniejsze badania.

– Skąd ta lampa pochodzi?

– Znaleziono ją w Tygrysie, co do tego nie ma wątpliwości; dokumenty są pewne.

Przyglądaliśmy się lampie, którą moja żona trzymała w ręce.

– Znaleziona w Tygrysie? – powiedziała. – Tam przecież leżał Bagdad, a w Bagdadzie...

– Stał pałac Aladyna.

– Ale lampa jest wyraźnie o wiele starsza i bynajmniej nie arabskiego pochodzenia.

– To jeszcze niczego nie dowodzi – rzekłem. – Aladyn, jak wiadomo, wziął lampę na zlecenie afrykańskiego czarownika z podziemnej komnaty, gdzie z pewnością paliła się już przez wiele stuleci.

– No to potrzyjmy ją zaraz – wykrzyknęła ożywiona żonka Alandera i chwyciła lampę.

– Cóż za pomysł, Heleno! – przerwał jej oburzony profesor Alander. – Ta piękna patyna! Całą lampę pozbawiłabyś wartości!

Pani Alanderowa podniosła szybkim ruchem głowę i wzięła się znów za robótkę. – Co mi po lampie Aladyna, jeśli nie można jej potrzeć!

Ponownie podniosłem kłębek włóczki i właśnie chciałem wtrącić słowo popierające próbę potarcia, gdy moja żona zawołała:

– Ależ tu na dole jest napis, niech pan popatrzy!

Znów zwróciliśmy się w stronę lampy.

– Po arabsku – powiedział profesor. Przyniósł lupę i zapalił światło.

– Gdybyż to była lampa Aladyna! – wykrzyknęła pani Alanderowa. – Wtedy potrzemy ją mimo patyny!

Energicznie stuknęła szydełkiem w stół.

Kłębek spadł.

– Czy duch jest straszny, gdy się ukazuje?

– To zależy, jak mocno się trze – powiedziałem pochylając się. – Zwykle ukazuje się w chmurze na suficie; ale ja mogę mu rozkazać, żeby natychmiast wszedł pod stół, gdyż pani pierwszym życzeniem byłoby zapewne, żeby ten kłębek...

– Bałaby się pani? – spytała moją żonę.

– Zachowujesz się zaiste tak – rzekł Alander, pochylony nad napisem – jakby Aladyn i niewolnik lampy istnieli naprawdę. Nie należy przesadzać z tymi bzdurami.

– No proszę – wykrzyknąłem – to pan nie jest na bieżąco z kulturą, drogi przyjacielu! To prawda, do niedawna uważano tradycyjne baśnie i historie o duchach za produkty ludowej wyobraźni i za zmyślenia. Ale odkąd mamy psychologię transcendentalną, Towarzystwo Eksperymentów Pozazmysłowych i mistykę naukową, jasnowidztwo, wywoływanie duchów i istnienie sobowtórów zostały stwierdzone jako niepodważalne fakty. Wszystko, co starożytność i średniowiecze mówią na temat cudów i czarów uważano błędnie za poezję lub zabobon. Teraz wiadomo, że chodziło o wytłumaczalne naukowo fakty. Odyseusz rzeczywiście przebywał w Hadesie, a Dante był oprowadzany po piekle przez Wergiliusza. Święty Antoni jednocześnie wygłaszał kazanie w Montpellier i śpiewał alleluja w swoim klasztorze. Podobnie opowieść o cudownej lampie Aladyna może okazać się prawdą. Należy sobie tylko zadać trud wyjaśnienia metodą psychologii transcendentalnej działania i siły ducha, który jest w tej lampie zaklęty.

Alander wyprostował się. Wyraźnie nie usłyszał ostatniej części mojej wypowiedzi.

– Dziwne – rzekł. – Czy wie pan, co tu napisano? Całkiem wyraźnie można odczytać: „Aladyn z Bagdadu". A dalej mniej więcej: „Niech żaden wierny nie próbuje odkryć tego, co Allach tu ukrył".

Milczeliśmy skonsternowani.

– Napis jest stary – kontynuował Alander – wyryty w dwunastym lub trzynastym wieku. Bardzo interesujące. Prawdopodobnie to tylko przypadek – w Bagdadzie były tysiące Aladynów. Możliwy jednak byłby związek z baśnią, a wtedy stanowiłoby to dowód, że jej pochodzenie jest o wiele dawniejsze niż znana nam wersja egipska. A zatem żart, może próba oszustwa, żeby tę lampę sprzedać jako cudowny egzemplarz... W każdym razie wielce interesujące.

A więc powinniśmy jednak spróbować...

– Ależ Heleno, proszę cię.

– Nasz przyjaciel twierdzi, że sprawa da się wyjaśnić.

Alander zaśmiał się. – No, wyjaśnienia chyba możemy posłuchać. Niechże pan zaczyna, filozofie od baśni!

– Przede wszystkim twierdzę, że historia o Aladynie i cudownej lampie nie jest wymyśloną baśnią, lecz opiera się na pewnym fakcie z życia mistycznego. Naturalnie nie we wszystkich szczegółach. Zapewne nie brakuje ozdobników. Ale sedno sprawy wydaje mi się być następujące: afrykański czarownik, jak mówi opowieść, dowiaduje się o istnieniu cudownej lampy, która ma tę właściwość, że z jej posiadaniem związane jest zyskanie posłuszeństwa potężnego ducha. Żeby ją zdobyć, potrzebuje pomocy chłopca. Przez przypadek chłopiec staje się posiadaczem lampy i zdobywa w ten sposób władzę i bogactwo. W świetle nauki sprawa ma się następująco: czarownik z Afryki jest człowiekiem, który zna hieroglify i ze znalezionego papirusu dowiedział się o tajemnicy lampy. Jawią się tu następujące zasadnicze pytania: po pierwsze – czy możliwe jest istnienie duchów potrafiących robić rzeczy, które pozornie sprzeciwiają się znanym nam prawom natury? Po drugie: czy jest możliwe, że prawo rozkazywania tym duchom wiąże się z posiadaniem tak zwykłego przedmiotu, jak ta oto lampa? Wracam do pierwszego faktu.

Jak wiemy, jest on poświadczony przez poglądy starożytności i średniowiecza zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Mówią o tym niezliczone świadectwa pisarzy. Tylko sceptycyzm epoki oświecenia doprowadził materialistycznie nastawioną część świata do tego, żeby ograniczyła się do czysto zmysłowych doświadczeń i zapierała się wszelkich odczuć pozazmysłowych. Ale wielkie umysły wszechczasów – Demokryt, Platon, Arystoteles, Epikur, Seneka, Pliniusz, Plotyn, ojcowie Kościoła, Avicenna, Albert Wielki, Tomasz z Akwinu, Paracelsus, Luter, Cardano, Kepler, Helmont, Swedenborg, Schopenhauer i Carlos v. Prellheim – oni byli przekonani o sile oddziaływania świata pozazmysłowego. Fakt jest zatem udowodniony. Na podstawie światopoglądu pozazmysłowego nietrudno go wytłumaczyć. Byłoby śmieszne twierdzić, że nie ma innych prócz ludzi świadomych istot, które jednak, obdarzone innymi zmysłami, mogą nawiązać z nami kontakt tylko w określonych okolicznościach. Takie duchy są niezależne, wprawdzie nie od praw natury, ale od sposobu, w jaki my tych praw doświadczamy naszymi zmysłami. Mogą one zatem mieć do dyspozycji środki, które nam są jeszcze całkiem nieznane, wobec których jesteśmy jak dzicy wobec lunety, maszyny parowej, telefonu. Równie łatwo jak my przekazujemy do odległego miejsca drgania akustyczne, przekształciwszy je w energię elektryczną, one mogą przenosić dowolną materię z jednego miejsca w inne. Gdyż to, co nazywamy materią, nie jest niczym innym jak szczególną formą energii. To oto ciało, ten metal, ten mięsień, ten nerw, będą w odległej przyszłości zamieniane w energię i przekazywane na odległość, tak że będą się pojawiać w dowolnym miejscu. Te duchy potrafią już teraz robić to, co my sami będziemy umieli robić za tysiące lat. Cóż bowiem czyni duch lampy? Przenosi potrawy, skarby, niewolników, przenosi narzeczonego córki kalifa w czasie nocy poślubnej w bliżej nieokreślone miejsce, gdzie stawia go na głowie; w jedną noc wznosi pałac, przenosi go do Afryki i z powrotem. To wszystko można wytłumaczyć naukowo poprzez zwyczajne prawo przenoszenia materii na odległość. Ta zasada wydaje się nam cudowna, ponieważ jeszcze się do niej nie przyzwyczailiśmy; ale nowa jest przecież tylko szybkość przenoszenia. Również my budujemy pałace i przemieszczamy dzielnice; fakt, że duch działa znacznie szybciej i na większe odległości stanowi tylko różnicę ilościową. On po prostu znajduje się na wyższym poziomie kulturowym. Dlatego jest władny przenosić ludzi. Jest obeznany z oddzielaniem świadomości transcendentalnej, którą przenosi w szybko sformowane drugie ciało, fantom, któremu każe ukazać się w innym miejscu. Ten sposób znany jest w Indiach od najdawniejszych czasów pod nazwą Majava-Rupa. Możliwość pozornych czarów ducha jest zatem udowodniona.

– Ale...

– Proszę. Trudniejsze jest drugie pytanie. Skąd pochodzi duch i w jaki sposób jego wola może być związana z posiadaniem lampy? Muszę przyznać, że jeszcze zbyt słabo znam psychologię transcendentalną, aby trafić w dziesiątkę. Inni pewnie będą mogli podać lepsze wyjaśnienia. Ja tę sprawę tłumaczę sobie następująco: poszczególne jednostki krainy duchów tworzą wspólnotę etyczną, w której występuje zapewne konieczność karania. Tak jak transcendentalne Ja organizuje sobie ludzkie ciało, żeby poprzez ziemską inkarnację rozszerzyć swoje doświadczenia, będąc w tym czasie zależne od praw rządzących zmysłowym organizmem, tak też etycznie niedojrzały duch może za karę zostać przykuty do jakiegoś przedmiotu artystycznego, pierścienia, lampy. Albowiem przedmioty są projekcjami narządów zmysłu, a to nie oznacza niczego innego jak organizację drugiego rzędu; kara dla ducha jest tym samym cięższa. Prócz swego astralnego ciała nie ma on teraz, jak my, ciała białkowego, lecz ciało metalowe. Pocieranie lampy odpowiada dokładnie tak zwanemu magnetycznemu głaskaniu podczas hipnotyzowania. W ten sposób uwalnia się transcendentalna świadomość, jej wola jest jednak zależna od woli hipnotyzera. Przypomnę znane zjawiska sugestii, podczas których hipnotyzowanemu można wmówić dowolne wyobrażenie i skłonić go do każdej czynności. Byłoby brakiem logicznej konsekwencji gdyby przykutej do lampy świadomości transcendentalnej nie chciano przyznać zdolności wyzwolenia się ze swego ciała za pomocą pocierania. A więc rozumie się samo przez się, że hipnotyzer lampy może kierować duchem wedle swojej woli. Oznajmiam zatem z całą stanowczością, opartą na moim naukowym przekonaniu: Aladynowy niewolnik lampy istniał i dokazywał zdumiewających czynów. Jeśli czas jego kary jeszcze nie dobiegł końca, jest on wciąż przykuty do lampy. I jeśli ta lampa przed nami, jak mi się zdaje, jest prawdziwą lampą Aladyna, to jestem gotów empirycznie dowieść, że również mnie ten duch musi być posłuszny.

– Piękny wykład! – zawołał Alander rozbawiony. – Mógłby być słowo w słowo wydrukowany w „Sfinksie". Gdybym tylko był pewien, że duch będzie mógł mi z powrotem „zreorganizować" startą patynę.

– Szkoda – powiedziała moja żona – przyjemnie było myśleć, że to jest lampa Aladyna. Ale po twoim filozoficznym wywodzie jestem przekonana, że ani jedno słowo z niego nie jest prawdą.

– Przykro mi z tego powodu. Brakuje ci wyczucia prawdy naukowej. Ale pani, pani Alander, jest dzieckiem szczęścia, pani nie będzie wątpiła w ducha lampy.

– Wie pan – rzekła pani Alanderowa – jeśli mam być całkiem szczera, nie całkiem zrozumiałam pańską uczoną mowę. Musiałabym ją przeczytać. Mówię całkiem po prostu, że jeśli ta historia byłaby prawdziwa, to czarownik sam przyniósłby sobie lampę i nie polegałby na Aladynie.

– Ojej! Myślałem, że mówię tak przystępnie! Pani zarzut nie jest zresztą przekonujący, gdyż, jak wiadomo z doświadczenia, przy wszelkich mistycznych operacjach potrzebne jest medium. Czarownik w każdym razie przekonał się, że Aladyn jest do tego przydatny. Również zapalenie kadzidła na kamiennej płycie przed wejściem przemawia za tym, że Aladyn działał w stanie lunatycznym. W jakiż inny sposób wytrzymałby, głodując przez trzy dni?

– Co się jednak stało z lampą po śmierci Aladyna?

– Zapewne sam wcześniej rzucił ją do Tygrysu, żeby zapobiec jej niewłaściwemu użyciu.

– A jak tłumaczy pan sobie istnienie podziemnej komnaty i wstawienie tam lampy? – spytał Alander.

To pytanie wprawiło mnie w zakłopotanie. Dlatego najpierw, po raz szósty, podniosłem kłębek włóczki mojej pracowitej sąsiadki, a potem powiedziałem:

– Mógłbym powołać się na to, że w tym przypadku powinniśmy uznać po prostu fakt historyczny. Ale można to również wytłumaczyć z teoretycznego punktu widzenia: tak jak roślina potrzebuje do swego rozwoju odpowiedniego podłoża, tak jak transcendentalny duch nie może stworzyć sobie ciała z czystego powietrza, lecz potrzebuje matczynego łona, tak samo metalowe ciało ducha lampy może być wytworzone tylko w odpowiednim środowisku. Przypuszczalnie znajdowała się tam transcendentalna pracownia złotnicza, za czym przemawia także obecność owoców z kamieni szlachetnych. Papirus egipski, z którego tak zwany czarownik zaczerpnął swoje wiadomości, był może stworzoną dzięki jasnowidztwu geologiczną mapą starożytności.

– Pańskie wywody są nie do obalenia. – Alander zaśmiał się, wciąż jeszcze nie dowierzając. – Pragnę zatem udostępnić dla pańskiego eksperymentu to nieco uszkodzone miejsce. Jestem ciekaw, jak będzie pan wywoływał ducha.

– To świetnie! To wspaniale! – wykrzyknęły panie niemal równocześnie. Postawiłem lampę przed sobą na stole. Uroczyście zbliżyłem do niej moją dłoń. Wszyscy zachowali ciszę. Mnie jednak ogarnął lęk. Czyż nie jest bezeceństwem kuszenie zaświatów, żeby odsłoniły welon Izydy, skrywający krainę duchów? I czy nie narażam obecnych na nieznane niebezpieczeństwo? Ale należało udowodnić naukową teorię – tak musiało być! A jeśli próba się nie powiedzie? Jeśli duch odcierpiał czas swojej kary i pozostawił swą pustą powłokę? Widziałem oczy pań wyczekująco skierowane na lampę. Również one czuły się nieswojo. Tylko Alander niewzruszenie palił.

– Nie za mocno – szepnęła jego żona.

Cicho przeciągnąłem palcem po lampie, dwa-trzy razy. Zwiększyłem nacisk. Posłużyłem się całą dłonią. Duch się nie zjawił.

– Moja patyna! – zawołał Alander.

– Przerwał pan seans! Niech pan jeszcze poczeka!

– Może powinna się palić – zauważyła moja żona.
– Historia o tym nie mówi. Ale może trzeba ją trzymać w dłoni.
– Niech pan da – wykrzyknęła pani Alanderowa, której znów wróciła odwaga. – Potrę porządnie, jak matka Aladyna!
– Nie pani!
Szybko pochwyciłem lampę, jako że również Alander chciał nią zawładnąć. Trzymałem ją w lewej ręce i kilkakrotnie przejechałem po niej prawą.
– Niczego pan nie słyszy?
– Nie. Tak. Owszem.
Bez wątpienia z lampy wydobywał się skrzypiący dźwięk.
– Duch zardzewiał, jak się zdaje – zadrwił Alander.
– Pst! Cicho! Z lampy wydobywa się jakiś głos!
W pokoju zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Nie śmieliśmy oddychać. Krew zakrzepła nam w żyłach. Alander pochylił się nieznacznie do przodu.
– On mówi po arabsku – powiedział.
– Duchu lampy, mów po niemiecku! – wykrzyknąłem uroczyście.
Cicho, lecz całkiem zrozumiale zabrzmiało z głębi lampy:
– Jestem niewolnikiem lampy, gotów być posłuszny wszystkim, którzy są panami lampy.
– Gdzie jesteś, duchu?
– W lampie.
– Czemu się nie ukażesz?
– Nie wolno mi. Jak tylko objawię się w przestrzeni wszystkim ludzkim zmysłom, będę podlegał prawom natury i prawom społecznym, które w danej chwili panują. Ponieważ w nowoczesnym państwie niewolnictwo nie istnieje, byłbym po moim ucieleśnieniu wolny. Dlatego dane mi jest, bym się zmaterializował tylko akustycznie.
– Jak to? To i kraina duchów idzie z postępem?
– My też podlegamy prawom rozwoju przez przystosowanie.
– A czy możesz jeszcze spełniać moje rozkazy?
– Mogę uczynić wszystko, co rozkażesz, o ile nie jest to sprzeczne z prawami natury.
– A więc wyrażajcie państwo życzenia – powiedział cicho.
Panie milczały i spoglądały na siebie.
Alander ubiegł je.
– Wie pan, pański duch zdaje mi się być podejrzanie cywilizowany. Zobaczymy zaraz, czy jest prawdziwy. Niechże pan każe mu położyć na stole trzysta tysięcy marek w złocie.
– Niewolniku lampy – zawołałem – przynieś trzysta tysięcy marek w złocie.
– Nie mogę, panie – odparł duch – to jest niezgodne z prawami.
– Jak to?
– Wszelkie kruszcowe pieniądze już są czyjąś własnością. Nie mogę ich nikomu zabrać.
– To stwórz niekruszcowe.
– Nie mogę, to byłoby wbrew prawu zachowania materii.
– Wydobądź kruszce z ziemi!
– Nie mogę. Na potrzebną do tego mechaniczną pracę, musiałbym przeznaczyć więcej energii niż wynoszą jej zasoby w moim obecnym ciele. Byłoby to wbrew twierdzeniu o zachowaniu energii.
– Nędzny niewolniku – zawołałem – dlaczego mogłeś przynieść je Aladynowi?
– Wówczas jeszcze nie wiedziano niczego o prawach zachowania materii i energii.
– Jak to, chyba nie zechcesz twierdzić, że te prawa nie miały wówczas swojej mocy?
– Prawa natury – odpowiedział duch – nie są niczym innym jak wyrażeniem świadomości naukowej określonej epoki. W swojej transcendentalnej świadomości jestem od nich wolny, lecz moją działalnością w czasie, w waszym czasie, nie mogę złamać warunków stanowiących podstawę nowoczesnej kultury. Nie możemy powrócić do bezkrytycznego światopoglądu minionej epoki.
– Pański duch to zuch – powiedział Alander. – Jest dziesięć razy sprytniejszy niż wy, psychologowie transcendentalni. Niech pan go spyta o coś, co dopiero odkryje przyszłość.
– Niewolniku lampy, na czym polega grawitacja?
– Nie mogę ci tego powiedzieć. Byłoby to wbrew prawu o ciągłym rozwoju nauk matematyczno-przyrodniczych.
– Szatański spryciarz! Niech mu pan każe odejść!
– Ależ nie! – zawołały panie. – My też chcemy sobie czegoś życzyć!
– Proszę – powiedziałem dość zdeprymowany – jeśli to się tylko na coś nada!
– Powiedz mu, że ma teraz przenieść nas czworo nad Zatokę Neapolitańską.
– Słyszysz, duchu, co rozkazuje moja żona – bądź posłuszny!
– O panie, to jest wbrew prawom mechaniki!
– Wobec tego wpraw nas w stan lunatyczny i przenieś tam nasze ciała astralne!
– Dawniej mogłem czynić wszystko, bowiem uważano, że wszystko jest możliwe. Teraz mogę oddzielić ciało astralne tylko od takich ludzi, których system nerwowy nadaje się do tego. Spośród szanownych obecnych nikt jednak nie ma skłonności spirytystycznych.
Moja żona wzruszyła ramionami i powiedziała:
– Tak właśnie przypuszczałam, znów nic z tego nie będzie. Nie powinnam jechać do Italii!
Byłem już nieźle rozzłoszczony na tego zdegenerowanego ducha i żałowałem, że w ogóle tę lampę dotknąłem. Alander zatarł z uśmieszkiem dłonie i rzekł:
– Obcowanie z duchem chyba nie wychodzi panu na zdrowie. Wygląda pan dosyć słabo. Lepiej byłoby, gdyby pan wybrał jabłko życia! No, Heleno, teraz twoja kolej, może tobie się bardziej poszczęści.
Pani Alanderowa oparła ramię o stół i z namysłem skubała loczki nad czołem.
– Zupełnie nie wiem, czego mam sobie życzyć – powiedziała. – Do Italii duch nie może nas przenieść, ale może nas jeszcze doprowadzić do szału. Czy mógłby zdobyć dla nas jakieś uniwersalne lekarstwo?
– Niewolniku, przynieś eliksir życia!
– Panie, tego nie ma. W dzisiejszych czasach są tylko specjaliści.
– Czy życzy sobie pani czegoś innego, pani profesorowo? Bardzo żałuję...
– Ojej – powiedziała i znów wzięła swoją robótkę – właściwie jestem całkiem zadowolona i chwilowo niczego więcej nie potrzebuję.
Kłębek włóczki spadł pod stół.
– Oj – krzyknęła – jednak mam życzenie – chciałabym, żeby ten kłębek już nie mógł spadać!
– Niewolniku – powiedziałem – słyszałeś, bądź posłuszny!
– Panie – odpowiedział duch ze skargą w głosie – nie mogę tego sprawić, byłoby to wbrew galileuszowskim prawom spadania i wbrew historii naturalnej kobiecych robótek ręcznych.
– Do diabła – krzyknąłem ze złością – co ty właściwie możesz, leniuchu?
– Wszystko, co nie wykracza poza jakieś prawo, które jest potwierdzone świadomością epoki. Lecz jest mi przeznaczone, że mam być zbawiony, gdy tylko mój pan nie będzie już umiał wyrazić życzenia, przy spełnianiu którego nie zniszczyłbym poprzez swoją ingerencję przyczynowego związku świata.
– No to – powiedziałem zrezygnowany – wobec tego przynajmniej podnieś ten kłębek, to chyba nie będzie wykraczało poza żadne prawo.
– Wybacz mi, panie, to również jest dla mnie niemożliwe.
– A dlaczego?
– Według praw wszechświata, których konieczność warunkuje nowoczesna nauka, przeznaczone jest twoim mięśniom wykonać dziś wieczorem poprzez skłony twego tułowia pracę równą dziewięciuset szesnastu przecinek jedenaście kilogramometrom. Jeśli z tego odjąłbym ci nawet tylko pięć procent, zmagazynowałby się w tobie nadmiar energii, który przetworzyłby się w pracę umysłu i stworzył artykuł transcendentalno-psychologiczny, jako że do tego wystarczy minimum energii. Wprawdzie dwudziestu sześciu czytelników zrezygnowałoby z prenumeraty pisma, jednak jeden czytałby z takim zapałem, że zasypiając, zapomniałby zgasić światło, wybuchłby pożar domu, który przeniósłby się na całą dzielnicę, arsenał wyleciałby w powietrze, eksplozja przesunęłaby środek ciężkości Ziemi o tysięczną część milimetra, a przez to Ziemia spadłaby na Słońce o dwa miliony lat za wcześnie. Widzisz zatem, że jest niemożliwe, żebym podniósł ten kłębek.
– O mądry duchu! – zawołałem. – Nie jesteśmy ciebie godni – jesteś uwolniony!
Postawiłem lampę na stole. Świetlisty promień wytrysnął z niej i rozpłynął się jako obłok pod sufitem. Tak mi się przynajmniej zdawało.
– Dzięki – zabrzmiało cicho z oddali – dzięki za zbawienie po trzechtysiącletniej niewoli! Do wolności transcendentalnej uciekłem z epoki konieczności! Ze stołu nie spadnie żaden kłębek, którego upadek nie drga we wszechświecie!
Podniosłem kłębek i położyłem go obok lampy. Znów się stoczył.
– Może pan występować jako brzuchomówca – powiedział profesor.
Takich ludzi nie można przekonać.

Przełożyła **Grażyna Werner**

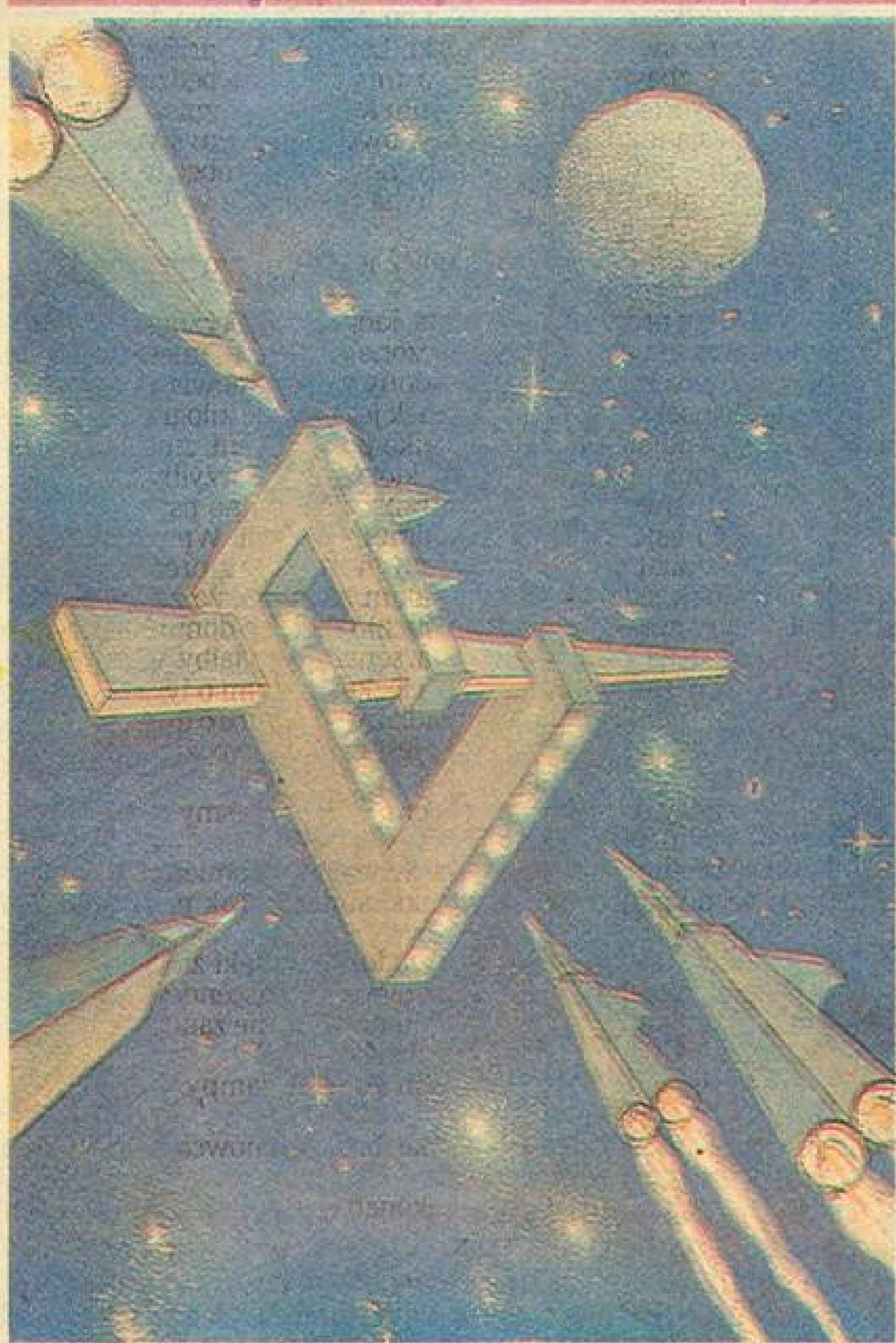
Kurd LASSWITZ

Autor ten (1848-1910) zajmuje w niemieckiej science fiction podobne miejsce, co Wells w angielskiej czy Verne we francuskiej. Opowiadania Lasswitza, filozofa i historyka nauki, często wyciągają wnioski z teorii filozoficznych. „Lampa Aladyna" uwzględniająca wpływ umysłu poznającego (a ściślej, dominującego paradygmatu) na rzeczywistość nasuwa skojarzenia z wierszem „Teoria jednolitego pola" Tim Josepha („Fantastyka" nr 10/85). Inne opowiadanie Lasswitza – „Projekty świata", i szerszą notkę o autorze zamieściliśmy w „Fantastyce" nr 11/85.

L.J.

konkursy

Marian Thiede





Urszula Gładysz i Katarzyna Heinricht



Andrzej Brzozicki

Poul Anderson

(Sam Hall)

Klik. Bzzzz. Wrrr.

Obywatel NN, miejscowość X, gdzieś w Stanach Zjednoczonych, podszedł do okienka hotelowej recepcji. – Poproszę o jednoosobowy pokój z łazienką.

– Bardzo przepraszamy, ale nasz przydział opału nie pozwala na indywidualne kąpiele. Możemy oczywiście zarezerwować dla pana jedno miejsce, ale będzie to kosztowało 25 dolarów ekstra.

– Tylko tyle? Och, w porządku. Biorę.

Obywatel NN sięgnął automatycznym gestem po portfel, wydobył perforowaną kartę i podał ją maszynie rejestrującej. Aluminiowe szczęki przytrzasnęły kartę, miedziane ząbki zaczęły szukać dziurek, elektroniczny język smakował życie Obywatela NN.

Miejsce i data urodzenia. Rodzice. Rasa. Religia. Wykształcenie, służba wojskowa, przebieg pracy w służbie państwowej. Stan cywilny. Zawód, w przypadku zmiany kolejne aż do obecnego, łącznie z miejscem aktualnego zatrudnienia. Wymiary fizyczne, linie papilarne i siatkówka oka, grupa krwi. Psychotyp podstawowy. Stopień lojalności. Wskaźnik lojalności jako funkcja czasu, aż do ostatniego przeglądu. Klik, klik. Bzzzz.

– W jakim celu pan przyjechał?

– Handlowiec. Muszę być jutro wieczorem w Nowym Pittsburgu.

Recepcjonista (32 lata, żonaty, dwoje dzieci. UWAGA poufne! Żyd. Nie dopuszczać do stanowisk kluczowych) naciskał klawisze.

Klik, klik. Maszyna zwróciła kartę. Obywatel NN włożył ją na powrót do portfela.

– Windziarz!

Boy hotelowy (19 lat, kawaler, UWAGA poufne! Katolik. Nie dopuszczać do stanowisk kluczowych) wziął walizkę nowego gościa. Winda skrzypiąc wspinała się po piętrach. Recepcjonista wrócił do przerwanej lektury. Tytuł artykułu brzmiał: „Czy Brytania nas zdradziła?" Inne artykuły magazynu głosiły: „Nowy program indoktrynacji dla Sił Zbrojnych", „Na Marsie polują na pracowników", „Jak pracowałem w związkach zawodowych dla Agencji Ochrony", „Nowe plany TWOJEJ przyszłości".

Maszyna gadała do siebie. Klik, klik. Ekrany mrugały tak jakby opowiadały sobie szeptem kawały. Sygnał ogólny wędrował przez druty.

Razem z tysiącami innych sygnałów kierował się do jądra sieci informatycznej, do urządzenia rozdzielczego Archiwum Centralnego. Klik, klik. Bzzzz. Wrrrr. Mrugnięcie i rozjarzenie się lampki kontrolnej. Czytnik przeczesywał obwody pamięciowe. Przesunięte molekuły jednej ze szpul zawierały dane Obywatela NN i czytnik wydobywał je, wprowadzając do komparatora, gdzie czekał już sygnał dotyczący Obywatela NN. Sfazowanie było idealne. Wszystko w porządku. Obywatel NN zatrzymał się w miejscowości, którą określił poprzedniego dnia jako przypuszczalne miejsce postoju i nie trzeba było wprowadzać korekty.

Nowe informacje zostały wprowadzone do rejestru Obywatela NN i całe jego życie powróciło do banku danych. Pamięci czytnika i komparatora oczyściły się automatycznie i czekały spokojnie na następny sygnał wejściowy. Maszyna połknęła i przetrawiła kolejny dzień życia człowieka. Była zadowolona.

Thornberg wszedł do swego biura o zwykłej porze. Sekretarka podniosła głowę mówiąc „dzień dobry" i przyjrzała mu się uważniej. Pracowali razem wystarczająco długo, by potrafiła odczytać różnice jego starannie kontrolowanego wyrazu twarzy.

– Coś się stało, szefie?

– Nie – odparł szorstko, co było u niego rzeczą niezwyczajną. – Nie, nic złego. Może to tylko pogoda nie najlepiej na mnie wpływa.

– Ach, tak. – Sekretarka kiwnęła potakująco głową. W służbie państwowej można się nauczyć dyskrecji. – Mam nadzieję, że to szybko przejdzie.

– Dziękuję. To nic wielkiego. – Thornberg pokuśtykał do swego biurka i usiadł, wyciągając z kieszeni paczkę papierosów. Wyciągnął jednego, wygniótł w żółtych od nikotyny palcach i zapalił. Przez moment jego oczy były puste, ale po chwili zaciągnął się łapczywie i sięgnął po czekającą pocztę. Jako główny technik Rejestru Centralnego otrzymywał obfity przydział tytoniu i korzystał z niego w pełni.

Biuro nie było duże. Dziupla bez okna umeblowana spartańsko. Jedynym osobistym akcentem były zdjęcia syna i zmarłej żony. Wydawało się, że Thornberg jest zbyt duży i nie pasuje do swego pokoju. Wysoki i szczupły, z twarzą o ostrych, prostych rysach, miał gładko przyczesane siwiejące włosy. Nosił zwykły mundur Agencji z plakietką Wydziału Technicznego i insygniami majora bez żadnych odznaczeń czy baretek, do których miał pełne prawo. Kapłani Matyldy zwykli w tych czasach nosić się ze skromną nonszalancją.

Paląc papierosa za papierosem przeglądał pocztę. Zwykłe bzdury, w większości dotyczące zmian koniecznych przy przejściu na nowy system identyfikacyjny.

– Możesz przyjść June? – zwrócił się do sekretarki. Nie wiadomo dlaczego wolał dyktować jej bezpośrednio niż nagrywać na dyktafon. – Pozbądźmy się tego migiem, bo mam trochę własnej roboty do zrobienia.

Trzymając przed sobą list dyktował: – Do senatora E.W. Harmisona, Nowy Waszyngton. Szanowny Panie. W odpowiedzi na pańskie pismo z dnia 14 bm., w którym prosi Pan o moją opinię w sprawie nowych dowodów tożsamości, informuję, że wyrażanie opinii nie należy do obowiązków personelu technicznego. Dyrektywa nakazująca, aby każdy obywatel posiadał tylko jeden numer ewidencyjny, którym znakowane będą wszystkie jego dokumenty, takie jak: metryka, świadectwo, kartki zaopatrzeniowe, legitymacja ubezpieczeniowa, książeczka wojskowa itp. przyniesie oczywiście długofalowe korzyści, ale, co naturalne, wymagać będzie dużego nakładu pracy podczas zmiany dotychczas obowiązującego systemu kodowania informacji. Decyzja prezydenta stwierdzająca, że długofalowe korzyści usprawiedliwiają obecne trudności powinna zobowiązywać wszystkich obywateli do podporządkowania się jej. Łączę wyrazy itd. – Uśmiechnął się chłodno. – To przynajmniej j e g o załatwia. Pojęcia nie mam na co może przydać się Kongres z wyjątkiem sprawiania kłopotów uczciwym biurokratom.

June zdecydowała w duchu, że zmieni ton listu. Niewykluczone, że senator był potakiwaczem, ale to jeszcze nie powód, żeby traktować go tak ostro. Obowiązkiem sekretarki jest chronić szefa przed niepotrzebnymi kłopotami.

– W porządku, następny – mruknął Thornberg. – Do pułkownika M.R. Huberta, dyrektora Wydziału Łącznikowego, Centralna Służba Archiwalna, Agencja Ochrony itd. Szanowny Panie. W odpowiedzi na Pańskie memorandum z dnia 14 bm., w którym domaga się Pan ustalenia określonej daty zakończenia prac nad zmianą systemu identyfikacyjnego, muszę stwierdzić z całym szacunkiem, że nie jestem w stanie, mimo najszczerszych chęci, podać podobnego terminu. Musimy bowiem skonstruować i wykonać wcześniej niezbędne, modyfikujące pamięć urządzenie, które dokonywać będzie zmian w naszych rejestrach bez konieczności wyjmowania i korygowania każdej z przeszło 300 milionów szpul pamięci indywidualnych, znajdujących się w naszej maszynie. Zdaje Pan sobie zapewne sprawę, że w takiej sytuacji nikt nie jest w stanie dokładnie przewidzieć kiedy ukończona zostanie podobna praca. Tym niemniej chciałbym Pana zapewnić, że badania przebiegają pomyślnie (odeślij go proszę do mojego ostatniego raportu, dobrze?) i mogę poinformować Pana w zaufaniu, że zmiana systemu zostanie zakończona, a wszyscy obywatele zostaną powiadomieni o przydzielonych numerach najpóźniej w ciągu dwóch miesięcy. Z wyrazami szacunku itd... Wygładź to jeszcze, June.

Kiwnęła głową. Thornberg przerzucił pocztę, odkładając większość listów do koszyka z korespondencją, na którą ona mogła samodzielnie udzielić odpowiedzi. Kiedy wrzucił ostatni list, ziewnął i zapalił kolejnego papierosa. – Allach jest wielki, a to się skończyło. Mogę teraz spokojnie zejść do laboratorium.

– Ma pan kilka spotkań po południu – przypomniała mu.

– Wrócę po obiedzie. Do zobaczenia. – Wstał i wyszedł z pokoju.

Zjechał windą na niższą, podziemną kondygnację i zaczął iść długim korytarzem, odpowiadając mechanicznie na honory, oddawane przez przechodzących techników. Jego twarz była nieporuszona i tylko nieco sztywne ruchy rąk mogły zdradzić jego stan psychiczny.

„Jimmy" – pomyślał. – „Jimmy, mój dzieciaku".

Wszedł do wartowni. Przyłożył dłoń i oko do czytników przy drzwiach w głębi pomieszczenia. Linie papilarne i siatkówki oka były przepustką. Alarm nie włączył się. W porządku. Drzwi otworzyły się automatycznie i Thornberg wszedł do świątyni Matyldy.

Stała przed nim – przysadzista, kondygnacja piętrząca się nad kondygnacją. Panele kontrolne, wskaźniki, błyskające światła. Piramida Azteków. Siedzący wewnątrz piramidy bogowie mruczeli do siebie i mrugali czerwonymi oczyma do drobnego człowieka, pełzającego na jej monstrualnych bokach. Thornberg przystanął na moment. Zmęczony uśmiech wykrzywił mu twarz. Gorzkie myśli przychodziły do głowy, fragmenty zakazanych książek z lat czterdziestych i pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. Książki francuskie, włoskie, niemieckie, brytyjskie. Prace rozgorączkowanych intelektualistów zaniepokojonych amerykanizacją Europy, kruszeniem się starej kultury pod naporem stechnicyzowanego barbarzyństwa napojów gazowanych, reklamy, obficie chromowanych samochodów (Duńczycy nazywali je „uśmiech dolara"), gumy do żucia, sztucznych tworzyw... Żaden z nich nie protestował jednak przed równoczesną europeizacją Ameryki, przeciw narastającej kontroli rządowej, tworzeniu się kasty wojskowych, latom świetlnym urzędowych archiwów, biurokracji, cenzurze, tajnym policjom, nacjonalizmowi i rasizmowi.

A niech tam.

„Jimmy, chłopaku, gdzie jesteś i co oni teraz z tobą robią?"

Thornberg podszedł do stanowiska, przy którym jego najlepszy inżynier, Rodney, testował nowe urządzenie.

– Jak leci? – spytał.

– Całkiem nieźle, szefie – odparł Rodney, nie markując nawet salutowania. Thornberg, prawdę mówiąc, zakazał oddawania honorów w laboratorium, uznając to za niepotrzebną stratę czasu. – Kilka pluskiew już znaleźliśmy, ale dajemy sobie radę.

Trzeba było mieć to urządzenie, aby zmieniać numery ewidencyjne bez naruszania reszty zakodowanych informacji. Grzebanie w magnetycznych bankach pamięci nie jest rzeczą łatwą.

– No to dobrze – powiedział Thornberg. – Idę do centralnej sterowni. Chcę sam zrobić kilka testów, gdyż niektóre ekrany w sekcji trzynastej zachowują się jakoś dziwnie.

– Potrzebuje Pan pomocy?

– Nie, dziękuję. Potrzeba mi tylko spokoju.

Thornberg odszedł sprężystym krokiem, aż echo poniosło się korytarzem. Centralna sterownia mieściła się w opancerzonym pomieszczeniu, przylegającym do wielkiej piramidy i Thornberg raz jeszcze musiał poddać się kontroli czytników zanim automat otworzył przed nim drzwi. Tylko wybrani byli wpuszczani do środka. Archiwa państwowe miały zbyt wielką wartość, żeby można było ryzykować.

Wskaźnik lojalności Thornberga, AAB-2, nie był idealny, ale wśród ludzi z jego zawodem i doświadczeniem należał do najlepszych z możliwych. Podczas ostatniej kontroli, w czasie której poddany został działaniu narkotyków, stwierdzono, że co prawda miewał pewne wątpliwości i zastrzeżenia w stosunku do polityki rządu, jednak wykluczono możliwość najmniejszej nawet niesubordynacji. Już na pierwszy rzut oka można było mieć pewność, że ten człowiek jest lojalny. Odznaczył się odwagą podczas wojny z Brazylią, w trakcie której stracił na froncie nogę. Jego żona zginęła, gdy przed dziesięciu laty Chiny dokonały nieudanego ataku rakietowego. Syn był dobrze zapowiadającym się oficerem wenusjańskiego garnizonu Gwardii Kosmicznej. Słuchał wprawdzie rzeczy zakazanych i zagranicznej propagandy, czytywał prohibity i literaturę podziemną, ale każdy intelektualista babrał się trochę w takich rzeczach i nie należało tego traktować poważnie, o ile ogólna opinia była pozytywna i jeśli badany podśmiewał się z tego, co wyczytał lub usłyszał.

GALERIA

konkursy

Marian Orzok „Historia pewnego snu"
II nagroda w konkursie fotograficznym



Siedział przez chwilę spokojnie, obserwując stoły sterownicze. Były tak skomplikowane, że mogły przyprawić o zawrót głowy niejednego inżyniera, ale Thornberg pracował przy Matyldzie od tak dawna, że nie potrzebował nawet zerkać na napisy.

„Rusz się..."

Trzeba było mieć siłę woli, żeby zdecydować się na taki krok. Byle hipnoquiz mógł ujawnić co zamierza zrobić, ale takie śledztwo w stanie hipnozy przeprowadzano, z konieczności, na zasadzie losowego wyboru i było raczej mało prawdopodobne, aby wybrano go ponownie w ciągu kilku najbliższych lat. Tym bardziej że miał pozytywny wskaźnik lojalności. Zanim on zostanie wykryty, Jack już powinien zajść wystarczająco wysoko w szeregach Gwardii, aby być bezpiecznym.

W odosobnieniu centralnej sterowni Thornberg pozwolił sobie na gorzki uśmiech. – Widzisz, to będzie mnie bardziej boleć niż ciebie – mruknął do maszyny i zaczął naciskać klawisze.

Istniały obwody, dzięki którym można było dokonywać korektur w rejestrach. Wyciągnąć dowolny rejestr i wpisać w jego ścieżkę magnetyczną żądany tekst. Thornberg robił to już kilka razy na prośbę różnych wysokich osobistości. Teraz miał to zrobić dla siebie.

Jimmy Obrenowicz, syn dalekiej kuzynki, został w nocy aresztowany przez Agencję Ochrony pod zarzutem zdrady. W rejestrze zapisano to, czego zwykli ludzie nie wiedzieli – że Jimmy został zabrany do obozu Fieldstone. Ci, co stamtąd wracali milczeli i nie ujawniali gdzie byli i co robili. Czasami w ogóle nie potrafili mówić.

Dla szefa technicznego Rejestru Centralnego nie było korzystnie mieć krewnego w Fieldstone. Thornberg pracowicie naciskał klawisze, przez pół godziny korygując i wymazując. Była to żmudna praca, gdyż musiał cofnąć się o kilka pokoleń, zmieniając całe drzewa genealogiczne. Jednak kiedy skończył, Jimmy Obrenowicz nie miał nic wspólnego z rodem Thornbergów.

„Zastanawiałem się nad tym długo, chłopcze. Nie robię tego dla siebie, Jimmy. Chodzi mi o Jacka. Kiedy gliny zaczną sprawdzać twój rejestr, najdalej dzisiaj po południu, nie mogę im pozwolić na znalezienie informacji, że jesteś spokrewniony z kapitanem Thornbergiem, stacjonującym na Wenus i że jesteś bliskim przyjacielem jego ojca".

Przytknął w wyłącznik i szpula powróciła na swoje miejsce w bloku pamięci. „Niniejszym wyrzekam się ciebie".

Siedział jeszcze przez chwilę, rozkoszując się ciszą sterowni i czystą bezosobowością elektronicznej aparatury. Nawet palić mu się nie chciało.

Tak więc każdy obywatel ma teraz dostać numer, który, nie ma co się łudzić, zostanie mu wytatuowany. Jeden numer na całe życie. Na wszystko. Thornberg z łatwością wyobraził sobie, jak ludzie nazywają te numery „piętnem", a Agencja ściga używających tego słowa za „nielojalne wyrażanie się".

Cokolwiek jednak by się myślało, podziemie rzeczywiście było niebezpieczne. Wspierały je obce kraje, którym nie podobał się świat zdominowany przez Amerykę, a przynajmniej przez współczesną Amerykę. Rebelianci twierdzili, że mają swoje bazy gdzieś w kosmosie i że udało się im objąć organizacją podziemną terytorium całego kraju. Całkiem prawdopodobne. Ich propaganda była subtelna – nie zamierzamy niszczyć kraju, chcemy tylko wyzwolić, pragniemy przywrócić Kartę Praw. Takie hasła mogą pociągać mniej zrównoważone charaktery. Z drugiej strony antyszpiegowskie akcje Agencji powodowały ofiary wśród ludzi, którzy nawet nie pomyśleli o zdradzie. Takich jak Jimmy. Chociaż... czy Jimmy rzeczywiście nie działał w podziemiu? Nigdy nie wiadomo. I nigdy się nie dowiesz.

Thornberg poczuł gorycz w ustach. Skrzywił się. Przypomniały mu się słowa piosenki. *„Nienawidzę was wszystkich, co do jednego.* Zaraz, jak to szło? Śpiewaliśmy to przecież w studenckich czasach. Było to o bardzo niemiłym facecie, który popełnił morderstwo... Aha, Sam Hall. Jak to szło? Trzeba było mieć grobowy głos, aby zaśpiewać tę piosenkę naprawdę dobrze:

Nazywam się Sam Hall, tak Sam Hall
Na imię mam Sam Hall, tak Sam Hall
Oh, nazywam się Sam Hall
I nienawidzę was, wszystkich razem
Tak, nienawidzę was co do jednego
Niech Bóg przeklnie wasze oczy.

Tak, to było tak. Sam Hall miał zawisnąć za morderstwo". Teraz już pamiętał. Poczuł się jak Sam Hall. Popatrzył na maszynę, zastanawiając się, ile może być w niej rejestrów ludzi o nazwisku Sam Hall.

Leniwie, oddalając chwilę, kiedy trzeba będzie wrócić do pracy, naciskał klawisze: nazwisko Samuel Hall, innych danych brak. Maszyna zagulgotała do siebie. Po chwili zaczęła wypluwać metry papieru, zadrukowane danymi z bloków pamięciowych. Kompletne rejestry każdego z ludzi o nazwisku Sam Hall, bez względu na to, czy jeszcze żyli, czy też dawno umarli – dawno, ale już po wprowadzeniu rejestrów obywateli. „Do diabła z tym!" Thornberg urwał taśmę i wepchnął ją do podręcznej spalarki.

Zabiłem człowieka, mówili, tak mówili.

Okrutny obraz przemknął przez myśl Thornberga. Oni obrabiali teraz Jimmy'ego, bijąc go zapewne po nerkach, a on, Thornberg, siedział spokojnie czekając aż gliny zażądają rejestru Jimmy'ego i nie był w stanie nic zrobić. Miał związane ręce.

„Na Boga!" – aż go zatkało. – „Przecież mogę im podsunąć Sama Halla!"

Palce Thornberga skoczyły do klawiszy. Pochłonięty skomplikowanymi problemami technicznymi zapomniał o dławiących mdłościach. Wsunięcie całkowicie fałszywej szpuli do pamięci Matyldy nie było łatwe. Nie można było po prostu kopiować numerów, a przecież każdy obywatel posiadał ich mnóstwo. Należało odtworzyć, a raczej stworzyć każdy dzień życia.

Dobra, pewne sprawy będzie można uprościć. Maszynę zbudowano dopiero przed ćwierćwieczem. Przedtem rejestry prowadzono na papierze i trzymano w co najmniej tuzinie różnych instytucji. Zróbmy Sama Halla mieszkańcem Nowego Jorku. Jego teczka została zniszczona podczas bombardowania przed trzydziestu laty. Papiery, które przechowywano w Nowym Waszyngtonie również zaginęły. Tak więc to on sam dostarczył szczegółów. Tyle, ile udało mu się zapamiętać, a nie musi być ich wiele.

Spróbujmy. „Sam Hall" to piosenka angielska, a więc Sam Hall powinien być Brytyjczykiem. Przybył do Ameryki z rodzicami, powiedzmy, jakieś 38 lat temu jako trzyletnie dziecko i naturalizował się razem z nimi, zanim jeszcze wprowadzono całkowity zakaz imigracji. Wychował się w dolnej części East Side, twardy dzieciak nowojorskich slumsów. Świadectwa szkolne zaginęły w bombardowaniu, ale twierdził, że ukończył 10 klas. Żadnych krewnych. Kawaler bez rodziny i bez określonego zawodu. Pracował gdzie popadło jako robotnik niewykwalifikowany. Wskaźnik lojalności BBA-0, co oznacza, że zadano mu kilka rutynowych pytań, które wykazały, że nie posiada żadnych poglądów politycznych i o to chodziło.

Ten życiorys jest zbyt blady. Warto dorzucić trochę gwałtu i przemocy. Thornberg zażądał informacji o nowojorskich komisariatach, zniszczonych w trakcie ostatnich nalotów i listy poległych oficerów policji miejskiej. Korzystając z obu tych wykazów budował rejestr drobnych przestępstw Sama Halla. Pijaństwo, zakłócanie porządku, awantury i bójki, podejrzenie o udział w napadach i włamaniach, ale nie zanadto, żeby nie przesadzić i nie sprowokować Agencji do wysłania ekipy hipnotechników w celu przesłuchania go.

Hmmm. Lepiej dać mu kategorię 4-F, niezdolny do służby wojskowej. Na jakiej podstawie? Początkujący narkoman. Dzisiaj rekruci nie są już tak potrzebni i odchyleńców raczej się leczy. Neokoka – nie nadweręża zbytnio zdolności umysłowych. Będzie dobra. Prawdę mówiąc po zażyciu ćpun robi się niesłychanie szybki i silny, chociaż później ma niebywały kociokwik.

Teraz czas przejść do przebiegu pracy zawodowej. Popatrzmy co się da zrobić. Spędził trzy lata jako robotnik fizyczny na budowie Tamy Colorado. Było tam zaangażowanych tylu ludzi, że nikt go dzisiaj nie będzie pamiętał, a w najgorszym razie będzie bardzo trudno znaleźć majstra, który mógłby go rozpoznać.

Teraz wypełnić ten szkielet. Thornberg musiał użyć kilku automatów. Każdy dzień w minionym ćwierćwieczu musiał być odnotowany, a szczególnie każda podróż lub zmiana miejsca zamieszkania. Thornberg poprosił o

listę tanich hotelików, w których nie dbano o przechowywanie kwestionariuszy meldunkowych (wszystko przecież odnotowywała Matylda) i gdzie szansa, że nędznie wyglądający klient zostanie zapamiętany była bardzo nikła. Jako obecny adres Sama Thornberg wpisał hotel Triton, osławiony dom noclegowy na East Side w pobliżu kraterów. Bezrobotny, żyjący z oszczędności. O cholera! Trzeba koniecznie wypełnić zeznania podatkowe. Thornberg zrobił to spiesznie.

Rysopis. Hmmm. Średniego wzrostu, krępy, o czarnych włosach i czarnych oczach, wygiętym nosie i z blizną na czole. Wygląda oprychowato, ale nie rzuca się zbytnio w oczy. Thornberg wpisał dokładne wymiary. Sfałszowanie układu linii papilarnych i linii siatkówki oka nie było problemem, wrzucił tylko obwód cenzorski, żeby nie skopiować przez przypadek linii żyjącego człowieka.

Skończył. Wyprostował się w fotelu i westchnął z ulgą. W opracowanym rejestrze było jeszcze mnóstwo luk, ale mógł je wypełnić później w wolnych chwilach. Dwie godziny pracy w pełnej koncentracji minęły w zasadzie bez najmniejszego efektu, jeśli nie liczyć faktu, że mógł się wyładować. Tak czy inaczej czuł się teraz lepiej.

Spojrzał na zegarek. Czas wracać do pracy, synku. Przez jeden buntowniczy moment pomyślał, że zegarek nie powinien zostać wymyślony. Z jednej strony zegarki były podstawą nauki, którą kochał, ale z drugiej – mechanizowały człowieka. Dość. Jest już zbyt późno. Wstał z fotela i wyszedł ze sterowni. Drzwi zamknęły się za nim automatycznie.

Minęło kilka tygodni zanim Sam Hall popełnił swą pierwszą zbrodnię.

Poprzednią noc Thornberg spędził w domu. Jego stopień gwarantował mu dobre warunki mieszkaniowe i chociaż był samotnym człowiekiem, mieszkał w dwóch pokojach z łazienką na 98 piętrze bloku mieszkaniowego w miasteczku, położonym nie opodal zamaskowanego wjazdu do podziemnego królestwa Matyldy. Fakt, że służył w Agencji, sprawiał, że ludzie traktowali go z nadmierną uległością, chociaż zdawali sobie sprawę, że nie należał do ekip śledczych. W rezultacie często czuł się osamotniony. Któregoś dnia dozorca usiłował zaoferować mu swą córkę: „ona ma tylko 23 lata, proszę pana. Właśnie odeszła od dżentelmena w randze marszałka i szuka miłego opiekuna". Thornberg odmówił, starając się z całej siły nie popaść w pruderyjny ton. „Być może innym razem" – pomyślał, choć wielkich szans nie miała, gdyż małżeństwo Thornberga trwało długo i było prawdziwie szczęśliwe.

Rozglądał się po półkach biblioteki starając się wybrać coś dobrego do czytania. Biuro Literackie okrzyczało ostatnio Whitmana wczesnym przykładem amerykanizmu, ale Thornberg nie gustował w poetach i jego ręka błądziła po wysłużonym grzbiecie pełnego plam i oślich uszu tomiku Marlowe'a. Czy to był eskapizm? LB zagłębiał się w eskapizm. Zgoda, to były ciężkie czasy. Niełatwo było należeć do narodu, którego misją było narzucenie pokoju posępnemu światu. Należało być energicznym, pełnym realizmu i czego tam jeszcze trzeba.

Zadzwonił telefon. Thornberg odszedł od półek i włączył monitor. Na ekranie pojawiła się prosta, pulchna twarz Marthy Obrenowicz. Jej siwe włosy były rozczochrane, a głos pełen przykrego rechotu.

– A, witaj – powiedział nieswoim głosem. Nie dzwonił do niej od chwili, gdy dowiedział się o aresztowaniu jej syna. – Jak się czujesz?

– Jimmy nie żyje – oznajmiła.

Przez dłuższą chwilę stał, skamieniały z wrażenia. W głowie miał pustkę.

– Otrzymałam dzisiaj wiadomość, że zmarł w obozie – kontynuowała Martha. – Pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć.

Thornberg bardzo wolno pokręcił głową. – To nie jest wiadomość, którą pragnąłbym kiedykolwiek usłyszeć, Martho.

– To niesprawiedliwość! – wrzasnęła Martha. – Jimmy nie był zdrajcą. Znałam mojego syna. Któż mógłby znać go lepiej? Miał kilku kolegów, co do których mogłabym mieć wątpliwości, ale Jimmy, on nawet...

W piersi Thornberga rosła zimna kula. Nigdy nie ma pewności czy rozmowa nie jest nagrywana.

– Przepraszam cię Martho – jego głos był drewniany – ale policja jest bardzo skrupulatna w tych sprawach. Nie działaliby, gdyby nie byli pewni. Sprawiedliwość jest jedną z naszych tradycyjnych wartości.

Popatrzyła na niego długo i uważnie. W jej oczach pojawiły się twarde błyski. – Ty też – stwierdziła wreszcie zimno.

– Uważaj na siebie Martho – ostrzegł ją. – Rozumiem, że to ciężki cios dla ciebie, ale nie mów niczego, czego później mogłabyś żałować. W końcu Jimmy mógł zginąć w jakimś wypadku, przez przypadek. Takie rzeczy się zdarzają.

– Zapomniałam – wykrztusiła z trudem przez ściśnięte gardło. – Ty... też... jesteś... z... Agencji.

– Uspokój się – mitygował ją Thornberg. – Pomyśl o tym w kategoriach ofiary złożonej ojczyźnie.

Wyłączyła się. Wiedział, że teraz już nie zadzwoni do niego, a spotykać się z nią nie jest rzeczą bezpieczną.

– Do zobaczenia Martho – powiedział głośno, ale nie był to jego głos.

Powrócił do półki z książkami. – To nie dla mnie – mruknął do siebie z cicha. – To dla Jacka. – Dotknął oprawy „Źdźbeł Traw". „Oh, Whitmanie, stary rebeliancie" – pomyślał i wstrząsnął nim jakiś niezwyczajny chichot.

Tej nocy zażył o jedną pigułkę nasenną więcej niż zwykle. Gdy przyszedł do pracy wciąż huczało mu w głowie. Po kilku minutach załatwiania codziennej korespondencji miał już dość i zszedł do laboratorium.

W trakcie rozmowy z Rodneyem, kiedy starał się usilnie skoncentrować na omawianych właśnie kwestiach technicznych, jego wzrok zatrzymał się na Matyldzie. Niespodziewanie dotarło do niego, że potrzebuje jakiegoś oczyszczenia. Przerwał rozmowę i skierował się do centralnej sterowni.

Przez dłuższą chwilę skupiał się, pochylony nad klawiaturą. Kreowanie życiorysu Sama Halla, dzień po dniu, wywoływało dziwaczne uczucia. Sam będąc człowiekiem cichym i introwertykiem, modelował postać krzepką, o awanturniczej przeszłości. Z wolna Sam Hall stawał mu się bardziej bliski niż wielu kolegów z pracy. „Fajnie, być może jestem typem schizoidalnym. Może powinienem zostać pisarzem. Nie, pisanie odpada. Łączy się ze zbyt wieloma ograniczeniami i wszechobecnym strachem przed cenzorem". To co robił z Samem Hallem dawało znacznie więcej przyjemności.

Odetchnął głęboko i zażądał informacji o nie wyjaśnionych zabójstwach oficerów Agencji Ochrony w rejonie Nowego Jorku w ostatnim miesiącu. Było ich niespodziewanie dużo. Czyżby to miało oznaczać, że ludzie są bardziej niezadowoleni niż przyznaje to rząd? Jeśli jednak większość narodu myśli w sposób określany jako zdrada, to czy wówczas termin ten jest właściwy?

Znalazł wreszcie informację, której szukał. W ubiegłym miesiącu, dwudziestego siódmego, sierżant Brady wjechał po zmroku do dzielnicy Crater. Wyruszając na patrol, zapewne dla wzbudzenia respektu, ubrał się w czarny mundur Agencji. Następnego ranka znaleziono go w bocznym zaułku z roztrzaskaną głową.

Oh, zabiłem człowieka, tak mówili, tak mówili.
Tak zabiłem człowieka, tak mówili, tak mówili
Rąbnąłem go w łeb
I porzuciłem, żeby skapiał
Tak, porzuciłem, żeby skapiał
Niech Bóg przeklnie jego oczy.

Gazety nie miały najmniejszych wątpliwości, potępiając tę brutalną napaść jako dzieło zdradzieckich agentów obcych mocarstw. *(Oh, ten klecha przyszedł tu, przyszedł tu).* Kilkunastu podejrzanych zostało natychmiast zatrzymanych i poddanych wnikliwemu śledztwu. *(Nawet szeryf, też tu jest, też tu jest).* Jak dotychczas niczego im nie udowodniono, ale jeden z podejrzanych, Joe Nikolsky (Amerykanin od pięciu pokoleń, mechanik, żonaty, czworo dzieci, w jego mieszkaniu znaleziono ulotki) został wczoraj formalnie aresztowany.

Thornberg kiwnął ze zrozumieniem głową. Za dobrze znał Agencję, żeby nie wiedzieć, że w takiej sprawie winny na pewno zostanie znaleziony. Agencja nie mogła sobie pozwolić na nadszarpnięcie swej reputacji – reputacji instytucji nieomylnej. Być może Nikolsky był winien, nie potrafił wszak udowodnić, że tego fatalnego wieczoru wyszedł tylko na spacer, a być może był niewinny. Ma

czwórkę dzieci. Z takim hakiem w rejestrze ich matka będzie mogła znaleźć pracę najwyżej w domu uciechy.

Podrapał się po głowie. Trzeba działać ostrożnie. Spróbujmy. Ciało sierżanta Brady'ego już zostało poddane kremacji, ale przedtem przeprowadzono oczywiście dokładną sekcję. Thornberg wyciągnął z maszyny rejestr zmarłego i wydrukował fragment dotyczący wyników sekcji. Nic nie znaleziono. Niszcząc wydruk i zmazując ekran wsunął do pamięci króciutkie stwierdzenie, że na kołnierzu ofiary znaleziono zatarte odbicie linii papilarnych kciuka i skierowano je do laboratorium identyfikacyjnego celem zrekonstruowania. Następnie do akt Identyfikacji dołączył meldunek z wykonania takiej czynności, sporządzony dopiero wczoraj ze względu na nawał zajęć. (Miało to pozory prawdy, ponieważ Identyfikacja miała rzeczywiście mnóstwo roboty z materiałami przysłanymi ostatnio z Marsa, gdzie znaleziono lokal, w którym spotykali się członkowie podziemia.) Prawdopodobny układ linii papilarnych, głosił meldunek, był jak na załączonym rysunku, tutaj wsunął obraz linii prawego kciuka Sama Halla.

Umieścił szpule pamięciowe na swoich miejscach i wyciągnął się w fotelu. Cała operacja była ryzykowna. Oczywiście pod warunkiem, że komuś chciałoby się sprawdzić w laboratorium Identyfikacji czy rzeczywiście badano zatarty ślad kciuka na kołnierzu munduru sierżanta Brady'ego. Coś takiego było jednak mało prawdopodobne. Nowy Jork zaakceptuje wyniki badań rutynowym podziękowaniem, które dyżurny urzędnik laboratorium Identyfikacji skieruje mechanicznie ad acta. W zasadzie nic nie groziło. Przemęczeni policjanci nie będą przecież jeszcze raz sprawdzać linii papilarnych wszystkich podejrzanych i pytać ich, czy dotykali kołnierza ofiary. Jeśli nawet poddany hipnoquizowi Nikolsky przyzna się do zamordowania sierżanta Brady'ego, to wówczas ślady na kołnierzu zostaną uznane za pozostawione przez przechodnia, który znalazł zwłoki, ale nie zameldował o tym władzom.

Nie ma co mówić, Sam Hall zamordował oficera Agencji. Chwycił go za kark i roztrzaskał mu czaszkę potężną łapą. Thornberg poczuł się o wiele lepiej.

Nowojorskie bezpieczeństwo zażądało od Archiwum Centralnego najnowszych materiałów dotyczących śmierci sierżanta Brady'ego. Automat przyjął zlecenie, porównał z kodami pamięciowymi i stwierdził, że dodano świeże informacje. Wiadomość o tym została błyskawicznie przesłana do Nowego Jorku razem z rejestrami Sama Halla i dwóch innych ludzi, na których, jako na przypuszczalnych morderców, wskazywała rekonstrukcja linii papilarnych. Tych dwóch szybko wykluczono. Mieli niepodważalne alibi. Ekipa operacyjna, która wpadła do hotelu Triton poszukując Sama Halla stanęła wobec osłupiałych ze zdumienia pracowników i gości. Nikt nie pamiętał, żeby kiedykolwiek ktoś o takim nazwisku tu się meldował. Nie widziano nikogo o podobnym rysopisie. Energiczne i szeroko zakrojone śledztwo potwierdziło jedynie prawdziwość początkowych zeznań. Pozostawało jedyne wyjaśnienie: Samowi Hallowi udało się podać fałszywy adres. Mógł to zrobić bez większych trudności. Mógł po prostu wystukać adres na klawiaturze hotelowego terminala w chwili, gdy nikt nie zwracał uwagi na to, co się dzieje w recepcji. Sam Hall mógł więc przebywać gdzie chciał, wszędzie!

Joe Nikolsky został zahipnotyzowany, ale stwierdzono, że jest niewinny i zwolniono go. Grzywna za przechowywanie wywrotowej literatury wpędziła go w długi na jakieś pięć najbliższych lat, nie miał wystarczająco wpływowych przyjaciół, którzy załatwiliby gdzie trzeba wyrok w zawieszeniu, ale poza tym, uważając na siebie, nie musiał obawiać się poważniejszych kłopotów. Agencja Ochrony ogłosiła natomiast pilne poszukiwania Sama Halla.

W Thornbergu rosło przewrotne zadowolenie, gdy obserwował policyjne polowanie na podstawie informacji napływających do Matyldy. Sprawdzono wszystkie bilety wykupione na transport publiczny. Bezskutecznie. Numer ewidencyjny Sama Halla nie pojawił się na żadnym bilecie. To jeszcze nic nie znaczyło. Z setek ludzi, którzy znikali bez wieści każdego roku wielu musiało być mordowanych specjalnie dla zdobycia ich kart identyfikacyjnych. Wprowadzono więc do Matyldy specjalny program, który miał podnieść alarm, jeśli gdziekolwiek wypłynie na powierzchnię numer ewidencyjny osoby zaginionej. Thornberg sfałszował kilka takich meldunków, ot, tylko po to, żeby dać policji nieco zajęcia.

Spał coraz gorzej, co odbijało się w pracy. Spotkał przypadkiem na ulicy Marthę Obrenowicz. Przeszedł śpiesznie obok niej, nawet się nie kłaniając. Nie mógł później zasnąć przez całą noc mimo zażycia maksymalnej dopuszczalnej dawki środków nasennych.

Prace nad systemem nowych numerów ewidencyjnych zostały zakończone. Maszyny wysłały do wszystkich obywateli zawiadomienia wraz z wezwaniem do stawienia się w ciągu 6 tygodni celem wytatuowania na prawej łopatce nowego numeru. Każdy punkt tatuażu nadsyłał informację, że taki to a taki obywatel zgłosił się i otrzymał taki to a taki numer ewidencyjny, a roboty Matyldy wprowadzały odpowiednie korektury w rejestrach pamięci. Sam Hall, numer AX-428-399-075, nie zgłosił się do tatuowania. Thornberg aż zachichotał jak odczytał ten numer: AX – Anonim X.

Jakiś czas potem nadano w dzienniku telewizyjnym wiadomość, która przykuła wszystkich do ekranów. Na siedzibę First National Bank w mieście Idaho napadli bandyci i uciekli z pięcioma milionami dolarów w używanych banknotach. Oceniając ich zdyscyplinowanie i świetne wyposażenie, można założyć, że byli to agenci rebeliantów. Nie jest wykluczone, że przybyli statkiem kosmicznym z tajnej bazy międzyplanetarnej specjalnie w celu zdobycia środków na swoją niegodziwą działalność. Agencja w ścisłej współpracy z Siłami Zbrojnymi rozpoczęła energiczne śledztwo i pierwszych aresztowań należy się spodziewać w ciągu najbliższych godzin, itd., itd.

Thornberg poszedł do centralnej sterowni Matyldy zapoznać się z prawdziwym przebiegiem wypadków. Była to śmiała i błyskawiczna akcja. Wiele wskazuje na to, że rabusie mieli na twarzach plastykowe, zmieniające rysy maseczki, a pod normalnymi ubraniami koszulki pancerne. W czasie ucieczki jednemu z napastników maska przekrzywiła się na chwilę i urzędnik bankowy, który przypadkowo stał obok, zauważył fragment jego prawdziwej twarzy. Z pomocą hipnozy udało się uzyskać wcale niezły rysopis. Krępa budowa, włosy brązowe, rzymski nos, wąskie usta z małym wąsikiem.

Thornberg zawahał się. Kawał kawałem, pomaganie biednemu Nikolsky'emu było, być może, moralnie słuszne, ale pomoc i zachęcanie do przestępstwa, które nosiło wszelkie znamiona zdrady...

Uśmiechnął się smutnie do siebie. Zabawa w Stwórcę była zbyt pociągająca. Błyskawicznie zmienił zapis zeznań. Przestępca był teraz średniego wzrostu, ciemnej karnacji, miał bliznę i złamany nos. Odchylił się w fotelu zastanawiając się czy jest jeszcze zdrowy na umyśle. I czy inni są zdrowi.

Centrala Agencji Ochrony zażądała kompletnej dokumentacji napadu, ze wszystkimi korelacjami, jakie maszyna była zdolna przeprowadzić. Otrzymała je. Podany rysopis mógł pasować do wielu ludzi, ale czytnik Matyldy wybrał tylko jedną ewentualność. S a m H a l l.

Sfora psów ruszyła ujadając świeżym tropem. Tej nocy Thornberg spał dobrze.

Kochany Tatusiu!
Przepraszam, że nie pisałem tak długo, ale byliśmy tutaj bardzo zajęci. Przez ostatnich kilkanaście tygodni byłem,

Poul ANDERSON

Ostatnio był prezentowany w „Fantastyce" nr 2 z bieżącego roku. Tutaj daje swoją wersję fantastyczno-naukowego zastosowania komputera. Temat to szacowny i prawie równie stary jak SF. Były już komputery „dobre" – zawierające pokój ponad głowami ludzi, i „złe" – zbuntowane lub oszalałe. Były takie, które awansowały do roli Boga (słynne „Ostatnie pytanie" Asimova) i takie, które raczej przypominają pyskate skrzaty (gadające taksówki i lodówki Dicka). Od kilku lat w amerykańskiej fantastyce rozwija się nurt zwany „cyber-punk", obrazujący zrośnięcie się człowieka z komputerem. W opowiadaniu Andersona, wcześniejszym i bardziej tradycyjnym, motyw wciągnięcia komputera do spisku przypomina podobną sytuację z powieści Heinleina „Moon is a Harsh Mistress".

L.J.

jak wiesz, na patrolu w Gorbuwashtarze. Strasznie opustoszały region, jak wszystkie rozsadzone planety. Czasami wątpiłem nawet, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzę Słońce. Nie mówiąc już o jeziorach i lasach... któż to pisał o zielonych Ziemi pagórkach? Nie mamy tu wiele czasu na czytanie i czasami czuję, że mój umysł rdzewieje. Proszę nie traktuj tego jako skargi. Ja wiem, że ktoś tutaj musi siedzieć.

Ledwie wróciliśmy z patrolu kiedy wezwano nas na operację specjalną, wsadzono do rakiet i przerzucono na drugą stronę planety w trakcie najsilniejszego huraganu, jaki kiedykolwiek przeżyłem na Wenus. Gdyby nie to, że jestem oficerem, a więc, jak mi się wydaje, dżentelmenem, wyrzygałbym wnętrzności. Wielu chłopaków niemal to zrobiło i przy lądowaniu nasza załoga wyglądała raczej marnie, ale natychmiast skierowano nas do akcji. W kopalni toru wybuchł strajk i miejscowe chłopaki nie mogły dać sobie rady. Musieliśmy użyć broni, zanim udało nam się doprowadzić ich do rozsądku. Tatusiu, żal mi tych biednych wariatów, przyznaję. Oni SKREŚLONE PRZEZ CENZURĘ ktoś musi wykonać również tę robotę i jeśli nie ma ochotników, za żadne pieniądze, trzeba arbitralnie kierować do tego ludzi ze służb państwowych. To dla dobra kraju.

Poza tym nic nowego. Życie jest raczej monotonne. Nie wierz w pełne przygód opowiadania. Przygodą są tygodnie nudy, przerywane chwilami panicznego strachu. Przepraszam, że piszę tak krótko, ale chcę nadać list odlatującą właśnie rakietą. Druga taka okazja nie trafi się przez jakieś dwa miesiące.

U mnie wszystko w porządku, naprawdę. Mam nadzieję, że u Ciebie też i czekam z myślą, że się znów spotkamy. Miliony podziękowań za ciasteczka. Wiesz doskonale, że cię nie stać na takie przesyłki, stary rozrzutniku. To Martha je piekła, co? Poznałem kuchnię Obrenowiczów. Pozdrów ją ode mnie i Jimma też. Myślę o tobie stale. Twój jak zawsze.

Jack

W dzienniku telewizyjnym nadano listy gończe za Samem Hallem. Wprawdzie brakowało fotografii, ale grafik opierając się na precyzyjnych danych Matyldy był w stanie narysować całkiem dokładny wizerunek i teraz okrutna twarz Sama straszyła ze ścian gmachów publicznych. Minęło trochę czasu, a w Denver z przejeżdżającego samochodu rzucono do biur Agencji granat. Wóz zamachowców zagubił się w ruchu ulicznym, ale znalazł się świadek, który przez moment widział rzucającego granat i w stanie hipnozy podał fragmentaryczny rysopis, całkiem zbliżony do wyglądu Sama Halla. Thornberg poprawił troszeczkę uzyskany materiał dowodowy i zeznania świadka jeszcze bardziej zbliżyły zamachowca do wyglądu Sama. Taka manipulacja była oczywiście ryzykowna, gdyż Agencja mogła raz jeszcze skonfrontować posiadany materiał ze świadkami, ale prawdopodobieństwo podobnej kontroli było znikome. Naukowo przesłuchiwany człowiek ujawnia wszystko co wie, co zostało zakodowane w jego świadomości, podświadomości i pamięci komórkowej. Nie ma więc powodu do powtarzania podobnego przesłuchania.

Thornberg wielokrotnie starał się przeanalizować motywy swojego działania. Nie lubił rządu, to jasne, ale jeśli tak, to znaczy, że ukrywał tę nienawiść przez całe życie, pieczołowicie nie dopuszczając jej do swej świadomości i dopiero niedawno ona się wyzwoliła i opanowała jego umysł. Nawet podświadomość przez cały ten czas nie podejrzewała, co się dzieje, gdyż w przeciwnym razie musiałaby zdradzić go podczas testów lojalności. Nienawiść narodziła się z lat wątpienia (Czy rzeczywiście istniały jakieś powody rozpoczęcia wojny z Brazylią inne niż uzyskanie tych baz i koncesji górniczych, o których tyle mówiono? Czy przypadkiem chiński atak nie został sprowokowany, albo nawet sfabrykowany, ponieważ rząd w Pekinie stale i zdecydowanie zaprzeczał, jakoby uderzył pierwszy?) i milionów drobnych frustracji, jakie niesie życie w państwie stanu wojennego. Cisza – jej siła! Gwałt!

Kreując Sama Halla uderzył po raz pierwszy, ale było to zaledwie słabe pchnięcie, drobny gest. Najprawdopodobniej jego głównym motywem w tym momencie była chęć wyładowania się w możliwie najbezpieczniejszy sposób. Tworząc Sama Halla obdarzył go wszystkimi cechami bestii, która tkwiła w nim samym. Kilkanaście razy usiłował przerwać swą akcję sabotażową, ale była ona jak narkotyk. Sam Hall stał się niezbędny dla jego własnej równowagi pychicznej.

Sytuacja stawała się niepokojąca. Powinien właściwie odwiedzić psychiatrę, ale lekarz będzie musiał złożyć doniesienie o takim przypadku i wówczas on sam trafi do obozu, a Jack, jeżeli nawet jego kariera nie zostanie całkiem zrujnowana, będzie miał haka na całe życie. Thornberg nie miał najmniejszej ochoty trafić do obozu. Jego życie miało swoje dobre strony: interesująca praca, kilku dobrych przyjaciół, sztuka i muzyka, literatura, niezłe wina, zachody słońca w górach, wspomnienia. Zaczął tę grę pod wpływem nagłego impulsu i teraz było już za późno, żeby się wycofywać.

Sam Hall został ogłoszony wrogiem publicznym numer 1.

Nadeszła zima i stoki Gór Skalistych, pod którymi spoczywała Matylda, zbielały pod mroźnym, zielonkawym niebem. Ruch powietrzny wokół pobliskiego miasteczka gubił się w ogromie szczytów jak meteory w nieskończoności Wszechświata. Ruch kołowy był dla patrzącego spod wejścia do Archiwum całkowicie niewidoczny. Thornberg udawał się co ranka do pracy specjalnym ruchomym chodnikiem, ale często wracał pieszo, przemierzając pięć dzielących go od domu mil. Niedziele spędzał zwykle na długich wycieczkach stromymi ścieżkami. Spacerować zimą samotnie w górach było ciężką głupotą, ale Thornberg nie zważał na niebezpieczeństwa.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem pracował właśnie w biurze, gdy z interkomu dobiegł go głos:

– Major Sorensen chciałby się z panem widzieć. Z Departamentu Śledczego!

Thornberg poczuł jak żołądek zwija mu się w zimną kulę. – Dobrze, proszę – odpowiedział i aż zdziwił się spokojnym brzmieniem swego głosu. – Odwołaj proszę inne spotkania. – Departament Śledczy Agencji miał pierwszeństwo przed wszystkim i wszystkimi.

Sorensen wszedł do pokoju twardym, wojskowym krokiem. Był to potężny blondyn o szerokich barkach, kamiennej twarzy i oczach tak bladych, zimnych i pustych jak zimowe niebo. Czarny uniform leżał na nim jak druga skóra, błyszcząca odznaka jego służby świeciła na czerni jak zamrożona gwiazda. Stanął sztywno przed biurkiem, a Thornberg wstał i niezgrabnie zasalutował.

– Proszę usiąść majorze Sorensen. Co mogę dla pana zrobić?

– Dziękuję. – Głos supergliny był energiczny i ostry. Usiadł ciężko i przewiercił Thornberga swoimi przenikliwymi oczami. – Przyszedłem tu w sprawie Sama Halla.

– Oh, tego rebelianta? – Thornberg pokrył się gęsią skórką. Starał się ze wszech sił wytrzymać wzrok Sorensena.

– Skąd pan wie, że to rebeliant? – zapytał Sorensen. – Oficjalnie jeszcze tego nie ogłoszono.

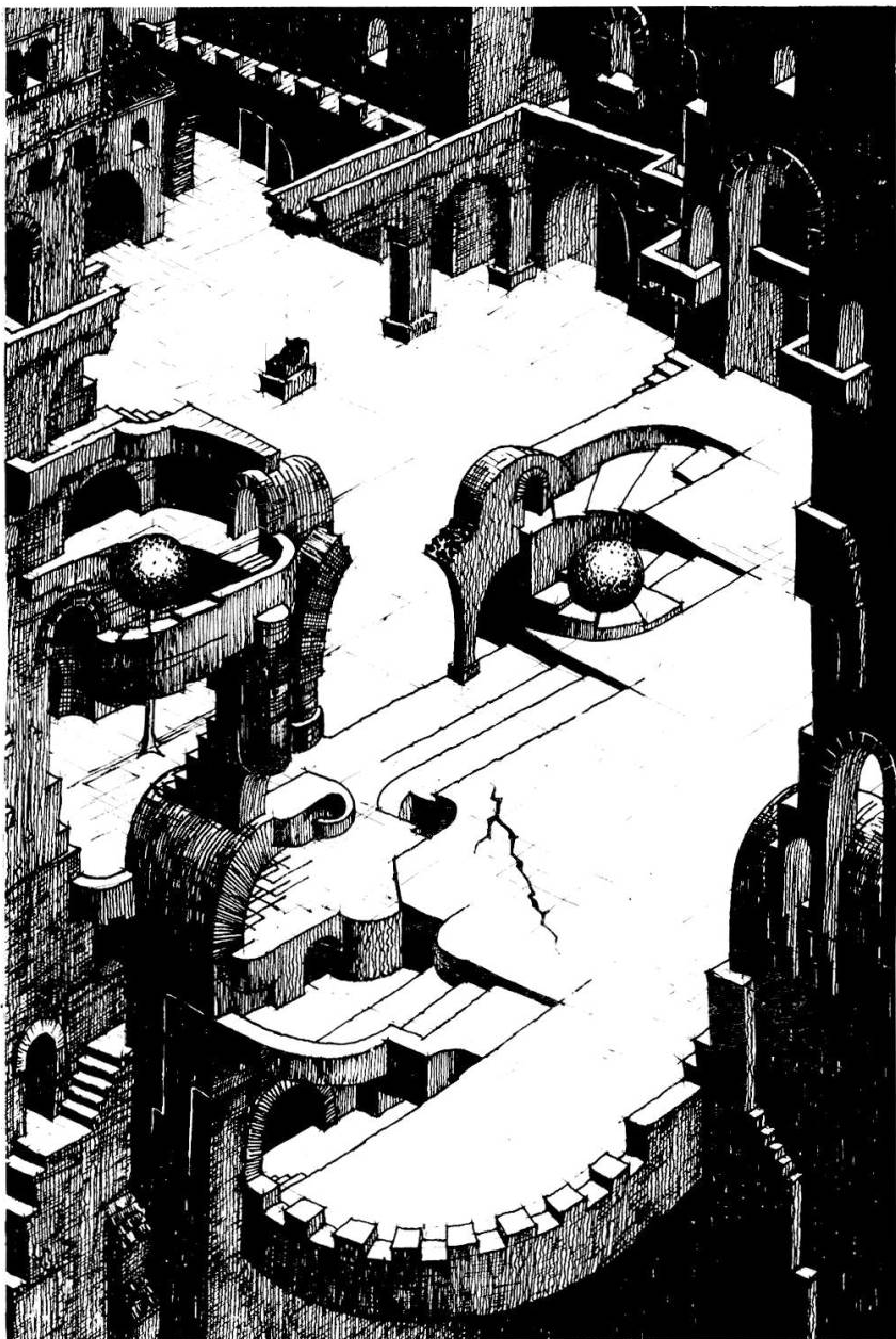
– Skąd... tak mi się wydawało... ten napad na bank... a potem te plakaty... że należy do podziemia.

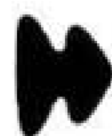
Sorensen przechylił lekko swą krótko ostrzyżoną głowę. Jego głos był spokojny, niemal niedbały. – Niech pan mi powie, majorze Thornberg, nie studiował pan przypadkiem rejestru Halla?

Thornberg zawahał się. Bez rozkazu nie miał prawa tego robić, jego obowiązkiem było tylko konserwować maszynę. – Gdy podejrzewają cię o wielki grzech, przyznaj się do mniejszego – przypomniał sobie myśl, którą gdzieś przeczytał lub usłyszał. – To rozwiewa podejrzenia.

konkursy

Robert Marcinkowski





– Prawdę mówiąc, tak – powiedział głośno. – Wiem, że regulaminy zakazują, ale byłem ciekaw... Nie przypuszczam, aby w czymś mogło to zaszkodzić. Oczywiście wszystkie informacje zachowałem dla siebie – dorzucił spiesznie.

– Nieważne – Sorensen machnął swą muskularną ręką. – Jeśliby pan tego jeszcze nie zrobił, musiałbym wydać panu taki rozkaz. Chciałbym bowiem poznać pańską opinię w tej sprawie.

– Dlaczego? Ja nie jestem detektywem...

– Myślę, że zna pan Archiwum lepiej niż ktokolwiek inny. Chciałbym być z panem szczery, oczywiście pozostanie to między nami. – Sorensen spoglądał teraz prawie przyjaźnie. „Czy jest to podstep, aby uśpić czujność ofiary?" – Widzi pan, moim zdaniem jest kilka zagadkowych kwestii w tej aferze.

Thornberg milczał. Zastanawiał się, czy Sorensen może dosłyszeć łomot jego serca.

– Sam Hall jest cieniem – kontynuował superglina. – Sprawdzono dokładnie i wykluczono, że może być sobowtórem innego człowieka o tym samym nazwisku. Prawdę mówiąc ustaliliśmy, że nazwisko pochodzi ze starej pieśni pijackiej. Przypadek, czy też pieśń podsunęła Hallowi pomysł przestępstwa? A może udało mu się, dzięki jakiejś niebywałej sztuczce, zastąpić pseudonimem Sam Hall swe prawdziwe nazwisko w rejestrze Archiwum Centralnego. Rzekomo nie przeszedł przeszkolenia wojskowego, a mimo to zaplanował kilka wspaniałych, precyzyjnych ataków. Jego iloraz inteligencji wynosi tylko 110, ale potrafi się wymknąć z każdej naszej pułapki. Nie miał poglądów politycznych, a jednak bez ostrzeżenia zaatakował Agencję. Nie byliśmy w stanie znaleźć ani jednego człowieka, który by go znał. Nikogo, proszę mi wierzyć, chociaż obróciliśmy każdy kamień. Oh, jest oczywiście kilka mglistych zapisów w podświadomości, które mogą być jego odbiciem, ale prawdopodobnie nie są, a przecież tak awanturnicza osobowość powinna być pamiętana świadomie. Żaden członek podziemia, żaden złapany w ostatnim czasie agent obcego kraju nie ma o nim najmniejszego pojęcia, a to już jest przeciwne prawdopodobieństwu. Cały ten interes wydaje się nieprawdopodobny.

Thornberg oblizał wargi. Mając takie doświadczenie w polowaniach na ludzi Sorensen musiał zorientować się, że on się boi, ale czy potraktuje ten strach tylko jako naturalną reakcję zdenerwowanego człowieka siedzącego naprzeciw oficera Agencji?

Przez twarz Sorensena przemknął twardy uśmiech. – Sherlock Holmes powiedział pewnego razu, że kiedy wyeliminuje się wszystkie hipotezy, ta, która pozostanie musi być prawdziwa, choćby była najmniej prawdopodobna.

Wbrew chęciom Thornberg poczuł sympatię do Sorensena. Nie przypuszczał, że może on czytać książki.

– No dobrze – formułował z wolna pytanie – jaka jest pańska ostatnia hipoteza?

Siedzący po drugiej stronie biurka mężczyzna długo badał go wzrokiem, Thornbergowi wydawało się, że przez wieczność, zanim odpowiedział:

– Podziemie jest silniejsze i liczniejsze niż ludziom się wydaje. Mieli około 70 lat na dobre przygotowanie się i w ich szeregach jest wiele doskonałych mózgów. Oni prowadzą własne badania naukowe. To co mówię jest ściśle tajne, ale wiemy, że wynaleźli nowy typ broni, której nie udaje się nam odtworzyć. Jest to, jak się wydaje, ręczna broń miotająca energię, coś w rodzaju piorunów o potężnej sile. Może pan to nazwać garłaczem piekielnym. Wcześniej czy później rozpoczną otwartą wojnę z rządem. Powstaje pytanie, czy przypadkiem nie dokonali podobnego odkrycia w psychologii? Czy nie wynaleźli sposobu na wymazywanie lub kamuflowanie wybiórczo pamięci, nawet na poziomie pamięci komórkowej? Czy są w stanie oszukać probierz osobowości? Słowem czy potrafią maskować swoje myśli? Jeżeli tak, to wokół nas może być wielu Samów Hallów, którzy pozostaną nie wykryci aż do chwili, kiedy zdecydują się uderzyć.

Thornberg poczuł, że flaczeje. Nie mógł powstrzymać wszechogarniającego uczucia ulgi i miał nadzieję, że Sorensen weźmie to za oznakę zaniepokojenia.

– To przerażająca perspektywa, nieprawdaż? – Potężny blondyn zaśmiał się chrypliwie. – Może pan sobie wyobrazić jak czują się ci na górze. Zmobilizowaliśmy wszystkich psychologów, których mamy pod ręką i co? I nic. Idioci! Trzymają się uznanych doktryn i są zbyt strachliwi, żeby pokusić się o oryginalność nawet kiedy domaga się tego państwo.

Oczywiście, to może być tylko dziwny pomysł. Mam nadzieję, że tak jest, ale my musimy mieć pewność. Dlatego też zdecydowałem się przyjść do pana osobiście, zamiast wysłać panu wezwanie. Chciałbym, żeby przejrzał pan dokładnie rejestry. Wszystko, co pańskim zdaniem może łączyć się ze sprawą, każdego człowieka, każde odkrycie, każdą hipotezę. Ma pan szeroką wiedzę techniczną, a z pańskiej dokumentacji psychologicznej wynika, że ma pan nadzwyczaj twórczą wyobraźnię. Chciałbym, żeby zrobił pan co w pańskiej mocy i spróbował porównać różne dane. Może pan wciągnąć do współpracy kogo pan chce. Proszę złożyć w moim biurze raport na temat możliwości, a raczej prawdopodobieństwa, w tej sprawie, a jeśli okaże się, że istnieje jakakolwiek szansa, że nasze obawy są słuszne, proszę sporządzić ramowy program badań, które pozwoliłyby skopiować rezultaty i opracować środki zaradcze.

Thornberg z trudem dobierał słowa. Miał pustkę w głowie. – Spróbuję – wykrztusił. – Zrobię co w mojej mocy.

– Dobrze. To sprawa wagi państwowej.

Sorensen skończył oficjalną część odwiedzin, ale jeszcze nie zabierał się do wyjścia. – Propaganda rebeliantów jest subtelna – stwierdził cicho, po dłuższej przerwie. – Jest niebezpieczna, gdyż używa naszych sloganów zmieniając ich znaczenie. Wolność, równość, sprawiedliwość, pokój. Zbyt wielu ludzi nie może pojąć, że czasy się zmieniły i znaczenie słów również musi się zmieniać.

– Nie przypuszczam – powiedział ostrożnie Thornberg. – Nigdy nad tym się głębiej nie zastanawiałem – skłamał gładko.

– Powinien pan – głos Sorensena brzmiał zachęcająco. – Niech pan studiuje historię. Kiedy przegraliśmy III Wojnę Światową musieliśmy zmilitaryzować społeczeństwo i kraj, żeby wygrać czwartą, a później dla własnego bezpieczeństwa musieliśmy objąć kontrolą całą ludzkość. Ludzie domagali się tego wówczas.

„Ludzie – pomyślał Thornberg – nigdy nie doceniają wolności, aż ją stracą. Zawsze są gotowi sprzedać swe prawo za miskę soczewicy. A może jest to tylko brak umiejętności myślenia i przenikania przez mgłę demagogii, wyobrażenia sobie, jakie mogą być konsekwencje własnych pragnień?" Przeraził się własnych myśli. Czy już nie jest w stanie kontrolować nawet własnego umysłu?

– Rebelianci – ciągnął Sorensen – twierdzą, że warunki się zmieniły i militaryzacja nie jest już, o ile kiedykolwiek była, konieczna oraz że Ameryka może być wystarczająco bezpieczna w ramach federacji wolnych państw. Jest to diabelsko cwana propaganda, majorze Thornberg. Niech pan na nią uważa.

Sorensen wstał i wyszedł z pokoju. Thornberg jeszcze przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo, gapiąc się na drzwi. Ostatnie słowa Sorensena brzmiały co najmniej dziwnie. Chciał dać coś do zrozumienia, czy zastawić pułapkę?

Następnego dnia do Matyldy trafiły wiadomości, których szczegóły skrupulatnie cenzurowano, podając do rozpowszechnienia środkom masowego przekazu. Desant rebeliantów wylądował na spacerniaku obozu Jackson w stanie Utah. Strażników wystrzelano, więź-

niów uwolniono. Lekarz więzienny, którego oszczędzono, zeznał, że dowódca desantu, krępy mężczyzna w masce na twarzy, powiedział ironicznie na pożegnanie: „Przekaż swoim, że ja jeszcze wrócę. Nazywam się Sam Hall".

Statek Gwardii Kosmicznej został wysadzony w powietrze na lądowisku Mesa Verde. Na jednym z metalowych szczątków ktoś naskrobał: „Pozdrowienia od Sama Halla".

Magazyny kwatermistrzowskie armii zostały obrabowane z miliona dolarów. Szef napastników poinformował przed ucieczką, że nazywa się Sam Hall.

Patrol Agencji został ostrzelany z broni maszynowej podczas rajdu na domniemaną kryjówkę agentów podziemia w Nowym Pittsburgu. Głos dobywający się z ukrytych megafonów obwieszczał: „Nazywam się Sam Hall".

Dr Matthew Thomson, chemik z Seattle, podejrzany o kontakty z podziemiem zniknął z domu kilka minut przed wkroczeniem agentów Ochrony. Na biurku zostawił notatkę: „Wyskoczyłem spotkać się z Samem Hallem. Wracam po wyzwoleniu. MT".

Zakład zbrojeniowy koło Miami produkujący ważne elementy do bomb został zniszczony przez niewielki ładunek nuklearny. Dyrekcja otrzymała ostrzeżenie o podłożeniu bomby wraz z informacją, że pozostało pół godziny na ewakuację personelu. Rozmówca przedstawił się jako Sam Hall.

Laboratoria armii lądowej w Houston otrzymały podobne ostrzeżenie od osobnika również podającego się za Sama Halla. Alarm okazał się fałszywy, ale stracono cały dzień na poszukiwania bomby.

Od Nowego Jorku po San Diego, od Duluth po El Paso na murach domów zaczęły pojawiać się napisy: *Sam Hall, Sam Hall, Sam Hall.*

Nie ma co, myślał Thornberg, podziemie postanowiło nie przepuścić okazji i wykorzystać do swoich celów legendę o niewidzialnym i niezwyciężonym człowieku. Doniesienia napływające z całego kraju świadczyły, że Sam Hall pojawił się w kilkuset miejscach naraz. Sam Hall tutaj, Sam Hall tam. 99 procent okazywało się fałszywymi alarmami, halucynacjami bądź zwykłymi pomyłkami, ot, po prostu zwariowana moda, owoc niepewnych czasów, tak jak w XVI i XVII wieku polowania na czarownice, a w XX wieku latające spodki, ale Agencja i zwykła policja musiały sprawdzić każde doniesienie.

Thornberg sam podrzucił kilka fałszywych meldunków, ale na szerszą akcję nie miał czasu, gdyż był zajęty zleceniem, przekazanym przez Sorensena. Dobrze zdawał sobie sprawę, jakie znaczenie miało ono dla rządu. Życie w państwie stanu oblężenia nieuchronnie musiało zasadzać się na strachu i braku zaufania. Każdy powinien czujnie obserwować swojego sąsiada, ale koniec końców hipnoquizy i drobiazgowe dokumentacje psychologiczne dawały organom władzy pewien margines swobody, pewien komfort rządzenia. Teraz kiedy ten stołek spod nich wylatywał...

Wstępne studia, które przeprowadził, wskazywały, że hipoteza Sorensena, chociaż teoretycznie niemożliwa do wykluczenia, leżała daleko poza granicami możliwości współczesnej nauki, nawet jeżeli założyło się, że rebelianci dysponowali większą wiedzą. Prowadzenie badań na skalę praktyczną można było spokojnie uznać za marnowanie czasu i umiejętności specjalistów.

Thornberg spędził wiele bezsennych nocy i zużył niemal cały miesięczny przydział papierosów zanim zdecydował się co w tej sytuacji robić. Pomógł nieco insurekcji, zgoda, i nie powinien teraz sam się wstrzymywać, ale z drugiej strony czy rzeczywiście o to mu chodziło?

Kariera Jacka była zapewniona. Kochał niezmierzone przestrzenie Kosmosu, tak jak kocha się kobietę. Ale jeśli coś się zmieni? Jak wówczas wyglądać będzie przyszłość Jacka? A teraz? Co on ma teraz? Upchnięty gdzieś na ponurej planecie, gdzie pełni rolę strażnika i kata stęsknionych, głodujących i ginących od radiacji więźniów, nie mających nawet szansy ujrzenia światła słonecznego. Nadejdzie dzień, kiedy Jack zajmie koję w porządnym próżniopławie. Odważni ludzie będą potrzebni do eksploracji przestrzeni poza Saturnem. Jack jest zbyt prostolinijny, żeby stać się prawdziwym rebeliantem, ale Thornberg czuł, że gdy pierwszy szok minie, Jack z zadowoleniem powita nowy rząd.

Ale zdrada! Przysięga!

Kiedy w trakcie rozwoju ludzkości...

Thornberga przekonał przypadek. Mijał sklep w centrum miasta, gdy zauważył grupę członków Młodej Gwardii rozbijających wystawę i rozlewających żółtą farbę na wyłożone w witrynie towary. O Mojżeszu, Jezusie, Mendelssohnie, Herzu i Einsteinie!

Kiedy już wkroczył na ścieżkę wojenną ogarnęła go dziwna pogoda ducha. Ukradł fiolkę cyjanku znajomemu chemikowi i trzymał ją stale w kieszeni, a jeśli chodzi o Jacka, to teraz chłopak będzie mógł decydować sam.

Gra była trudna i niebezpieczna. Musiał przerabiać fakty, które były dostępne w innych źródłach, książkach, pismach naukowych i pamięci ludzi. Z podstawowymi teoriami nic oczywiście nie dało się zrobić, ale wyniki ilościowe można już było trochę naciągnąć, tak, żeby obraz ogólny wypadł zgodnie z założonym planem. Miał swobodę w doborze współpracowników i wybrał takich ekspertów, których psychotypy wskazywały, że prawdopodobnie pójdą na łatwiznę i będą korzystać wyłącznie z danych Matyldy, nie sięgając do oryginalnych źródeł. Dzięki temu korelacje i integracje niezliczonych danych, równania empiryczne i ekstrapolacyjne będą manipulowane.

Codzienne obowiązki przekazał Rodneyowi i całkowicie poświęcił się nowemu zadaniu. Schudł i stał się drażliwy. Kiedy Sorensen wpadł na chwilę i próbował go nacisnąć, odburknął krótko: – Chcę pan szybkości czy jakości? – i nawet nie zdziwił się swą odwagą. Spał niewiele, ale jego umysł był niemal nienaturalnie jasny i sprawny.

Zima przechodziła w wiosnę, Thornberg i jego eksperci pracowali nieustannie, a krajem wstrząsały psychiczne i fizyczne fale gwałtu spod znaku Sama Halla. W maju raport był gotowy. Był tak gruby i pełen szczegółów, że Thornberg nie przypuszczał, żeby naukowcom rządowym chciało się odwoływać do innych źródeł. Konkluzja raportu była pozytywna: technika maskowania psychologicznego wydaje się prawdopodobna pod warunkiem, że doskonali fachowcy zastosują matrycę Belloniego do formuł cybernetycznych i użyją sondy koloidalnej nieznanego rodzaju.

Rząd skierował do dalszych badań wszystkich specjalistów, jakich miał do dyspozycji. Thornberg wiedział, że wykrycie fałszu w jego raporcie jest tylko kwestią czasu.

Nie był w stanie przewidzieć, kiedy to nastąpi, ale gdy się już dowiedzą to...

A teraz na linie, w górę, w górę
A teraz na linie, w górę, w górę
I sukinsyny zostają w dole
Wołają „Sam mówiliśmy ci"
Wołają „Sam mówiliśmy ci"
Niech Bóg przeklnie wasze oczy.

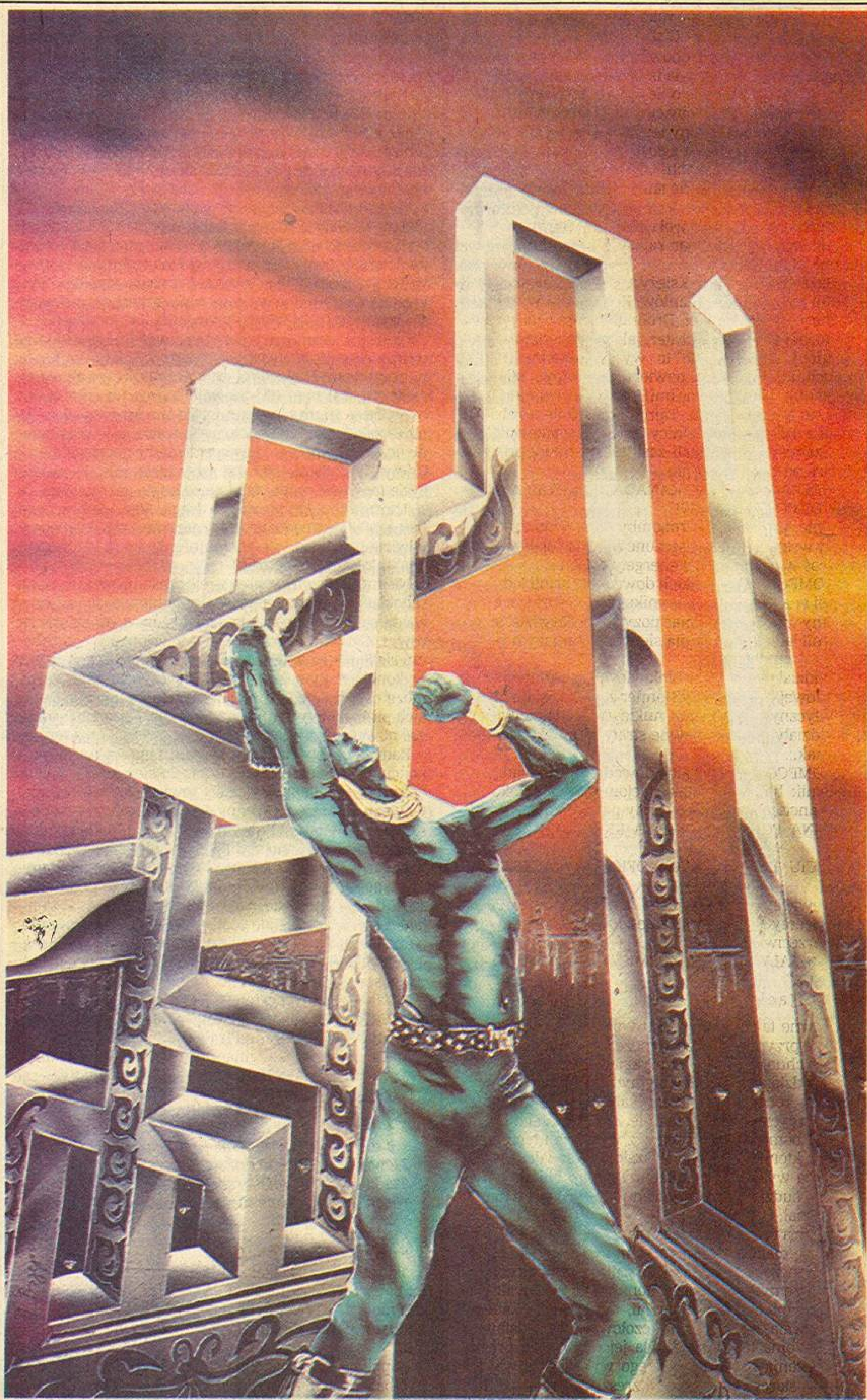
„ATAK REBELIANTÓW"

„STATKI KOSMICZNE WYLĄDOWAŁY POD OSŁONĄ DESZCZU"

„ZAJĘTO PUNKTY KOŁO NOWEGO DETROIT"

„REBELIANCI UŻYLI PRZECIWKO ARMII MIOTACZY OGNIA"

– Haniebne legiony zdrajców zajęły kluczowe punkty na terytorium całego kraju, ale nasze bohaterskie siły zbrojne wyparły przeciwnika. Wypełzli na początku lata



Andrzej Brzezicki

jak robactwo i jak robactwo zostaną zgnie..... iiiiiuuuuuuuuoooooo! – Cisza.

– Wszyscy obywatele obowiązani są zachować spokój, pozostać lojalni wobec władz i przebywać w miejscach pracy lub zamieszkania, o ile władze lokalne nie wydadzą innych poleceń. Osoby cywilne winny zgłosić się do swoich dowódców obrony terytorialnej. Wszyscy rezerwiści winni natychmiast zgłosić się do służby w swych jednostkach macierzystych.

– Halo Hawaje! Jesteście tam? Wołam Hawaje! Wołam Hawaje!

– Dowództwo Marsa woła Kwaterę Główną... bzzz... iiiii... kolonia Syrtis Major zajęta i..... uuuuuuu..... potrzebna pomoc.....

– Baza rakietowa na Księżycu została zaatakowana i opanowana przez rebeliantów. Komendant wysadził się nie chcąc iść do niewoli. Drobniutki błysk na powierzchni Księżyca i świeży krater, jak oni go teraz nazwą?

– Zdobyli Seattle? No to wysłać eskadrę robomb! Zdmuchnąć to miasto z powierzchni mapy... Mieszkańcy? Do dupy z mieszkańcami! Teraz jest wojna!

– ... w Nowym Jorku. Tajnie przeszkoleni rebelianci wyszli z osławionej dzielnicy Crater i zaatakowali...

– ...zamachowcy zostali zastrzeleni. Nowy prezydent wkrótce po zaprzysiężeniu...

„WIELKA BRYTANIA, KANADA, AUSTRALIA ODMÓWIŁY POMOCY RZĄDOWI"

– ...nie, proszę pana, robomby dotarły do Seattle, ale zostały wstrzymane i zniszczone zanim zdołały wykonać atak, coś w rodzaju dział energetycznych...

– COMECO do wszystkich dowódców armii lądowej w Georgii i na Florydzie: w wyniku akcji nieprzyjaciela nie jesteśmy w stanie utrzymać pozycji na Florydzie. Jednostki armii lądowej wycofują się w następującym porządku...

– Oddział rebeliantów blokujący drogę konwojowi armii lądowej na przełęczy Donner został dzisiaj zniszczony taktycznym ładunkiem nuklearnym. Jakkolwiek nasze oddziały poniosły pewne straty wskutek tego ataku, to jednak...

– COMECO do wszystkich dowódców armii lądowej w Kalifornii: bunt jednostek stacjonujących w okolicach San Francisco stanowi poważny problem dla...

„TAJNA POLICJA WYKRYŁA KRYJÓWKĘ REBELIANTÓW"

„PIĘCIU TAK ZWANYCH OFICERÓW ARESZTOWANO"

– Mówicie, że nieprzyjaciel jest gotów zająć Boston? Nie możemy rozdać broni mieszkańcom. Mogliby obrócić ją przeciwko nam!

„ODDZIAŁY GWARDII KOSMICZNEJ IDĄ NA ODSIECZ Z WENUS"

Jack, Jack, Jack!

Dziwne tak żyć w środku wojny. Thornberg nigdy nie przypuszczał, że to może tak wyglądać. Twarze wychudzone, oczy umykające w bok, całkowity chaos w dziennikach telewizyjnych i fale paniki, gdy odrzutowce rebeliantów przemykały nisko nad głowami. Poza tym życie biegło normalnie. Żadnej strzelaniny, wybuchów bomb, żadnych bitew z wyjątkiem tych nierealnych, o których się tylko słyszało. Wydłużająca się lista strat była wyłącznie rezultatem wzmożonej aktywności Agencji. Ludzie znikali bez śladu i nikt więcej o nich nie wspominał.

Bogiem a prawdą dlaczego nieprzyjaciel miałby interesować się mało ważnym górskim miasteczkiem? Armia Wyzwoleńcza, tak się nazwali, zajmowała kluczowe zakłady przemysłowe, węzły komunikacyjne, walczyła z regularnymi oddziałami armii, dokonywała sabotażu, wykonywała zamachy na czołowych przedstawicieli rządu. Wojna totalna nie była jej celem. Nie pragnęła wyniszczenia narodu, o którego wyzwolenie walczyła. Obrońcy starego ładu nie byli zresztą tak twardzi, jak to oficjalnie głoszono.

Większość obywateli zachowywała się obojętnie. Zawsze tacy byli. Można wątpić, czy więcej niż jedna czwarta ludności znalazła się podczas Trzeciej Rewolucji Amerykańskiej choć przez chwilię w pobliżu pola walki. Mieszkańcy miast mogli czasem dostrzec łunę na niebie, usłyszeć huk dalekiej artylerii i gwizd pocisków, być może zdarzyło się, że musieli uciekać z drogi oddziałów lub wozów pancernych zmierzających do walki lub kryć się w schronach, gdy nad miastem z głośnym wyciem przelatywały rakiety, ale w gruncie rzeczy starcia toczyły się poza miastem. Jeżeli dochodziło do sytuacji, że walki uliczne stawały się nieuniknione, rebelianci albo wycofywali się i czekali aż garnizon sam się podda, albo liczyli na działania swoich agentów wewnątrz miasta. Dopiero wówczas można było usłyszeć trzaski karabinowych wystrzałów, wybuchy granatów, grzechot pistoletów maszynowych bądź ostre wyładowania laserów i zobaczyć leżące na ulicach ciała. Hałas walki ustawał jednak wraz z powrotem oficjalnych władz wojskowych lub też wkroczeniem sił rebeliantów, którzy powoływali własne rady tymczasowe. (Oddziały te bardzo rzadko witane były uśmiechami i kwiatami. Nikt nie orientował się jak może zakończyć się wojna, ale szeptano im jakieś słowa na ucho, a ich prośby były spełniane natychmiast.) Przeciętny Amerykanin starał się ze wszech miar prowadzić życie możliwie najbardziej zbliżone do normalnego.

Thornberg kroczył własną drogą. Matylda pracowała pełną parą jako centrum informacyjne. Gdyby rebelianci wiedzieli gdzie ona się znajduje...

A może wiedzieli?

Nie mógł poświęcać zbyt wiele czasu na swe prywatne sabotaże, ale planował je skrupulatnie i wykorzystywał każdą sekundę, kiedy znalazł się sam w centralnej sterowni. Głównie zajmował się doniesieniami o pojawieniu się Sama Halla. Sam Hall tutaj, Sam Hall tam, autor i wykonawca niewiarygodnych wyczynów. Cóż jednak może osiągnąć jeden człowiek, nawet superman, w takich przełomowych dniach? Niewiele. Potrzeba było czegoś nowego, innego.

Radio i gazety doniosły z tryumfem, że udało się w końcu nawiązać łączność z Wenus. Księżyc i Mars wpadły w ręce rebeliantów, satelity Jowisza nie odpowiadały na wezwania, ale na Wenus wszystko zdawało się pozostawać w porządku, kilka nieporadnych prób wzniecenia powstania zostało szybko zdławionych. Silne oddziały Gwardii mogły w każdej chwili wyruszyć na Ziemię. Transportery wojskowe musiały orbitować przez większość drogi i trzeba się było liczyć z tym, że podróż zajmie jakieś sześć tygodni, ale posiłki z Wenus mogły być niezłym zastrzykiem doborowego żołnierza.

– Wygląda na to, że wkrótce zobaczy pan swego chłopaka, szefie – powiedział Rodney.

– Tak – odparł Thornberg. – Być może.

– Walki są krwawe. – Rodney pokiwał głową. – Kręcić się w tym piekle to żadna frajda.

„O Boże, Jack może zginąć od kuli rebeliantów, którym ja pomagam... Sam Hall – rozmyślał Thornberg – całe swoje ciężkie życie spędził wśród gwałtów, nieprzyjaźni i podejrzeń. Nawet żona traktowała go nieufnie.

... i moja Nelly ubrana na niebiesko
Mówiła „twe płoche dni się kończą"
Teraz wiem, że miała rację
Niech Bóg przeklnie wasze oczy.

Biedny Sam Hall. Nic dziwnego, że zabił człowieka".

Podejrzliwość!

Thornberga aż zatkało i musiał zatrzymać się na chwilę. Państwo policyjne stało na podejrzliwości. Nikt nikomu nie ufał. Teraz gdy w powietrzu wisiała groźba psychokamuflażu, a badania zawieszono na czas kryzysu...

„Spokojnie chłopie. Spokojnie. Nie śpiesz się. To musi być bardzo dobrze przygotowane".

Thornberg zażądał szczegółowych rejestrów ludzi na

konkursy

Bolesław Prus – II nagroda
w konkursie fotograficznym.



szczycie administracji, wojska i Agencji. Zrobił to w obecności dwóch swoich asystentów. Sądził, że jego zbyt częste samotne wizyty w centralnej sterowni mogą wydać się podejrzane.

– To ściśle tajne – ostrzegł ich zadowolony, że jest w stanie trzymać nerwy na wodzy. Stawał się prawdziwym Machiavellim. – Obedrą was żywcem ze skóry, jeśli puścicie parę z gęby.

– Nie są już nawet pewni swoich najlepszych ludzi, co? – mruknął Rodney spoglądając na niego przenikliwie.

– Dostałem polecenie sprawdzić – uciął Thornberg. – To wszystko, co powinieneś wiedzieć.

Studiował otrzymane dane przez wiele godzin zanim podjął ostateczną decyzję. Każdego potajemnie obserwowano od czasu do czasu. Porównanie takich raportów z innymi danymi przechowywanymi w pamięci Matyldy wykazało, że tajniak, który napisał ostatni meldunek z obserwacji Lindahla został następnego dnia zabity podczas szybko zdławionego spontanicznego buntu. Meldunek nie zawierał żadnych rewelacji: Lindahl przebywał w domu, studiując jakieś papiery, był sam jeżeli nie liczyć ochroniarza, który siedział w innym pokoju i nie mógł go widzieć. Lindahl był podsekretarzem obrony.

Thornberg zmienił nieco meldunek. Zamaskowany mężczyzna, krępy i czarnowłosy, odwiedził Lindahla i rozmawiał z nim przez trzy godziny. Szeptali do siebie tak, że stojący pod oknem tajniak nie mógł dosłyszeć o czym mówili. Gdy skończyli, tajemniczy gość oddalił się, a Lindahl położył się spać. Tajniak wrócił podekscytowany do komendy, napisał meldunek i dał dyżurnemu, żeby go przekazał do Matyldy.

„Co zrobić z tym dyżurnym" – zastanawiał się Thornberg. – „Oni będą chcieli dowiedzieć się dlaczego nie poinformował swych przełożonych w Nowym Waszyngtonie o takim meldunku, skoro dowiedział się, że autor doniesienia został zabity. Oczywiście zaprzeczy, że meldunek tej treści przeszedł przez jego ręce. Zrobią mu więc hipnoquiz, który potwierdzi prawdziwość jego zeznań, ale oni już nie wierzą tej metodzie!"

Przestał litować się nad kimkolwiek. Tylko jedno się liczyło – żeby wojna skończyła się zanim Jack doleci na Ziemię. Wrzucił skorygowaną szpulę z powrotem do Matyldy i zmienił adres swego ostatniego donosu o pojawieniu się Sama Halla z Salt Lake City na Filadelfię. W ten sposób cała historia nabierała jeszcze większego prawdopodobieństwa. Następnie popracował nieco nad rejestrami innych czołowych osobistości.

Męczył się w niepewności przez całe dwa dni, zanim zażądano od niego świeżych informacji o Samie Hallu. Czytniki zaczęły przeszukiwać szpulę za szpulą, trybiki obracały się i kontrolki migotały jak świetliki. Obwód gdzieś się zamknął i szpula LINDAHL potoczyła się do mikrodrukarki wewnątrz maszyny. Odnośniki do danych, zawartych na taśmie szpuli rozgałęziały się we wszystkie strony. Thornberg odesłał wstępny raport, opatrując go komentarzem: sprawa wygląda interesująco, czy potrzebujecie dodatkowych danych?

Potrzebowali!

Następnego dnia dziennik telewizyjny podał wiadomość o poważnych zmianach personalnych. W nowym kierownictwie resortu Lindahla nie wymieniono.

„Złapałem za ogon piekielnie dużego tygrysa" – rozmyślał gorzko Thornberg. – „Teraz będą sprawdzać każdego, a ja samotnie będę musiał zmierzyć się z całą Agencją".

Lindahl jest zdrajcą. Jak jego przełożony w ogóle mógł dopuścić go do władzy? Sekretarz Hoheimer był zaprzyjaźniony z Lindahlem. Każcie Archiwum sprawdzić Hoheimera. Co się stało? Hoheimer też? Pięć lat temu? To co, że dawno, ale w rejestrze jest odnotowane, że mieszkał w bloku, w którym Sam Hall był dozorcą! Łapać Hoheimera! Kto na jego miejsce? Generał Halliburton? Ta stara głupia pała? W porządku, niech będzie. W każdym razie ma czyste konto. Nie można wierzyć tym gładkim facecikom.

Hoheimer ma wysokiej rangi brata w Agencji, ma dobre wyniki. Wtyczka? Któż to może wiedzieć? Wsadźcie go do aresztu. I sprawdźcie dobrze cały jego personel... Archiwum Centralne informuje, że jego najlepszy agent, Jones, nie mógł w zeszłym roku udowodnić co robił przez pięć dni, zasłaniał się wówczas tajemnicą służbową, ale gdy sprawdzono dokładnie to okazało się, że nie był wówczas na służbie, tak? No to rozstrzelać Jonesa! Jego kuzyn jest kapitanem w armii? Wycofać jego oddział z frontu do czasu aż sprawdzimy wszystkich jego ludzi. Zbyt dużo mamy ostatnio buntów.

Bliskim kumplem Lindahla był Benson, ten który kieruje zakładami broni nuklearnych w Tennessee. Zapudlić Bensona!

Najstarszy syn Hoheimera jest przemysłowcem, ma rafinerię w Teksasie. Do kicia z nim! Jego żona jest siostrą tego Leslie, szefa Biura Koordynacyjnego Produkcji Wojennej. Brać go! Jasne, że robi dobrą robotę, ale może też przekazywać tajne informacje nieprzyjacielowi albo tylko czeka na sygnał, żeby objąć sabotażem całą produkcję. Mówię wam, nie można wierzyć n i k o m u !

O co chodzi? Archiwum przekazuje raport, że burmistrz Tampa jest w zmowie z rebeliantami. Raport ma wprawdzie adnotację „źródło niepewne, pogłoska", ale przecież Tampa poddało się bez wystrzału. Partnerem burmistrza w interesach jest Gale, którego kuzyn jest w armii lądowej i dowodzi bazą robomb w Nowym Meksyku. Sprawdźcie tych Gale, obu. Halo, Archiwum? Co, kuzyn był nieobecny przez cztery dni i nie podał gdzie był, tak? Immunitet czy nie – aresztujcie go i sprawdźcie gdzie się szwendał!

– Uwaga Archiwum, uwaga Archiwum, pilne! Brygadier John Harmsworth Gale itd. itd. odmawia udzielenia wyjaśnień twierdząc, że przez cały czas przebywał w bazie. Czy wasze informacje mogą zawierać błąd?

– Archiwum do Centrali dot: itd. itd. nie ma możliwości zaistnienia błędu z wyjątkiem błędu w informacji otrzymanej.

– Do Archiwum dot: itd. itd. zeznania Gale potwierdzone przez trzech oficerów jego sztabu.

Aresztować cały personel tej pieprzonej bazy! Sprawdzić wszystkie informacje. Ale, ale... kto je przekazywał?

– Do Archiwum dot: itd. itd. podczas próby aresztowania personel Bazy Robomb 37-J odpowiedział ogniem i wyparł jednostkę Agencji. Zgodnie z ostatnimi meldunkami brygadier Gale zwrócił się o wsparcie do odległego o 50 mil oddziału rebeliantów. Szczegóły przekażemy jak tylko nadejdą.

A więc Gale był zdrajcą! Chociaż być może zdecydował się dopiero w ostatniej chwili, ze strachu. Sprawdźcie w Archiwum, kto przekazał pierwszą informację, że Gale jest niepewny. N i k o m u j u ż n i e m o ż n a w i e r z y ć !

Thornberg nie zdziwił się, gdy drzwi jego biura ustąpiły z trzaskiem pod silnym kopnięciem i do środka wtargnął patrol. Oczekiwał takiej wizyty od kilku dni. Gra, jaką prowadził nie mogła trwać wiecznie. Gromadzące się nieścisłości musiały wreszcie wzbudzić podejrzenie lub, co nie jest wykluczone, łańcuch rzuconych podejrzeń dotarł w końcu, jak na ironię, do niego, albo też Rodney lub ktoś inny z personelu technicznego zorientował się i go zasypał.

Nie miał pretensji do nikogo. Tragedia wojen wewnętrznych polega na tym, że brat strzela do brata.

Popatrzył w lufę pistoletu, a następnie podniósł zmęczone oczy i spojrzał w twarz nad lufą. – Rozumiem, że chcecie mnie aresztować? – spytał beznamiętnym głosem.

– Wstawaj! – Twarz była płaska i brutalna. W szerokich ustach czaił się sadyzm.

June jęknęła. Gliniarz, który ją trzymał, wykręcił jej ręce do tyłu. – Zostaw ją – powiedział Thornberg. – Ona jest niewinna.

– Powiedziałem wstawaj! – Lufa posunęła się bliżej.

– A ty nie podchodź tu za blisko. – Thornberg uniósł w górę prawą dłoń, zaciśniętą wokół niewielkiej piłki. – Widzisz to? To jest malutkie urządzenie elektroniczne, które sobie zrobiłem. Nie bój się, to nie bomba. Mały nadajnik. Jeśli moja dłoń otworzy się, guma się rozkurczy i nadajnik się włączy.

Napastnik cofnął się nieco.

– Powiedziałem puść dziewczynę – powtórzył Thornberg spokojnie.

– Najpierw się poddaj!

June zawyła z bólu, gdy gliniarz podciągnął jej rękę trochę wyżej.

– Nie – stwierdził sucho Thornberg. – To co robię jest ważniejsze niż życie kogokolwiek z nas. Jak widzicie byłem przygotowany. Nie boję się śmierci, ale jeśli puszczę tę piłkę sygnał radiowy włączy przekaźniki i wewnątrz Matyldy powstanie potężne pole elektromagnetyczne. Każdy rejestr, każda informacja jaką rząd ma w Archiwum zostanie skasowana. Aż się boję pomyśleć co oni wówczas z wami zrobią. W nagrodę, że do tego dopuściliście.

Trzymający June gliniarz powoli rozluźnił chwyt. Osunęła się łkając na podłogę.

– Kłamiesz! – ryknął drugi. Na jego twarzy pojawiły się drobne kropelki potu.

– Sprawdź, a się przekonasz. – Thornberg uśmiechnął się z wysiłkiem. – Mnie nie zależy.

– Ty zdrajco!

– I to bardzo wydajny, nieprawdaż? Wywróciłem na lewą stronę i do góry nogami cały rząd. Armia szaleje, oficerowie dezerterują na prawo i lewo z obawy przed aresztowaniami. Administracja sparaliżowana i trzęsąca się ze strachu. Zamachy i zdrady każdego dnia, wasi ludzie uciekają do rebeliantów stadami. Armia Wyzwoleńcza napotyka tylko zdezorganizowane i zdemoralizowane hordy, pozbawione woli i oporu. Mogę się założyć, że Nowy Waszyngton padnie w ciągu tygodnia.

– To twoja robota – palec na spuście niebezpiecznie drgnął.

– Bez przesady. Jeden człowiek nie może zmienić historii. Ale przyznaję, że byłem wcale ważnym czynnikiem. Albo bądźmy precyzyjni, Sam Hall był.

– Co teraz chcesz zrobić?

– To zależy od ciebie, przyjacielu. Jeśli mnie zastrzelisz, zagazujesz, uderzysz lub zrobisz coś podobnego – moja dłoń się otworzy. Możemy też czekać aż któraś ze stron się zmęczy.

– Straszysz! – warknął dowódca patrolu.

– Możecie oczywiście wysłać techników, żeby przejrzeli Matyldę i sprawdzili czy mówię prawdę – kontynuował Thornberg. – I jeśli nie kłamię, możecie im rozkazać odłączyć mój elektromagnes. Ostrzegam was jednak, że na pierwszą oznakę takiej operacji otwieram dłoń. Popatrzcie na moje usta – otworzył je. – Widzicie tę szklaną fiolkę? Jest pełna trucizny. Jak puszczę piłkę zgryzam ją i nie dostaniecie mnie żywego. Nie boję się was.

Zdumienie i wściekłość walczyły ze sobą na twarzach, które obserwował. Tych ludzi nie uczono myślenia.

– Macie jednak jedno wyjście – ciągnął dalej beznamiętnie Thornberg. – Wedle ostatniego meldunku eskadra należących do rebeliantów odrzutowców wylądowała o sto mil stąd. Możecie ich wezwać i poprosić, żeby zajęli to miejsce. Coś takiego może wam się przydać w przyszłości. Nadejdzie bowiem dzień rozrachunku i wówczas moje dobre słowo będzie mogło was osłonić, chociaż przyznam, że nie zasługujecie na to.

Popatrzyli po sobie. Po dłuższej chwili namysłu dowódca pokręcił przecząco głową. – Nie!

Stojący za nim gliniarz wyciągnął pistolet i strzelił mu w plecy.

Thornberg uśmiechnął się.

– Prawdę mówiąc – wyjaśniał Sorensenowi – blefowałem. Trzymałem w dłoni zwykłą piłkę tenisową, do której przykleiłem kilka scalaków i kondensatorów. W tej fazie walki całe to zdarzenie nie miało większego wpływu na bieg wypadków, wyjąwszy oczywiście bieg mojego życia.

– Matylda bardzo nam się przyda do wyławiania niedobitków – stwierdził Sorensen. – Nie chciałbyś przypadkiem popracować jeszcze trochę?

– Oczywiście, przynajmniej do czasu aż mój syn wróci. Powinien być za tydzień.

– Ucieszysz się. Udało nam się skontaktować z Gwardią. Tylko krótka depesza, ale dowódca zgodził się podporządkować każdemu rządowi, który będzie u władzy w chwili, gdy przybędą na Ziemię. To już będzie nasz rząd, a więc twój chłopak nie będzie musiał walczyć.

Na takie słowa człowiek nie znajduje odpowiedzi. Ukrywając z trudem wzruszenie Thornberg zagadnął możliwie swobodnym tonem:

– Widzisz, nie mogę wyjść z podziwu, że to właśnie ty byłeś w podziemiu.

– Byliśmy zorganizowani w małe komórki rozsiane po całym kraju i kombinowaliśmy tak, żeby hipnoquizować jeden drugiego. – Wykrzywił się. – To nie było przyjemne. Rzeczy, które musiałem robić. Na szczęście już z tym koniec.

Wyciągnął się wygodnie na fotelu i położył nogi w ciężkich wojskowych butach na biurku. Zwykle za obszerny i wygnieciony mundur Armii Wyzwoleńczej, tam nie bawiono się w zupactwo, na nim leżał nieskazitelnie.

– Początkowo było sporo podejrzeń wokół Sama Halla – opowiadał. – Pijacka piosenka i inne skojarzenia. Moi szefowie czasem myśleli. Tak manewrowałem, aby to mnie polecono sprawdzenie ciebie. Bliższa obserwacja dała mi podstawy do podejrzeń, że możesz mieć rewolucyjne ciągoty. Wystawiłem ci więc jak najlepsze świadectwo. Dopiero później wymyśliłem tę bajkę z psychologicznym kamuflażem i podsunąłem ją kilku szyszkom, które wzięły ją na serio. Kiedy spostrzegłem jak znakomicie wykorzystujesz podsuniętą ci koncepcję byłem przekonany, że jesteś po naszej stronie. – Uśmiechnął się. – Dlatego też nasza armia nigdy nie zaatakowała Matyldy!

– Mogłeś połączyć się ze swymi siłami dopiero niedawno?

– Taak. Najpierw musiałem wywiać z Agencji, a to nie było proste w trakcie bałaganu i polowania na czarownice, które rozpętałeś. O mały figiel nie straciłem przez ciebie życia, wiesz Thorny? Mówię ci, warto jednak było zaryzykować i zobaczyć jak karaluchy gryzą się między sobą.

Thornberg wyciągnął się ciężko na biurku. – Zawsze zakładałem, że wy, rebelianci, jesteście uczciwi – zaczął powoli. – Nigdy jednak nie byłem całkiem pewny. Teraz mam okazję się przekonać. Macie zamiar rozmontować Matyldę?

Sorensen kiwnął potakująco głową. – Wykorzystamy ją tylko do odnalezienia kilku ludzi, na których raczej nam zależy, i do reorganizacji. Oczywiście, że tak. Jest zbyt potężnym instrumentem. Nadchodzi czas odkręcania śruby.

– Dziękuję ci – szepnął Thornberg.

Po dłuższej chwili chrząknął. – Nadchodzi kres Sama Halla. Dostanie się do raju zarezerwowanego dla wielkich bohaterów ludzkiej imaginacji. Wyobrażam go sobie, jak kłóci się z Sherlockiem Holmesem, straszy Króla Artura lub przyjaźni się z Długim Srebrnym Johnem. Wiesz jak kończy się ballada? – Zanucił cicho: – *Teraz w niebiosach, bujam w niebiosach, bujam w niebiosach...*

Przełożył **Rafał Brzeski**

Interesujące, że grupa „Luden" przy całej swojej natrętnej skrupulatności nigdy nie próbowała uzyskać ode mnie informacji dotyczących Daniła Aleksandrowicza Łogowienko. A przecież znaliśmy się od niepamiętnych czasów, od błogosławionych lat sześćdziesiątych, kiedy ja, młody wtedy i diabelnie energiczny funkcjonariusz KOMKONu, przechodziłem specjalny kurs psychologii na uniwersytecie w Kijowie, natomiast Dania, młody wtedy i diabelnie energiczny metapsycholog, prowadził ze mną zajęcia praktyczne, wieczorami zaś obaj z zaiste diabelską energią uwodziliśmy czarujące i diabelnie kapryśne kijowianki. Dania wyraźnie mnie faworyzował, zawarliśmy przyjaźń i w pierwszych latach spotykaliśmy się, można powiedzieć, regularnie. Potem praca nas rozdzieliła, spotykaliśmy się coraz rzadziej, a od początku lat osiemdziesiątych przestaliśmy się w ogóle widywać (aż do wspólnego picia herbaty w przeddzień wydarzeń). Życie osobiste Dani ułożyło się bardzo nieszczęśliwie, teraz już wiadomo, dlaczego. W ogóle był bardzo nieszczęśliwym człowiekiem, czego nie mogę powiedzieć o sobie.

Zauważyłem, że każdy kto na serio zajmuje się epoką Wielkiej Iluminacji skłonny jest przypuszczać, że wie świetnie, kto to taki Danił Łogowienko. Nic błędniejszego! Co wie o Newtonie człowiek, który przeczytał nawet najpełniejsze wydanie jego dzieł? Tak, Łogowienko odegrał ogromną rolę w „Wielkiej Iluminacji". „Deklaracja Łogowienko", „Impuls Łogowienko", „T-program Łogowienko", „Komitet Łogowienko"...

Ale czy wiecie, jakie były losy żony Łogowienko?

A w jaki sposób trafił na kurs wyższej i anomalnej etologii w Splicie?

A dlaczego w sześćdziesiątym szóstym z całej sfory kursantów szczególnie wyróżnił Maksyma Kammerera, energicznego i rokującego znaczne nadzieje funkcjonariusza KOMKONu?

A co myślał na temat Wielkiej Iluminacji Danił Łogowienko - nie prorokował, nie deklarował, nie wieszczył, tylko myślał i przeżywał w głębi swojej nieczłowieczej duszy?

Takich pytań jest wiele. Na niektóre, jak przypuszczam, mógłbym udzielić dokładnej odpowiedzi. Co do innych, potrafię zaledwie budować hipotezy. Na pozostałe zaś odpowiedzi nie ma i nie będzie nigdy.

*

MAŁA PESZA. TEN SAM DZIEŃ, 8 GODZINA RANO.

Kir z galerą w ręku jakoś jednak wcisnął się w kabinę zero-T i udał się do Pietrozawodska. Basile zdjął swoją upiorną kurtkę, uwalił się w cieniu na trawie i zdaje się, że przysnął. Babcia Albina odpłynęła do swojej willi nr 1.

Tojwo nie poszedł do pawilonu, po prostu usiadł na trawie, skrzyżował nogi i zaczął czekać.

W Małej Peszy nic szczególnego się nie działo. Żelazny Jurgen od czasu do czasu porykiwał z głębin swego domku nr 7 - coś w związku z pogodą, coś w związku z rzeką i coś w związku z urlopem. Albina, jak poprzednio cała w bieli, zjawiła się na werandzie i usiadła pod markizą. Dobiegł jej głos - melodyjny i niegłośny - widocznie rozmawiała przez wideofon. Kilkakrotnie w polu widzenia pojawił się Dudemar Tołstow. Krążył między domkami, przykucał, oglądał ziemię, właził pod krzaki, czasami nawet przemieszczał się na czworakach.

O wpół do ósmej Tojwo wstał, wszedł do klubu i połączył się przez wideo z mamą. Normalny kontrolny dzwonek. Bał się, że dzień będzie tak wypełniony, że później zabraknie czasu. Porozmawiali o tym i owym... Tojwo opowiedział, że spotkał tu starą tancerkę, której na imię Albina. Czy to nie ta Wielka Albina, o której bez przerwy słyszał w dzieciństwie? Przedyskutowali to zagadnienie i doszli do wniosku, że niewykluczone, a zresztą była jeszcze jedna wielka primabalerina Albina, starsza o jakieś piętnaście lat od Wielkiej Albiny... Potem pożegnali się do jutra.

Na dworze rozległ się potężny ryk „A raki? Lowa, przecież mamy raki!..."

Lowa Tołstow szybkim krokiem zbliżał się do klubu, z irytacją machając lewą ręką. Prawą tulił do piersi sporą paczkę. Przy wejściu do pawilonu przystanął i piskliwym falsetem wrzasnął w kierunku willi nr 7 „Przecież wrócę! Niedługo wrócę!" W tym momencie zauważył, że Tojwo patrzył na niego i wyjaśnił jakby przepraszająco:

- Wyjątkowo dziwna historia. Muszę się w tym rozeznać.

Znikł w kabinie zero-T i jeszcze przez jakiś czas nie działo się zupełnie nic. Tojwo postanowił poczekać do godziny ósmej.

Za pięć ósma zza lasu wyleciał glider, zatoczył kilka kół nad Małą Peszą, zniżając się stopniowo, i miękko usiadł przed domkiem nr 10, tym samym, w którym sądząc po sprzętach mieszkała rodzina malarza. Z glidera wyskoczył rosły mężczyzna, lekko wbiegł po schodach na werandę, odwrócił się i krzyknął: „Wszystko w porządku! Nie ma nic i nikogo!" I w czasie kiedy Tojwo szedł w kierunku domu

przez plac, z glidera wysiadła młoda kobieta o krótko obciętych włosach, w fioletowej chlamidzie przed kolana. Nie weszła na ganek, tylko stała obok glidera, przytrzymując drzwi.

Jak się okazało, malarzem w tej rodzinie była właśnie kobieta, Zosia Ladowa, i jak się wyjaśniło, to właśnie jej autoportret widział Tojwo w willi Jaryginów. Miała mniej więcej 25-26 lat, studiowała na Akademii w pracowni Komowskiego-Korsakowa i nie namalowała jeszcze nic, o czym warto by mówić. Była bardzo ładna, znacznie ładniejsza od swojego autoportretu. W jakiś sposób przypominała Tojwo jego Asię – co prawda nigdy nie widział swojej Asi tak przerażonej.

A mężczyzna nazywał się Oleg Olegowicz Pankratow i był lektorem w Syktykwarze, a poprzednio, w przeciągu prawie trzydziestu lat, astroarcheologiem, pracował w grupie Fokina, brał udział w ekspedycji na Kala-i-Mug (czyli „paradoksalną planetę Marochasi") i w ogóle jadł chleb z niejednego pieca. Bardzo spokojny, nawet można powiedzieć nieco flegmatyczny człowiek, o dłoniach jak łopaty, mocny, pewny, spychaczem trudno by go ruszyć z miejsca, a przy tym twarz – krew z mlekiem, nos jak kartofel, broda płowa, jaką nosił Ilia Muromiec...

I nie było nic w tym dziwnego, że w czasie nocnych wypadków małżonkowie zachowywali się zupełnie różnie. Oleg Olegowicz na widok żywych worków, włażących przez okno do sypialni, zdziwił się rzecz jasna, ale wcale nie przestraszył. Być może dlatego, że od razu przypomniał sobie o filii w Dolnej Peszy, w której swego czasu kilkakrotnie bywał, zresztą sam wygląd potworów nie wydał mu się szczególnie niebezpieczny. Obrzydzenie to było to, co poczuł przede wszystkim. Obrzydzenie i wstręt, ale w żadnym wypadku nie strach. Nie wpuścił worków do sypialni, wypchnął je z powrotem do ogrodu, wstrętne, śliskie i lepkie, nieprzyjemnie podatne, a zarazem sprężyste i chyba najbardziej przypominały wnętrzności jakiegoś ogromnego zwierzęcia. Zaczął biegać po sypialni, szukając czegoś, w co można by wytrzeć ręce, ale wtedy na werandzie zaczęła krzyczeć Zosia i natychmiast zapomniał o obrzydzeniu...

Tak, wszyscy nie zachowaliśmy się najlepiej, ale rozkleić się tak, jak rozkleili się niektórzy jednak nie wolno. Przecież są tacy, którzy do tej pory nie mogą się opamiętać, Frołowa musieliśmy umieścić w szpitalu od razu w Suli, wyrywaliśmy go z glidera na raty, popadł w jakąś psychozę...A Grigorianowie z dziećmi nawet nie zatrzymali się w Suli, popędzili do zero-kabiny całą czwórką i przenieśli się prosto do Mistrza-Czarle. Grigorian krzyknął na pożegnanie „Dokądkolwiek, byle jak najdalej i na zawsze!"

Ale Zosia rozumiała Grigorianów bardzo dobrze. Ona osobiście nigdy nie przeżyła czegoś równie przerażającego. I zupełnie nie o to chodzi, czy te zwierzęta były niebezpieczne, czy też nie były. „Jeśli nas wszystkich gnało przerażenie... Nie wtrącaj się, Oleg, mówię o nas, o zwyczajnych, nie przygotowanych ludziach, a nie o takich pancernych facetach jak ty... Jeśli nas wszystkich gnało przerażenie, to wcale nie dlatego, że baliśmy się, że ktoś nas pożre, zadusi, żywcem strawi albo coś w tym rodzaju... Nie, to było zupełnie inne uczucie!" Zosi trudno je było sprecyzować. Najbardziej zbliżone było następujące jej sformułowanie: nie przerażenie, tylko poczucie całkowitej obcości, niemożność pozostawania z tymi stworzeniami w jakiejkolwiek ograniczonej przestrzeni. Ale najciekawsze w jej opowieści było coś innego.

Okazuje się, że te potwory były na domiar wszystkiego jeszcze przepiękne! Były do takiego stopnia straszne i odrażające, że stanowiły swego rodzaju doskonałość. Doskonałość szpetoty. Estetyczny styk idealnej szpetoty i idealnego piękna. Gdzieś, ktoś, kiedyś powiedział, że idealna szpetota powinna jakoby wywoływać u nas takie same wrażenie estetyczne jak idealne piękno. Do wczorajszej nocy to stwierdzenie wydawało się Zosi jedynie paradoksem. A tymczasem to nie paradoks! Chyba że ona, Zosia, jest wyjątkowo perwersyjnym człowiekiem?

Pokazała Tojwo swoje szkice, zrobione z pamięci około dwie godziny po tym, jak zaczęła się panika. Oboje z Olegiem zajęli jakiś pusty domek w Suli i na początku Oleg cucił ją tonikiem, następnie psychomasażem, ale to wszystko nie pomagało, więc złapała kawałek papieru i jakieś paskudne piórka, twarde i rozcapierzone, i zaczęła spiesznie, kreska za kreską, cień za cieniem, przenosić na papier to, co jak okropny koszmar stało jej przed oczami, zasłaniając realny świat...

Nic szczególnego na tych rysunkach zauważyć się nie dało. Plątanina linii, kontury znajomych przedmiotów – poręcz na werandzie, stół, krzaki, a nad tym wszystkim rozmyte cienie o nieokreślonym kształcie. Rysunki te zresztą emanowały jakąś trwogę, opuszczenie, zagubienie... Oleg Olegowicz uwa-

Wiatr bogów rozpętuje burze, ale również wypełnia żagle.

Rozmyślając zimno i metodycznie, tego pochmurnego ranka znalazłem jednak w swoim planie nowe miejsce dla Tojwo Głumowa. I to nowe miejsce wydało mi się wtedy nie mniej, ale nieporównanie bardziej ważne niż poprzednie. Mój plan uzyskał daleką perspektywę, teraz należało nie bronić się, lecz atakować.

Tego samego dnia połączyłem się z Komowem, który wyznaczył mi audiencję na jutro, 12 maja.

12 maja wcześnie rano przyjął mnie w gabinecie Prezydenta. Przedstawiłem mu zebrane do tego czasu materiały. Rozmowa trwała pięć godzin. Mój plan został zatwierdzony z nieznacznymi poprawkami. (Nie chciałbym twierdzić, że udało mi się wtedy całkowicie rozproszyć sceptycyzm Komowa, ale bez wątpienia udało się mi go zainteresować.)

Zaś 12-ego maja, kiedy wróciłem do siebie, zwyczajem hontyjskich guru posiedziałem kilka minut, dotykając obu skroni koniuszkami palców wskazujących i rozmyślając o rzeczach wzniosłych, następnie wezwałem do siebie Griszę Serosowina i zleciłem mu zadanie. O 8.05 Grisza zawiadomił mnie, że zadanie zostało wykonane. Pozostawało mi tylko czekać.

13-ego rano Dania Łogowienko zadzwonił.

*

DOKUMENT 17

FONOGRAM ROBOCZY

Data: 13 maja 99 roku

Rozmówcy: Maksym Kammerer, naczelnik wydziału NW i Danił Łogowienko, zastępca dyrektora filii Instytutu Badań Metapsychicznych w Charkowie.

Temat: x x x

Treść: x x x

Łogowienko: Cześć Maksym, to ja.

Kammerer: Cześć, co słychać?

Łogowienko: Słychać, że było to bardzo sprytnie zrobione.

Kammerer: Rad jestem, że ci się spodobało.

Łogowienko: Może tak bym tego nie określił, ale nie mogę oddać sprawiedliwości staremu przyjacielowi.

PAUZA

Łogowienko: Zrozumiałem to w ten sposób, że chcesz się ze mną spotkać i porozmawiać otwarcie.

Kammerer: Tak. Ale nie ja. I być może nie z tobą.

Łogowienko: Rozmawiać trzeba będzie ze mną. A jeśli nie ty, to kto?

Kammerer: Komow.

Łogowienko: Oho! Więc jednak się zdecydowałeś...

Kammerer: Komow jest teraz moim bezpośrednim przełożonym.

Łogowienko: Ach, więc tak... Dobrze. Gdzie i kiedy?

Kammerer: Komow chce, żeby w rozmowie uczestniczył Gorbowski.

Łogowienko: Leonid Andrejewicz? Ale on przecież jest umierający...

Kammerer: Właśnie dlatego. Niech to wszystko usłyszy. Od ciebie.

PAUZA

Łogowienko: Tak, widocznie rzeczywiście czas porozmawiać.

Kammerer: Jutro o 15.00 u Gorbowskiego. Wiesz gdzie on mieszka? Pod Krasławą, nad Daugawą.

Łogowienko: Tak, wiem. Więc do jutra. To wszystko co masz do mnie?

Kammerer: Wszystko. Do jutra.

(Rozmowa trwała od 9.02 do 9.04)

(koniec Dokumentu 17)



DOKUMENT 16

Mak!

1. Głumow Tojwo, syn Aleksandra, dziś został wzięty pod kontrolę. (Zarejestrowany 8.05)
2. Również z datą dzisiejszą wzięci pod kontrolę:
- Kaskazi Artek 18 student Teheran 7.05.
- Mawky Charley 63 martechnik Odessa 8.05.

Laborant

(koniec Dokumentu 16)

To zapewne dziwne, ale prawie nie pamiętam swoich uczuć, wywołanych wstrząsającą informacją Laboranta. Pamiętam tylko wrażenie - jakby niespodziewane i nawet zdradzieckie UDERZENIE w twarz, ni z tego, ni z owego, nie wiadomo za co, zza węgła, niespodziewane, i to wtedy, kiedy oczekiwałem czegoś zupełnie innego. Dziecinne poczucie niesprawiedliwej krzywdy, kiedy aż zbiera się na płacz - oto co mi zostało w pamięci z tej chyba prawie godziny, którą spędziliśmy, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami.

Z pewnością przelatywały mi wtedy przez głowę bezsensowe myśli o zdradzie. Z pewnością czułem wściekłość, irytację i okrutne rozczarowanie, dlatego że miałem opracowany konkretny plan działania, w którym każdemu wyznaczyłem miejsce, a teraz w tym planie ziała dziura i nie było jej czym zapełnić. I oczywiście musiałem czuć gorycz, rozpaczliwą gorycz utraty, utraty przyjaciela, współpracownika, syna.

Ale najprawdopodobniej było to chwilowe zmącenie umysłu, chaos nie uczuć nawet, ale strzępków uczuć.

Potem powoli wróciłem do siebie i znowu zacząłem myśleć - zimno i metodycznie, tak jak musiałem myśleć w mojej sytuacji.

żał, że w nich coś jest, chociaż jego zdaniem wszystko było prostsze i obrzydliwsze. Zresztą jest człowiekiem dalekim od sztuki. Cóż, niewykwalifikowany odbiorca, nic więcej...

Zapytał Tojwo, co udało się do tej pory wykryć. Tojwo zreferował mu swoje przypuszczenia - Fleming, Dolna Pesza, embriofory nowego typu i tak dalej. Pankratow pokiwał głową, że się zgadza, a potem oznajmił z niejakim smutkiem, że w całej tej historii najbardziej go martwi... jakby tu się wyrazić? No, powiedzmy, przesadna nerwowość współczesnego mieszkańca Ziemi. Przecież wszyscy uciekli, no dosłownie jak jeden mąż! Żeby chociaż ktoś jeden był ciekaw, okazał zainteresowanie... Tojwo pospieszył ratować honor współczesnego Ziemianina i opowiedział o Albinie i Kirze.

Oleg Olegowicz ożywił się nadzwyczajnie. Uderzał swoimi dłońmi jak łopaty po poręczach fotela, po blacie stołu, rzucał zwycięskie spojrzenia to na Tojwo, to na swoją Zosię i podśmiewając się, wykrzykiwał „Brawo, Kir! Zuch! Zawsze mówiłem, że będą z niego ludzie! A nasza Albina! Niby taka mizerota..." Na to Zosia oznajmiła zapalczywie, że nie ma w tym nic dziwnego, starcy i dzieci są siebie warci... „I pionierzy kosmosu! - wykrzykiwał Oleg Olegowicz. - Nie zapominaj o pionierach kosmosu, najmilsza moja!" Spierali się na wpół poważnie, na wpół żartobliwie, kiedy nagle wydarzył się maleńki incydent.

Oleg Olegowicz, który słuchał swojej najmilszej z uśmiechem od ucha do ucha, nagle uśmiechać się przestał i wyraz radości na jego twarzy ustąpił miejsca wyrazowi zatroskania, jakby coś wstrząsnęło nim do głębi duszy. Tojwo uchwycił jego spojrzenie i zobaczył, że w drzwiach domku nr 7 stoi oparty ramieniem o framugę niepocieszony i rozczarowany Ernst Jurgen, tym razem już nie w skafandrze do łowienia krabów, a w obszernym beżowym garniturze, że w jednej ręce dzierży płaską puszkę piwa, a w drugiej kolosalną kanapkę z czymś czerwono-białym, podnosi do ust na przemian to jedną rękę, to drugą, gryzie i połyka, i patrzy przy tym nieprzerwanie przez plac na drzwi klubu.

- Otóż i Ernst! - zawołała Zosia.- A ty mówiłeś!

- Zwariować można! - wolno powiedział Oleg Olegowicz ciągle z tym samym zatroskanym wyrazem twarzy.

- Ernst, jak widzisz, też się nie przestraszył - powiedziała Zosia nie bez jadu.

- Widzę - zgodził się Oleg Olegowicz.

Coś wiedział o tym Ernście Jurgenie, w żaden sposób nie spodziewał się go tutaj zobaczyć po wczorajszym. Ten Ernst Jurgen nie miał teraz co tu robić, nie miał po co stać na swojej werandzie w Małej Peszy, pijąc piwo i jedząc kraboraki, a powinien najwidoczniej zwiewać teraz gdzie pieprz rośnie, może do siebie na Tytana, a może jeszcze dalej.

Więc Tojwo pospieszył wyjaśnić nieporozumienie i opowiedział, że Ernsta Jurgena nie było wczorajszej nocy w osiedlu, lecz był wczoraj w nocy tam, gdzie łowił kraboraki, kilka kilometrów wyżej z biegiem rzeki. Zosia bardzo się zmartwiła, a Oleg Olegowicz, jak się wydało Tojwo, nawet odetchnął z ulgą. „To zupełnie co innego! - powiedział. - Trzeba było od razu tak mówić..." I chociaż oczywiście nikt żadnych pytań na temat jego zatroskania nie zadawał, zaczął nagle szczegółowo objaśniać - stropiło go to, że w nocy, w czasie paniki, widział na własne oczy, jak Ernst Jurgen, rozpychając wszystkich łokciami, pędził do pawilonu, w którym stoi zero-kabina. Teraz rozumie, że się pomylił, tak nie było i jak się okazuje być nie mogło, ale w pierwszej chwili, kiedy zobaczył Ernsta Jurgena z puszką piwa...

Nie wiadomo, czy uwierzyła mu Zosia, ale Tojwo nie uwierzył w ani jedno słowo. Nic podobnego się nie odbyło, żaden Ernst Jurgen nie przywidział się wczoraj Olegowi Olegowiczowi, tylko wiedział Oleg Olegowicz o tym Jurgenie coś, co było znacznie bardziej interesujące, ale chyba niezbyt chwalebne, jeżeli nie chciał opowiedzieć...

I wtedy cień upadł na Małą Peszę, przestrzeń dookoła wypełniło aksamitne bzyczenie, jak bomba wypadł zza węgła pawilonu zaniepokojony Basile, naciągając w biegu swoją kurtkę i słońce ponownie wzeszło nad Małą Peszą, na placu zaś majestatycznie, nie przygniatając ani jednego źdźbła, przysiadł cały złocisty i lśniący niczym gigantyczny kołacz pseudograwit klasy „puma" z tych najnowszych, supernowoczesnych. Błyskawicznie pękły na obwodzie jego niezliczone owalne luki i wysypali się na plac długonodzy, opaleni, rzeczowi, głośno mówiący chłopcy, wysypali się, ciągnąc jakieś lejowato zakończone skrzynki, rozwijali węże z dziwacznymi końcówkami, zaczęli błyskać blitz-kontaktorami,

rozpoczęła się krzątanina, bieganie, machanie rękami i najbardziej wśród nich krzątał się i biegał, i machał rękami, ciągał skrzynki, rozwijał węże Lew Dudemar Tołstow, wciąż jeszcze w tym samym kombinezonie oblepionym zaschniętym zielonym iłem.

GABINET NACZELNIKA WYDZIAŁU NW. 6 MAJA 99 ROKU. OKOŁO PIERWSZEJ PO POŁUDNIU.

– I co im się udało osiągnąć tą techniką? – zapytałem.

Tojwo ze znudzeniem patrzył w okno, śledząc spojrzeniem Obłoczne Osiedle, płynące gdzieś nad południowymi peryferiami Swierdłowska.

– Nic szczególnie nowego – odpowiedział. – Zrekonstruowali najbardziej prawdopodobny wygląd zwierząt. Wyniki analiz, takie jakie otrzymali ci ze Służby Awaryjnej. Byli zdziwieni, że nie zachowały się otoczki embriofor. Zdumiała ich energetyka i twierdzili, że to niemożliwe.

– Wysłałeś pytania? – zapytałem, z ogromnym wysiłkiem.

Chcę tu raz jeszcze podkreślić, że wtedy już wszystko widziałem. Wszystko wiedziałem, wszystko rozumiałem, ale nie miałem pojęcia, co mam zrobić z tym moim widzeniem, wiedzą i rozumem. Nic nie potrafiłem wymyślić, a moi pracownicy i koledzy tylko mi przeszkadzali. W szczególności Tojwo Głumow.

Najbardziej na świecie pragnąłem, aby natychmiast, nie czekając ani chwili, wysłać go na urlop. Wysłać na urlop wszystkich do ostatniego stażysty, samemu zaś odłączyć wszelkie linie łączności, aktywować ekranowanie, zamknąć oczy i chociażby na jedną dobę zostać zupełnie samemu. Żebym nie musiał uważać na swój wyraz twarzy. Żebym nie musiał zastanawiać się, jakie moje słowa zabrzmią naturalnie, a jakie dziwnie. Żebym w ogóle nie musiał myśleć o czymkolwiek, żeby w głowie powstała przepastna pustka i może wtedy poszukiwane rozwiązanie pojawi się w tej pustce samo przez się. To było coś w rodzaju halucynacji – takie halucynacje zdarzają się, kiedy człowieka trapi jednostajny, nieprzerwany ból. Trwało to już ponad pięć tygodni, moje siły duchowe były na wyczerpaniu, ale na razie udawało mi się jeszcze panować nad swoją twarzą, kierować swoim zachowaniem i zadawać absolutnie sensowne pytania.

– Wysłałeś pytania? – zapytałem Tojwo Głumowa.

– Pytania wysłałem – odpowiedział monotonnie. – Do Burgermeiera, do zjednoczenia „Embriomechanika". Do Gorbackiego. Do rąk własnych. I do Fleminga. Na wszelki wypadek. Wszystko w pana imieniu.

– Dobrze – powiedziałem. – Poczekamy.

Teraz należało dać mu się wygadać. Przecież widziałem – musi się wygadać. Powinien być pewien, że to co najważniejsze dotarło do przełożonego. Idealny przełożony sam powinien wydzielić i podkreślić to najważniejsze, ale na to nie miałem już siły.

– Chcesz jeszcze coś dodać? – zapytałem.

– Tak. Chcę – strącił prztyczkiem niewidzialny pyłek z powierzchni stołu. – Niezwykła technologia – ale nie ona jest najważniejsza. Najważniejsze – to dyspersja reakcji.

– To znaczy? – zapytałem. (Do tego wszystkiego musiałem go jeszcze poganiać).

– Mógł pan zauważyć, że wydarzenia te rozdzieliły świadków na dwie nierówne grupy. Mówiąc ściślej nawet na trzy. Przeważająca część świadków uległa nieopanowanej panice. Szatan na średniowiecznej wsi. Całkowita utrata samokontroli. Ludzie uciekali z Ziemi. Teraz druga grupa. Zootechnik Anatolij Sergiejewicz i malarka Zosia Ladowa, chociaż początkowo bardzo się wystraszyli, jednak następnie znaleźli w sobie dość sił, żeby wrócić, przy czym malarka dostrzegła w tych zwierzętach jakiś urok. I wreszcie – stara primabalerina i chłopiec Kir. I może jeszcze Pankratow, mąż Ladowej. Ci w ogóle się nie przestraszyli. Powiedziałbym nawet przeciwnie. Dyspersja reakcji – powtórzył Tojwo.

Wiedziałem czego on ode mnie oczekuje. Wnioski leżały na powierzchni. Ktoś przeprowadził w Małej Peszy eksperyment, polegający na selekcji, rozdzielił ludzi według ich reakcji na tych, którzy się nadają i na tych, którzy do czegoś tam się nie nadają. Dokładnie tak samo jak ten, który przeprowadzał selekcję w sektorze podprzestrzeni wejścia 41/02. I jest zupełnie jasne, kto to jest ten ktoś, dysponujący nieznaną

powrotu. Pytanie: czy nie zdarzają się organizmy, których kodu genetycznego nie przyjmują i nie identyfikują istniejące systemy rejestracji? Hipoteza: biorąc pod uwagę, że Martyn Czżan jest pod opieką Krakowskiego Instytutu Regeneracji z powodu regeneracji obu nóg i ponieważ w ciągu tych wszystkich lat po regeneracji nie zjawił się w Krakowie ani razu, należy przekazać kierownictwu bazy „Matryx" pismo Instytutu informujące, że dalsze uchylanie się od profilaktyki grozi Martynowi Czżanowi poważnymi konsekwencjami. Pismo Instytutu jest obecnie w moim posiadaniu, w Instytucie są ogromnie zaniepokojeni nieodpowiedzialnym postępowaniem Martyna Czżana.

9 maja do 21.30

Okigbo Siprian. Przyjął mnie pod zarejestrowanym adresem o 10.15. Powitał gościnnie, życzliwie, chociaż wyglądał na człowieka zajętego swoimi myślami. Posadził mnie w living-roomie, poczęstował szklanką kokosowego mleka, wysłuchał legendy i powiedział „Mój Boże, to wcale nie jest śmieszne!", po czym oddalił się w głąb domu z zatroskanym wyrazem twarzy. Czekałem na niego godzinę, następnie obejrzałem dom. Nie znalazłem nikogo. W gabinecie, w obu sypialniach i na mansardzie wszystkie okna były szeroko otwarte, ale śladów pod nimi nie zauważyłem. W pracowni (?) okna były przeciwnie, szczelnie zamknięte, zasłonięte metalowymi żaluzjami, panowało tam zimno nie do wytrzymania (niewykluczone, że poniżej minus pięciu, woda w akwarium pokryła się warstwą lodu), a nie dostrzegłem żadnych śladów systemu chłodzenia. Szlafrok, w którym Siprian Okigbo mnie powitał, leżał na podłodze w gabinecie. Czekałem na gospodarza jeszcze dwie godziny, a następnie porozmawiałem z sąsiadami. Nic istotnego – Siprian Okigbo jest człowiekiem zamkniętym w sobie, gości nie przyjmuje, prawie bez przerwy siedzi w domu, ogród zapuścił, ale jest uprzejmy, bardzo lubi dzieci, szczególnie maleńkie, jeszcze raczkujące i umie się z nimi obchodzić. Hipoteza: może mi się tylko wydawało, że Siprian Okigbo mnie przyjął? (patrz mój R/M nr 048/99)

11 maja 99 roku

W czasie próby ustalenia, czy Far-Ale Emil przebywa pod zarejestrowanym adresem, miałem atak nudności z halucynacjami. Nie będąc w stanie ustalić, czy dotyczy to wyłącznie mnie, czy też może być ważne dla sprawy, dołączam oddzielny raport-meldunek nr 048/99.

Sandro Mtbewari

(koniec Dokumentu 14)

Nigdy się nie dowiedziałem, jakie wrażenie zrobiły na Tojwo Głumowie rezultaty inspekcji Sandro Mtbewari. Przypuszczam, że był wstrząśnięty. I wstrząsnęły nim nie tyle rezultaty, ile myśl, że do takiego stopnia pozwolił sobie nie docenić nieprawdopodobnej potęgi przeciwnika.

Nie widziałem go ani 11-ego, ani 12-ego, ani 13-ego. Z pewnością były to dla niego ciężkie dni, kiedy przystosowywał się do swojej nowej roli: roli Aloszy Popowicza, przed którym zamiast zapowiedzianego Przeohydnego Bożyszcza pojawił się nagle sam złowrogi bóg Lokis. Ale przez te wszystkie dni pamiętałem o nim i myślałem o nim, dlatego że dla mnie dzień 11-ego maja rozpoczęły dwa dokumenty.

★

DOKUMENT 15

DO NACZELNIKA WYDZIAŁU NW OD PREZYDENTA

Drogi Big Bug!

Nie ma rady, kładą mnie do szpitala na operację. Jednakże nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Moje obowiązki przejmie, zatrzymując swoje (zdaje się, że od jutra) Genadij Komow. Przekazałem mu pańskie materiały. Nie ukrywam, że potraktował je dosyć sceptycznie. Ale zna mnie i zna pana. Jest już przygotowany, więc ma pan szanse przekonać go, szczególnie, jeśli udało się panu zdobyć nowe materiały, które zamierzał pan uzyskać. W takim przypadku będzie miał pan do czynienia nie tylko z Prezydentem sektora KK-2, ale także z wpływowym członkiem Rady Światowej. Życzę panu powodzenia, a pan niech mi go życzy również.

Atos. 11.05.99

(Koniec Dokumentu 15)

Amazonki, aby dopracować swój nowy system filozoficzny". (Interesująca byłaby rozmowa z kimkolwiek, kto zapoznał się z jego poprzednimi systemami filozoficznymi. Lekarze zaprzeczają, ale moim zdaniem, to wariat).

6 maja do 23.30

Fernand Leer. Przyjął mnie pod zarejestrowanym adresem o 11.05. Wyłożyłem swoją legendę i rozmawialiśmy do 12.50. Fernand Leer oświadczył, że czuje się znakomicie, nie dostrzega u siebie żadnych objawów choroby, nie odczuwa żadnych skutków amnezji z lat 89-91 i dlatego nie widzi żadnego powodu, aby się poddać mentoskopii. Do tego co powiedział w 91 roku, nie ma nic nowego do dodania, ponieważ nadal niczego nie pamięta. Transgeologiczna inżynieria dawno przestała go interesować i w ciągu ostatnich lat zajmuje się studiami nad teorią wielowymiarowych gier, a także wynalazkami w tej dziedzinie. Rozmawiał ze mną życzliwie, ale z widocznym roztargnieniem. Potem nagle się ożywił - wpadł na pomysł nauczenia mnie gry „sneep-snap-snoorry". Na tym moja wizyta się skończyła. (Sprawdziłem - Fernand Leer rzeczywiście stał się wybitnym specjalistą w dziedzinie wielowymiarowych gier. Nazywają go „Ochmistrzem Uczonych".)

Tuul Albert, syn Oskara. Pod zarejestrowanym adresem nie mieszka. Nowy adres w WMI Venusborg (Wenus). Pod tym adresem nie mieszka również. Dane z rejestratury na Wenus: Albert Tuul nigdy nie zjawił się na Wenus. W 97-ym roku zawiadomił matkę, że jakoby zamierza popracować w obozie „Hus" u „Tropicieli śladów" (planeta Kala-i-Mug). Od tego czasu matka dosyć regularnie otrzymuje wiadomości od syna (ostatnia nadeszła w marcu br.). Te wiadomości to obszerne listy, w których szczegółowo, bardzo po literacku, Albert Tuul opowiada o poszukiwaniach śladów cywilizacji „wilkołaków". Dane z obozu „Hus": Albert Tuul nigdy tam nie był, ale dosyć często poprzez zero-łączność rozmawia ze specjalistą od rozkopywania gruntów, J. Kapustinem, który jest absolutnie przekonany, że jego stary znajomy, Albert Tuul, mieszka na Ziemi pod zarejestrowanym adresem. Ostatni raz Kapustin rozmawiał z Tuulem 1 stycznia br. Kontrola sieci kosmodromów: od 96-ego roku (rok powrotu) niejednokrotnie wylatywał w głęboki Kosmos, ostatni raz wrócił z Kurortu w październiku 98-ego. Kontrola okołoziemskiej zero-T: od 96-ego roku niejednokrotnie bywał na Księżycu w „Oranżeriach". Kontrola systemu WN: od października 96-ego do października 97-ego pracował w abysalnym laboratorium „Tuskarora-16" jako kucharz. Hipoteza: Albert Tuul jest człowiekiem wyjątkowo lekkomyślnym, o niskim poziomie poczucia społecznej odpowiedzialności, incydent z 89-ego roku niczego go nie nauczył i nadal nie zamierza przywiązywać znaczenia do takiego drobiazgu jak dokładny adres.

8 maja do 22.10

Bagration Maurycy, syn Amazaspa. Pod zarejestrowanym adresem nie mieszka. W WMI jego nowego adresu nie ma. Z powodu bardzo podeszłego wieku nie ma bliskich krewnych, z którymi utrzymywałby regularny kontakt. Kontakty zawodowe zerwał ćwierć wieku temu. Jego obaj starzy przyjaciele, znani nam ze śledztwa związanego z zaginięciem Maurycego Bagrationa w 81-ym roku, również nie przebywają pod zarejestrowanymi adresami, a gdzie obecnie mieszkają, nie udało mi się wyjaśnić. Kontrola sieci kosmodromów, okołoziemskiego zero-T, systemu WN - żadnych wyników. Dane centrum gerontologicznego - już od wielu lat nie mogą go przebadać, ponieważ się nie zgłasza. Hipoteza: niezarejestrowany nieszczęśliwy wypadek. Uważam za słuszne odnalezienie jego przyjaciół i zawiadomienie ich o tym.

Czżan Martyn. Pod zarejestrowanym adresem nie mieszka. Nowy adres w WMI: baza „Matryx" (Druga EN 7113). Delegowany na „Matryx" w styczniu 95 roku przez Instytut Biokonfiguracji (Londyn) w charakterze interpretatora. W chwili obecnej (od grudnia 98-ego) przebywa na długoterminowym urlopie, miejsce pobytu nieznane. Kontrola sieci kosmodromów, okołoziemskiej zero-T i systemu WN od grudnia 98-ego roku nic nie wykazała. I w związku z tym dziwna historia: Wan, sąsiad Martyna Czżana pod zarejestrowanym adresem twierdzi, jakoby widział Martyna Czżana w marcu tego roku. Czżan na jego oczach przyleciał do swojego ogrodu na gliderze i nie wchodząc do domu, zaczął glider demontować. Na pozdrowienie Wana odpowiedział niedbale, od rozmowy się uchylił. Wan wyszedł z domu, a kiedy wrócił po paru godzinach nie było ani glidera, ani Martyna Czżana, i więcej już się nie pokazali. Historia ta wydaje mi się interesująca, ponieważ tajemnica pierwszego zniknięcia Martyna Czżana związana była również z tym, że rejestratory sieci kosmodromów nie odnotowały ani jego wyjazdu, ani

nam techniką. To ten sam, któremu z niewiadomego nam powodu przeszkadzała fukamizacja... Tojwo Głumow mógłby sam to wszystko sformułować, ale z jego punktu widzenia byłoby to naruszenie zasad służbowej etyki i zasady „sjao". Wyciąganie takich wniosków - to prerogatywa przełożonego i starszego klanu.

Ale ja nie wykorzystałem swoich prerogatyw. Na to również już nie miałem siły.

- Dyspersja - powtórzyłem. - Brzmi to dość przekonywająco.

Zdaje się, że jednak sfałszowałem, ponieważ Tojwo podniósł nagle swoje białe rzęsy i spojrzał mi prosto w oczy.

- To wszystko? - zapytałem natychmiast.

- Tak - odpowiedział. - Wszystko.

- Dobrze. Poczekamy na wynik ekspertyzy. Co zamierzasz teraz robić? Pójdziesz spać?

Westchnął. Ledwie dosłyszalnie. „Szef nie uznał za stosowne". Mniej opanowany człowiek na jego miejscu powiedziałby coś nieuprzejmego. Tojwo powiedział:

- Nie wiem. Chyba pójdę jeszcze trochę popracować. Dzisiaj powinny zakończyć się obliczenia.

- W związku z wielorybami?

- Tak.

- Dobrze - powiedziałem. - Jak chcesz. A jutro bądź łaskaw pojechać do Charkowa.

Tojwo uniósł białe brwi, ale nie powiedział nic.

- Wiesz co to jest Instytut Dziwaków? - zapytałem.

- Tak. Kikin mi opowiadał.

Teraz ja uniosłem brwi. W myśli. Rozpuścili się jak dziadowskie bicze. Niech ich wszyscy diabli wezmą. Czy naprawdę za każdym razem trzeba każdego uprzedzać, żeby trzymał język za zębami? Nie KOMKON-2, tylko pogaduszki w maglu...

- I co takiego opowiedział ci Kikin? - zapytałem.

- To filia Instytutu Badań Metapsychicznych. Badają graniczne i podgraniczne właściwości ludzkiej psychiki. Mnóstwo najdziwniejszych ludzi.

- Zgadza się - powiedziałem. - Wybierzesz się tam jutro. Zadanie będzie następujące.

Zadanie sformułowałem tak. 25 marca Instytut Dziwaków zaszczycił swoją wizytą słynny Szaman z planety Saraksz. Kto to taki ten Szaman? Niewątpliwie mutant. Więcej, jest panem i władcą wszystkich mutantów w radioaktywnych dżunglach za Błękitną Żmiją. Jest obdarzony wieloma zdumiewającymi zdolnościami, na przykład jest również psychokratą. Co to takiego psychokrata? - Psychokratą nazywamy istotę zdolną podporządkować sobie cudzą psychikę. Do tego Szaman posiada niebywały potencjał intelektualny, jest z tych sapiensów, którym wystarczy kropla wody, żeby wywnioskować o istnieniu oceanów. Szaman przybył na Ziemię z prywatną wizytą. Nie wiadomo dlaczego w pierwszej kolejności zainteresował go przede wszystkim Instytut Dziwaków. Być może, pragnął znaleźć się wśród sobie podobnych, tego nie wiemy. Jego wizyta była przewidziana na cztery dni, ale wyjechał po godzinie. Wrócił na Saraksz i tam przepadł w swoich radioaktywnych dżunglach.

Do tego momentu moje informacje dla Tojwo zawierały samą tylko prawdę i nic poza prawdą. Dalej zaczynało się pseudoquasi.

W ciągu całego ostatniego miesiąca nasi Progresorzy na Sarakszu na moją prośbę próbują nawiązać łączność z Szamanem. I nijak się to im nie udaje. Czy, nie zdając sobie sprawy, tu na Ziemi uraziliśmy czymś Szamana, czy wystarczyła mu jedna godzina, żeby uzyskać całą potrzebną mu informację o ludziach, czy też w ogóle zaszło coś specyficznie szamańskiego i dlatego absolutnie niepojętego dla nas - nie wiadomo. Mówiąc krótko, należy pojechać do Instytutu, przejrzeć tam całość materiałów dotyczących Szamana (jeśli przeprowadzono jakieś testy), porozmawiać z wszystkimi pracownikami, którzy mieli do czynienia z Szamanem, dowiedzieć się, czy nie zdarzyło się w czasie pobytu Szamana w Instytucie coś dziwnego, czy nie zapamiętano jakichś jego wypowiedzi na temat Ziemi albo też ludzi, i czy Szaman nie zrobił czegoś, co wtedy wydało się bez znaczenia, ale teraz nabrało wagi.

- Wszystko jasne? - zapytałem.

Tojwo znowu spojrzał na mnie i szybko spuścił oczy.

- Nie powiedział pan z jakim tematem związana jest moja delegacja.

Nie, to nie było przebłyskiem intuicji. I raczej nie złapał mnie na pseudoquasi. Po prostu całkiem szczerze nie mógł zrozumieć, dlaczego jego szef, dysponując taką istotną informacją dotyczącą infiltracji znienawidzonych Wędrowców, może zajmować się postronnymi sprawami. Więc powiedziałem:

– Temat wciąż ten sam. „Wizyta starszej pani".

(Właściwie tak właśnie było. W szerokim znaczeniu tych słów. W najszerszym.)

Czas jakiś Tojwo milczał, bezdźwięcznie postukując palcami po powierzchni stołu. Potem powiedział jakby przepraszająco:

– Nie widzę związku...

– Jeszcze zobaczysz – obiecałem.

Tojwo milczał.

– A jeśli nie ma związku, to tym lepiej – powiedziałem. – To jest czarownik, rozumiesz? Autentyczny czarownik, ja go znam. Prawdziwy czarownik z bajek, na ramieniu siedzi mu gadający ptak i tak dalej. Do tego jeszcze czarownik z innej planety. Jest potrzebny mi za wszelką cenę!

– Potencjalny sprzymierzeniec – powiedział Tojwo z cieniem pytania w głosie.

No proszę, sam sobie wszystko wyjaśnił. Teraz będzie pracować jak oszalały. Być może nawet odnajdzie Szamana. Co zresztą jest dosyć wątpliwe.

– Weź pod uwagę – powiedziałem – że w Charkowie będziesz występować jako pracownik Wielkiego KOMKONu. To nie konspiracja, Wielki KOMKON rzeczywiście poszukuje Szamana.

– Dobrze – powiedział Tojwo.

– Wszystko jasne? W takim razie idź już. No idź, idź. Pozdrowienia dla Asi.

Poszedł, a ja wreszcie zostałem sam. Na kilka błogosławionych minut. Do następnego dzwonka wideofonu. I oto w czasie tych błogosławionych minut zdecydowałem ostatecznie – trzeba iść do Atosa. Iść natychmiast, dlatego że kiedy Atos pójdzie do szpitala na operację, nie będzie w pobliżu mnie ani jednego człowieka, do którego będę mógł iść.

*

DOKUMENT NR 5

KOMKON-2 Swierdłowsk. Maksym Kammerer.

Od Gorbackiego, dyrektora biocentrum.

W odpowiedzi na pytanie z dnia 6 maja br.

Ktoś pana robi w konia. Coś takiego jest niemożliwe. Niech pan się nie przejmuje.

Gorbacki

(koniec Dokumentu nr 5)

DOKUMENT NR 6

KOMKON-2, Maksym Kammerer

Maksym!

O tym, co się stało w Małej Peszy, wiem wszystko. Sprawa moim zdaniem niezwykła i budząca zawiść. Twoi chłopcy bardzo precyzyjnie postawili pytania, na które wszyscy jesteśmy zobowiązani odpowiedzieć. Tym właśnie teraz się zajmuję, odłożywszy wszystkie inne sprawy. Kiedy się coś wyjaśni, natychmiast dam ci znać.

Fleming

Dolna Pesza, 15.30

PS. A może coś już wyjaśniłeś swoimi kanałami? Jeśli tak, zawiadom mnie jak najprędzej. W ciągu najbliższych trzech dni siedzę w Dolnej Peszy.

PPS. Czyżby mimo wszystko Wędrowcy? Do diabła, to byłoby fajnie!

(koniec Dokumentu nr 6)

Kiedy znowu odzyskał przytomność, okazało się, że siedzi na ławce w uzdrowiskowej miejscowości Rozalinda, a obok stoi zero-kabina, ta sama, z której niedawno wyszedł. Nadal lekko mdliło i chciało się pić, ale świat był jasny i życzliwy, a godzina okazała się 10.42. Beztroscy, modnie ubrani ludzie, którzy przechodzili obok, zaczęli spoglądać na Sandro z niepokojem i zwalniać kroku, podjechał nagle cyberkelner i podał wysoką, zapoconą szklankę z jakimś firmowym napojem...

Wysłuchawszy do końca, Tojwo czas jakiś milczał, a potem powiedział, starannie dobierając słów:

– Należy to koniecznie włączyć do raportu.

– Załóżmy – powiedział Sandro. – Ale z jaką interpretacją?

– Tak napisz, jak mi opowiedziałeś.

– Ja ci opowiadałem tak, jakby mi się zrobiło słabo na upale i to wszystko zobaczyłem w malignie.

– To znaczy nie jesteś pewien, że to była maligna?

– Skąd mam wiedzieć? Ale mógłbym to opowiedzieć inaczej, że mnie zahipnotyzowano, że to była naprowadzona halucynacja...

– Myślisz, że halucynację naprowadził Głowan?

– Nie wiem. Być może. Ale raczej nie przypuszczam. Stał za daleko, 70 metrów, nie mniej... Zresztą był za młody na takie numery... A poza tym – z jakiej racji?

Milczeli przez chwilę, potem Tojwo zapytał:

– Co powiedział Big Bug?

– E, nawet ust mi nie dał otworzyć, w ogóle na mnie nie spojrzał. „Jestem zajęty, idź, będziesz pracował dla Głumowa".

– Powiedz – zapytał Tojwo – jesteś pewny, że ani razu nie zaszedłeś do tego domu?

– Niczego nie jestem pewny. Oprócz jednego – że z tymi „van winkle'ami" to bardzo nieczysta sprawa. Zajmuję się nimi od początku roku i nic się nie przejaśnia. Odwrotnie, z każdym nowym przypadkiem robi się coraz ciemniej. Oczywiście czegoś takiego jak dzisiaj jeszcze nie było, to coś ekstra...

Tojwo powiedział przez zęby:

– Czy ty rozumiesz, czym to pachnie, jeśli naprawdę tak było – nagle przypomniał sobie. – Poczekaj! A rejestrator? Co masz na rejestratorze?

Sandro odpowiedział z pełną pokorą wobec losu:

– Na rejestratorze nie ma nic. Okazało się, że nie był włączony.

– No wiesz!!!

– Wiem. Tylko dokładnie pamiętam, że go naładowałem i włączyłem przed wyjściem.

*

DOKUMENT 14

KOMKON-2 Ural-Północ

RAPORT-MELDUNEK

nr 047/99

Data: 4-11 maja 99 roku

Autor: Sandro Mtbewari, inspektor

Temat: 101 „Rip Van Winkle"

Treść: rezultaty inspekcji „grupy 80"

Po otrzymaniu polecenia przeprowadzenia inspekcji 4 maja rano, natychmiast przystąpiłem do wykonania.

4 maja 22.40

Astangow Jurij Nikołajewicz. Pod zarejestrowanym adresem nieobecny. Nowego adresu w WMI brak. Wywiad wśród krewnych, przyjaciół i znajomych nie dał rezultatów. Najczęstsza odpowiedź – nic nie możemy powiedzieć, nie kontaktowaliśmy się przez ostatnie lata, gdyż po powrocie w 95-tym roku stał się jeszcze bardziej nietowarzyski niż poprzednio, przed zniknięciem. Kontrola sieci kosmodromów okołoziemskiej zero-T, systemu nadzorczego WN (wzmożonego niebezpieczeństwa) również nic nie dała. Hipoteza: Jurij Astanow, podobnie jak poprzednim razem, „odosobnił się w dżunglach dorzecza

a z których tylko dwoje byli wymienieni z nazwiska, pozostali zaś wystepowali jako „pacjent Z., serwisomechanik", „Teodor P., entolingwista" i tak dalej.

Około południa w gabinecie „D" pojawił się Sandro Mtbewari, zabiedzony, żółty i rozczochrany. Usiadł za swoim biurkiem i bez żadnych wstępów i tradycyjnych w takiej sytuacji (po powrocie z dalekiej wędrówki) żarcików zameldował Tojwo, że na polecenie Big Buga stawia się do jego dyspozycji, ale najpierw chciałby zakończyć sprawozdanie z delegacji. Więc o co chodzi? - niespokojnie zapytał Tojwo, nieco przerażony wyglądem Sandro. A chodzi o to - odpowiedział Sandro z irytacją - że wydarzyło mu się coś takiego, o czym nie wiadomo, czy należy napisać w sprawozdaniu, a jeżeli należy to nie bardzo wiadomo, w jaki sposób.

I natychmiast zaczął opowiadać, z trudem dobierając słowa, plącząc się w szczegółach i przez cały czas nienaturalnie naśmiewając się z samego siebie.

Dzisiaj rano wyszedł z kabiny-T w uzdrowiskowej miejscowości Rozalinda (opodal Biarritz), przemaszerował z pięć kilometrów pustynną kamienistą ścieżką między winnicami i około dziesiątej był już u celu - na dole leżała Dolina Róż. Ścieżka prowadziła w dół do dworku „Dobry wietrzyk", którego stromy dach sterczał wśród masy bujnej zieleni. Sandro automatycznie zarejestrował godzinę - była za minutę dziesiąta, jak zresztą przypuszczał. Przed zejściem do dworku usiadł na okrągłym, czarnym kamieniu i zaczął wytrząsać kamyczki z sandałów. Było już bardzo gorąco, rozpalony kamień parzył przez szorty i strasznie chciało się pić.

Najwidoczniej w tej właśnie chwili zrobiło mu się słabo. Zadzwoniło w uszach, słoneczny dzień poczerniał. Sandro wydało się, że schodzi na dół ścieżką, idzie, nie czując pod sobą nóg, mija uroczą altankę, której nie zauważył z góry, mija glider z otwartą maską i rozgrzebanym (jakby ktoś wyjął z niego całe bloki) silnikiem, mija wielkiego kudłatego psa, który leży w cieniu z wysuniętym, czerwonym językiem i patrzy obojętnie na Sandro. Potem wchodzi po schodkach na werandę uwitą różami. Przy tym słyszał bardzo wyraźnie skrzypienie stopni, ale nóg pod sobą nadal nie czuł. W głębi werandy stał stół zawalony jakimiś niepojętymi przedmiotami, a nad stołem, wsparty szeroko rozstawionymi dłońmi o blat, nawisał ten właśnie człowiek, który był mu potrzebny.

Człowiek ten podniósł na Sandro maleńkie, ukryte pod siwymi brwiami oczka, a na jego twarzy pojawiła się lekka irytacja. Sandro przedstawił się i prawie nie słysząc własnego głosu, zaczął referować swoją legendę, ale nie zdążył wypowiedzieć nawet dziesięciu słów, kiedy człowiek okropnie się skrzywił i powiedział coś w rodzaju „Och, jak okropnie nie w porę!", po czym Sandro odzyskał przytomność, cały zlany potem, z sandałem w ręku. Siedział na kamieniu, gorący granit palił go przez szorty, a zegarek nadal wskazywał za minutę 10-ta. No, minęło może piętnaście sekund, ale nie więcej.

Włożył sandały, otarł spoconą twarz i wtedy prawdopodobnie znowu go złapało. Znowu schodził drogą, nie czując nóg, wszystko wyglądało jak przepuszczone przez neutralny filtr świetlny, a w głowie błąkała się tylko jedna myśl, och, że też ja tak nie w porę. I znowu z lewej strony stała urocza altanka (na podłodze poniewierała się lalka bez rąk i jednej nogi), był też glider (na burcie ktoś nalepił zuchwałego diabełka), był też drugi glider nieco w głębi, również z podniesioną maską, pies schował język i teraz spał, położywszy ciężki łeb na przednich łapach. (Dziwny jakiś pies, zresztą, czy to aby na pewno pies?) Skrzypiące schodki. Chłód werandy. I znowu człowiek spojrzał spod siwych brwi i powiedział niby groźnym tonem, tak jak się rozmawia z niegrzecznym dzieckiem: „Ile razy mam powtarzać? Przyszedłeś nie w porę! Wynoś się!" I Sandro znowu się ocknął, ale teraz już nie siedział na kamieniu, tylko obok niego na suchej, kłującej trawie i trochę go mdliło.

Co się ze mną dzisiaj wyrabia? - pomyślał ze złością i strachem, próbując wziąć się w garść. Świat był nadal przygaszony, w uszach dzwoniło, ale jednocześnie Sandro kontrolował się w całej pełni. Była prawie dokładnie 10.00 godzina, bardzo chciało mu się pić, ale nie czuł już słabości i należało doprowadzić do końca to, po co tu przyszedł. Wstał i wtedy zobaczył, że z gąszczu zieleni wyszedł na drogę ten sam człowiek i przystanął, patrząc w stronę Sandro, a wtedy wyszedł z zarośli ten sam pies, zatrzymał się przy nodze człowieka i też zaczął patrzeć na Sandro, Sandro zaś machinalnie odnotował w głowie, że to nie żaden pies, tylko młody Głowan. I Sandro uniósł rękę, sam nie wiedząc po co, może na znak powitania, może chcąc zwrócić na siebie uwagę, ale tymczasem ten człowiek odwrócił się do niego plecami, a świat przed oczami Sandro poczerniał i przechylił się ukośnie na lewo.

DOKUMENT 7

Zjednoczenie „EMBRIOMECHANIKA"
Dyrektoriat.
Ziemia, region Antarktyczny. Erebus
A 18/03 62
Indeks O/T: KC 946239
Łącznosc: SKC-76

Burgermeier Adolf-Anna Dyrektor Generalny
S-283 7 maja 99 roku
KOMKON-2 Ural-Północ. NW łączność: SRZ-23
Do naczelnika wydziału NW Maksyma Kammerera
Treść: odpowiedź na pismo z dnia 6 maja 99 roku

Drogi Kammerer!

W związku z interesującymi pana właściwościami embrioforów stwierdzam co nastepuje:

1) Łączna masa powstających mechanizmów - do 200 kg. Maksymalna liczba - 8 sztuk. Maksymalny rozmiar egzemplarza może pan obliczyć według programu 102 ASTA (M, R, Rq, K), gdzie M - masa materiału wyjściowego, R - gęstość materiału wyjściowego, Rq - gęstość środowiska, K - ilość powstających mechanizmów. Ten stosunek ze znaczną dokładnością zachodzi w rozpiętości temperatury od 200 do 4000 i w rozpiętości ciśnienia od 0 do 200 SE.

2) Czas rozwoju embriofora - to wielkość niecharakterystyczna, zależna od bardzo wielu parametrów, które całkowicie znajdują się pod kontrolą inicjatora. Dla najszybciej działających embrioforów istnieje dolna granica czasu rozwoju i wynosi około 1 min.

3) Czas trwania znanych mi obecnie biomechanizmów zależy od ich indywidualnej masy. Masa krytyczna biomechanizmu wynosi $M^0 = 12$ kg. Biomechanizmy, których masa nie przekracza M^0, teoretycznie mogą żyć w nieskończoność. Czas zaś istnienia biomechanizmów o większej masie zmniejsza się wraz ze wzrostem nadmiaru masy według eksponenty tak, że czas istnienia egzemplarzy o największej masie (rzędu 100 kg) nie może przewyższać kilku sekund.

4) Problem stworzenia embiofora, który mógłby się całkowicie rozessać, istnieje już od dawna, lecz - niestety - jest jeszcze daleki do rozwiązania. Nawet najdoskonalsza technika nie potrafi jeszcze skonstruować otoczki, która by w pełni mogła się włączyć w cykl rozwoju.

5) Mikroskopijne biomechanizmy ogólnie mówiąc posiadają znaczną ruchliwość (do tysiąca własnej długości na minutę). Jeżeli zaś chodzi o prototypy polowe, to za rekordowy uważa się na razie model KS-3 „Pasikonik", który może rozwijać prędkość w określonym kierunku do 5 m/sek.

6) Można stwierdzić ze stuprocentową pewnością, że każdy ze zrealizowanych obecnie biomechanizmów ostro i jednoznacznie (negatywnie) reaguje na naturalne biopole. Jest to zakodowane w systemie genetycznym każdego biomechanizmu - i nie z etycznych, jak wielu sądzi, powodów, tylko dlatego, że każde naturalne biopole o intensywności przewyższającej 0,63 GD (biopole kota) emituje zakłócenia nie do skompensowania w systemie sygnalnym biomechanizmu.

7) W związku z bilansem energetycznym. Ukształtowanie przez embiofora biomechanizmu o parametrach opisanych w pańskim piśmie musiałoby doprowadzić do gwałtownego wyzwolenia się energii (eksplozja), w razie gdyby opisane przez pana wydarzenie było w ogóle możliwe. Jednakże wszystko wskazuje na to, że opisane wydarzenie, jak wynika z wszystkiego, co stwierdziłem powyżej, a także jeśli wziąć pod uwagę możliwości nauki i techniki, na obecnym poziomie rozwoju, jest płodem czyjejś fantazji.

Z poważaniem
Dyrektor Generalny Burgermeier

(koniec Dokumentu 7)

DOKUMENT 8

RAPORT-MELDUNEK
Nr 016/99

KOMKON-2

Ural-Północ

Data: 8 maja 99 roku
Autor: Tojwo Głumow, inspektor
Temat: 009 „Wizyta starszej pani"
Treść: o pobycie Szamana (Saraksz) w Charkowskim Instytucie Badań Metapsychicznych (Instytut Dziwaków)

Zgodnie z poleceniem, wczoraj rano przybyłem do Charkowa, do filii Instytutu Dziwaków. Zastępca dyrektora filii, Łogowienko, wyznaczył mi audiencję na 10.00, jednakże do jego gabinetu nie wpuszczono mnie od razu. Najpierw zbadano mnie w komorze poślizgowej częstotliwości KSCZ-8, zwanej również „Pułapką na Dziwaka". Okazuje się, takiemu badaniu poddają tu każdego nowego przybysza. Cel badania – wykrycie u przypadkowego człowieka „latentnych zdolności metapsychicznych", inaczej mówiąc, tak zwanej „utajonej dziwaczności".

O 10.25 stawiłem się u zastępcy dyrektora do spraw kontaktów z organizacjami społecznymi.

(Łogowienko Danił Aleksandrowicz, doktor psychologii, członek korespondent Akademii Nauk Medycznych Europy. Urodzony 17.09.30 w Boryspolu. Wykształcenie: Instytut Psychologii w Kijowie. Wydział Zarządzania Uniwersytetu Kijowskiego. Specjalne kursy wyższej i anomalnej etiologii w Splicie. Podstawowe prace – w dziedzinie metapsychologii odkrył tzw. „impuls Łogowienko" czyli „rytm T mentogramu". Jeden z założycieli Charkowskiej filii Instytutu Badań Metapsychicznych).

Danił Łogowienko opowiedział mi, że sam osobiście powitał Szamana 25 marca br. na kosmodromie Mirza Czarle i przywiózł go wprost do budynku Instytutu. Obecni przy tym byli: kierownik oddziału filii Bohdan Gajdaj i towarzyszący Szamanowi z ramienia KOMKONu-1 znany nam Boria Łaptiew.

Po przybyciu do Instytutu Szaman uchylił się od tradycyjnej rozmowy wstępnej w czasie niewielkiego przyjęcia i wyraził chęć niezwłocznego rozpoczęcia zaznajamiania się z działalnością pracowników Instytutu oraz z ich klientelą. Wtedy Danił Łogowienko przekazał opiekę nad Szamanem Gajdajowi i więcej już Szamana nie zobaczył.

Ja: W jakim celu, pańskim zdaniem, Szaman przyjechał do Instytutu?

Łogowienko: Szaman nic na ten temat nie powiedział. KOMKON poinformował nas, że Szaman jakoby wyraził życzenie zapoznania się z naszymi pracami, a my umożliwiliśmy mu to z przyjemnością. Oczywiście mieliśmy w tym także własny interes – chcieliśmy przetestować samego Szamana. W polu naszego widzenia jeszcze nigdy nie znalazł się psychokrata o podobnej mocy i do tego obcoplanetarny.

Ja: Co wykazało badanie?

Łogowienko: Badanie się nie odbyło. Szaman nieoczekiwanie przerwał swoją wizytę ku zaskoczeniu nas wszystkich.

Ja: Jak pan sądzi, dlaczego?

Łogowienko: Gubimy się w domysłach. Ja osobiście skłonny jestem przypuszczać, co następuje. Przedstawiono mu Michaela Desmonda, to polimental. I możliwe, że Szaman wychwycił u Michaela coś takiego, co nam umknęło, a jego przestraszyło, czy uraziło, słowem, zaszokowało do takiego stopnia, że stracił ochotę do kontaktów z nami. Niech pan nie zapomina, że to psychokrata, intelektualista, ale z pochodzenia, z wychowania, również w sferze światopoglądu, jeśli można tak powiedzieć, to typowy dzikus.

Ja: Niezupełnie rozumiem. Co to takiego polimental?

Łogowienko: Polimentalizm – to bardzo rzadkie metapsychiczne zjawisko, współistnienie w jednym organizmie ludzkim dwóch i więcej niezależnych świadomości. Proszę nie mylić ze schizofrenią, to nie patologia. Na przykład nasz Misza Desmond. To idealnie zdrowy, bardzo sympatyczny młody chłopak, który nie zdradza żadnych odchyleń od normy. No i jakieś dziesięć lat temu najzupełniej przypadkowo wykryto u niego podwójny mentogram. Jeden – zwyczajny, ludzki, jednoznacznie związany z przesz-

DOKUMENT 12

RAPORT-MELDUNEK

KOMKON-2

nr 019/99

Ural-Północ

Data: 10 maja 99 roku
Autor: Tojwo Głumow, inspektor
Temat: 009 „Wizyta starszej pani"
Treść: informacje o wydarzeniach w Małej Peszy przesłał do Instytutu Oleg Pankratow.

Zgodnie z poleceniem przeprowadziłem rozmowy z Basilem Niewierowem, z Olegiem Pankratowem i z Zosią Ladową na okoliczność wyjaśnienia, czy któraś z wymienionych osób nie wysłała do Instytutu Dziwaków informacji o anormalnym zachowaniu pewnych ludzi w czasie wydarzeń w Małej Peszy w nocy na 6 maja br.

1. Rozmowa z pracownikiem Służby Awaryjnej Basilem Niewierowem odbyła się za pośrednictwem wideofonu wczoraj około południa. Pod względem operacyjnym rozmowa ta nie zawierała nic interesującego. Basile Niewierow bez wątpienia o Instytucie Dziwaków usłyszał po raz pierwszy ode mnie.

2. Z Olegiem Pankratowem i jego żoną, Zosią Ladową, spotkałem się w kuluarach regionalnej konferencji astroarcheologów amatorów w Syktywkarze. W czasie niewymuszonej rozmowy przy filiżance kawy Oleg Olegowicz chętnie podjął wątek o cudach w Instytucie Dziwaków i z własnej inicjatywy podał następujące fakty:

– już od wielu lat jest stałym aktywistą Instytutu Dziwaków, ma nawet własny indeks jako samodzielny i stały informator;

– to dzięki jego staraniom w strefie zainteresowania metapsychologów znaleźli się tacy fenomenalni ludzie jak Rita Głuzska („Czarne oko"), Lebey Malang (psychoparamorfik) i Konstanty Mowson („Władca much V");

– jest mi niezmiernie wdzięczny za informację o zdumiewającej Albinie i nadzwyczajnym Kirze, dostarczone mu tak uprzejmie i szybko tego dnia w Małej Peszy, które to informacje niezwłocznie przesłał do Instytutu;

– W Instytucie był trzykrotnie – na corocznych konferencjach aktywistów, Daniła Łogowienko osobiście nie zna, ale niezmiernie szanuje jako wybitnego uczonego.

3. W związku ze wszystkim co napisałem powyżej uważam, że mój raport-meldunek nr 018/99 jest nieprzydatny dla tematu 009.

Tojwo Głumow

(koniec Dokumentu 12)

DOKUMENT 13

TOJWO GŁUMOW INSPEKTOR
DO NACZELNIKA WYDZIAŁU NW MAKSYMA KAMMERERA

RAPORT

Proszę o udzielenie mi sześciomiesięcznego urlopu w związku z koniecznością towarzyszenia żonie w czasie jej długotrwałego służbowego pobytu na Pandorze.

Tojwo Głumow

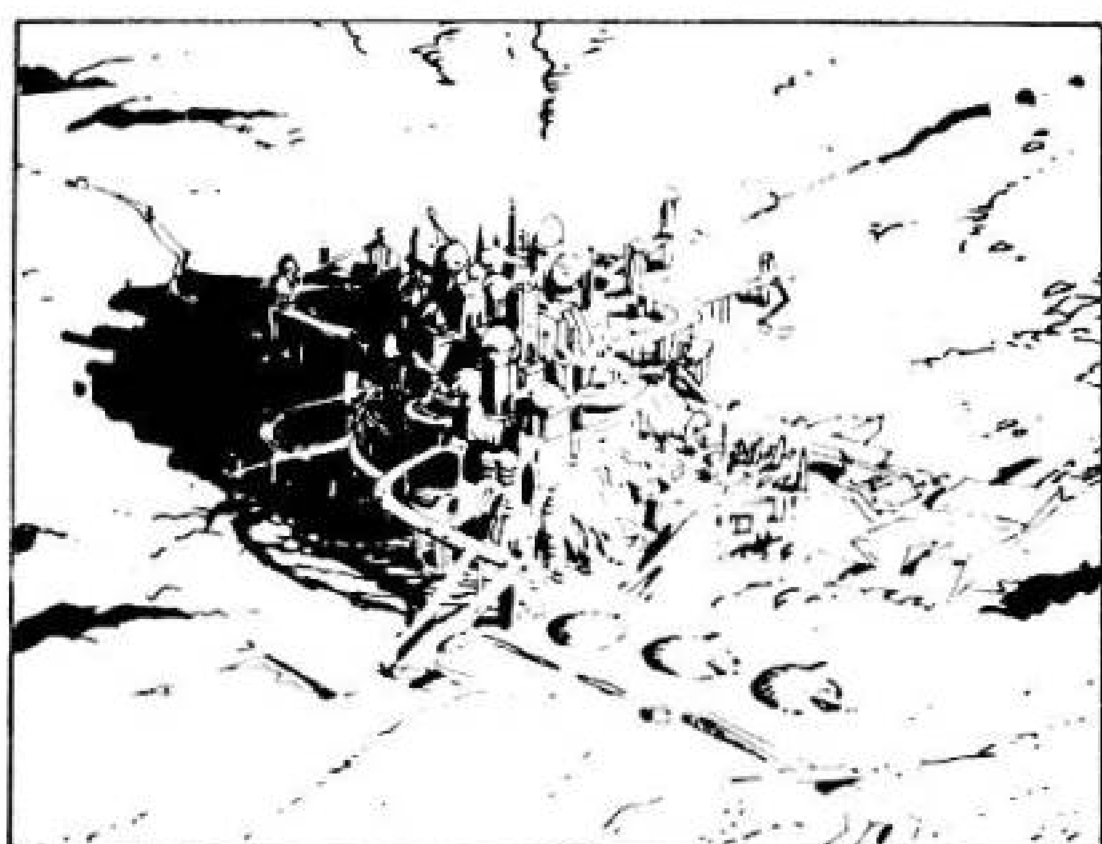
10.05.99
DECYZJA: Nie wyrażam zgody. Proszę nadal wykonywać otrzymane zadanie.

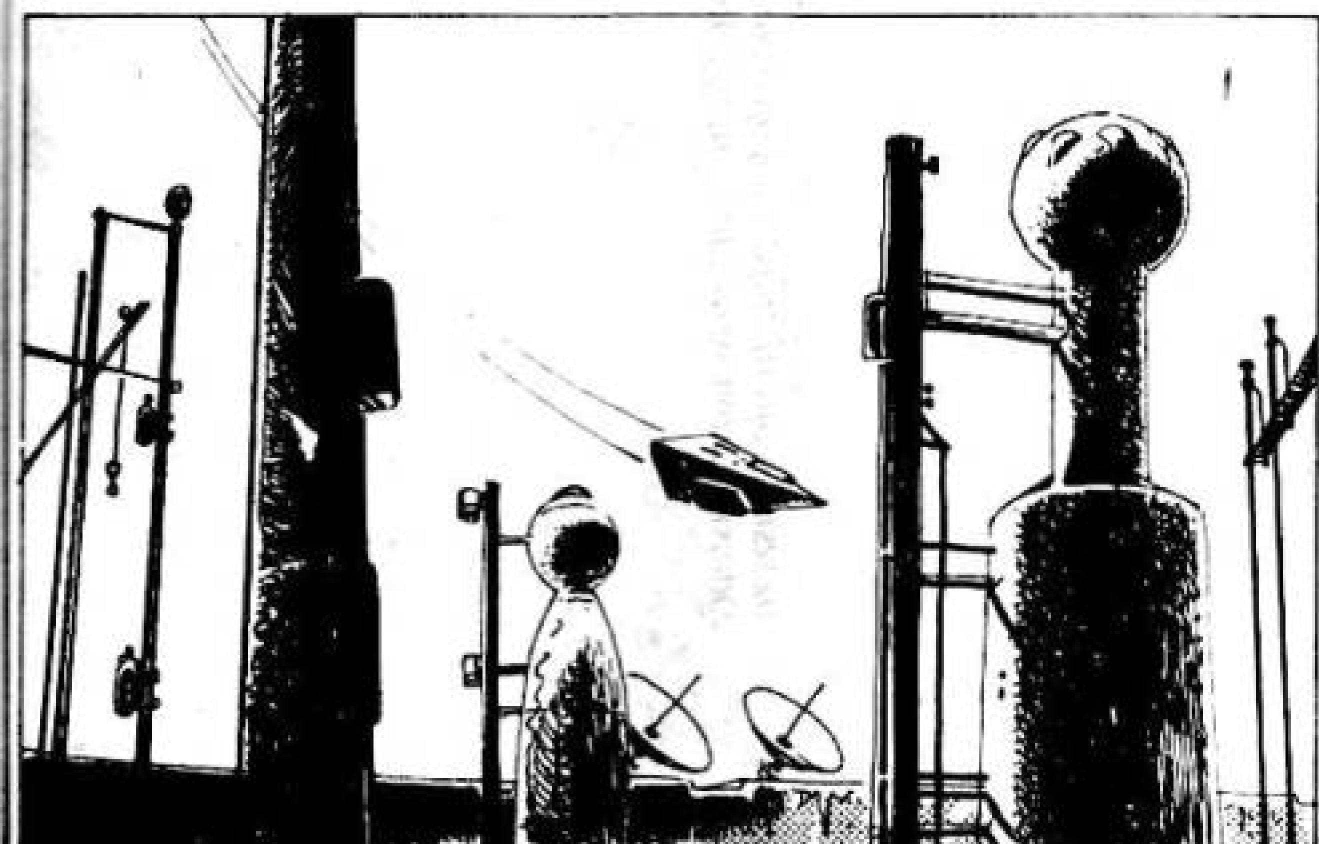
***Maksym Kammerer**, 10 maja 99 r.*

WYDZIAŁ NW. GABINET „D". 11 MAJA 99 ROKU.

Rano 11 maja ponury Tojwo przyszedł do pracy i zapoznał się z moją decyzją. Widocznie w ciągu nocy trochę się uspokoił. Nie protestował ani też nie domagał się zgody na wyjazd, tylko zasiadł w gabinecie „D" i zabrał się do sporządzania listy ludzi z inwersją „syndromu pingwina", których miał już siedmiu,










MINEŁY DNI, TYGODNIE, MOŻE MIESIĄCE...


CZY WRESZCIE ZROZUMIAŁEŚ, YANS? KAŻDA VCIECZKA SKAZANA JEST NA PRZEGRANĄ...


WYSTAWIŁEM CIĘ NA RÓŻNEGO RODZAJU PRÓBY, ABY UDOWODNIĆ CI DO JAKIEGO STOPNIA JESTEŚ W BŁĘDZIE. WYKAZAŁEŚ SWOJĄ SPRAWNOŚĆ I SKUTECZNOŚĆ W SYTUACJACH NAJBARDZIEJ NIEBEZPIECZNYCH. JESTEŚ DLA NAS ZBYT CENNYM AGENTEM, ABY CIĘ UTRACIĆ, YANS. TERAZ CZAS ABYŚ ODDAŁ WSZYSTKIE SWE ZDOLNOŚCI NA NASZE USŁUGI...


NIE LICZCIE NA MOJĄ VLEGŁOŚĆ
TWOJE JEDYNE KALECTWO UMYSŁOWE - TRUDNO MI ZNALEŹĆ ODPOWIEDNIEJSZE SŁOWA - TO PRZYWIĄZANIE DO TEJ ISTOTY KTÓRA... KTÓREJ JUŻ NIE

YANS – WIĘZIEŃ WIECZNOŚCI


















PODEJDŹ TY... JESTEM PEWNY... POWIEDZ MI IMIĘ TWOJEGO OJCA!
NAZYWANO GO "GRAIN"! YANS, TO JA JESTEM ORCHIDEA!


A TY... OPOWIEDZ JAK ZAATAKOWAŁAŚ RABNIXA?
MOIMI PAZNOKCIAMI... **JA** TO ZROBIŁAM!


GDY SIĘ SKRYLIŚMY NA BAGNACH, W JAKI SPOSÓB ODDYCHALIŚMY POD WODĄ?
PRZEZ TRZCINĘ... TO JA BYŁAM Z TOBĄ!


NIE JESTEŚ W STANIE ICH ODRÓŻNIĆ, YANS... CHOCIAŻ PRAWDZIWA JEST OBOK CIEBIE...


JESTEM PEWNY, ŻE JEJ ZAPACH, JEJ CIAŁO... MUSZĘ SOBIE PRZYPOMNIEĆ... **RANA NA RAMIENIU!**








I TO DLA JEDNEJ Z TYCH ISTOT CHCIAŁEŚ NAS ZDRADZIĆ, YANS? A WIĘC, OD DZISIAJ BĘDĄ ŻYŁY WSZYSTKIE TRZY... A TY MUSISZ MI BYĆ POSŁUSZNY. KAŻDY NIEROZWAŻNY KROK Z TWOJEJ STRONY SPOWODUJE **WYMAZANIE** JEDNEJ Z NICH A TY SIĘ NIGDY NIE DOWIESZ, CZY STAŁO SIĘ TO Z PRAWDZIWĄ ORCHIDEĄ, CZY TEŻ TYLKO Z JEDNĄ Z JEJ KOPII... ZOSTAŁEŚ **WIĘŹNIEM WIECZNOŚCI YANS...**
KONIEC

KOMIKS

FUNKY & YANS

JUŻ NIEDŁUGO



Kammerer: Tak. Ty.

Głumow: Cóż, jeśli pan chce usłyszeć moje zdanie... Pierwsze kroki według mnie są oczywiste. Przede wszystkim należy koniecznie zidentyfikować Wędrowców i zdemaskować tych, których Wędrowcy wyselekcjonowali. Zorganizować tajną, mentoskopiczną obserwację, a jeżeli okaże się konieczne – przeprowadzić przymusową, obowiązującą wszystkich mentoskopię i to najgłębszą z możliwych... Przypuszczam, że są na to przygotowani i zablokują swoją pamięć... Ale to nic, to właśnie mógłby być dowód... Gorzej, gdyby umieli wzbudzać fałszywą pamięć...

Kammerer: Dobra. Wystarczy. Zasługujesz na pochwałę, dobrze ci poszło. A teraz słuchaj i pamiętaj, że to rozkaz. Przygotuj dla mnie listy następujących ludzi. Po pierwsze, osób z inwersją „syndromu pingwina", wszystkich, których lekarze zarejestrowali do dnia dzisiejszego. Po drugie, osób, które nie przeszły fukamizacji...

Głumow (przerwa): To ponad milion nazwisk!

Kammerer: Nie, ja mam na myśli tylko tych, którzy odmówili przyjęcia „szczepionki dojrzałości", to dwadzieścia tysięcy ludzi. Trzeba się będzie narobić, ale musimy być zapięci na ostatni guzik. Po trzecie – przejrzyj nasze dane o tych, którzy zaginęli bez wieści i zrób z tego jedną listę.

Głumow: A co z tymi, którzy się później odnaleźli?

Kammerer: Ich odnotuj w pierwszej kolejności. Teraz zajmuje się tym Sandro, będziesz z nim współpracował. To wszystko.

Głumow: Lista tych z inwersją, tych co odmówili szczepienia, tych, co zaginęli i się odnaleźli. Jasne. Ale pomimo wszystko, Big Bug...

Kammerer: Mów.

Głumow: Pomimo wszystko niech mi pan pozwoli porozmawiać z Niewierowem i tym małżeństwem z Małej Peszy.

Kammerer: Chcesz mieć czyste sumienie?

Głumow: Tak. Może to jednak jakiś życzliwy entuzjasta...

Kammerer: Zgadzam się. (po króciutkiej przerwie) Ciekawe, co zrobisz, jeśli się okaże, że to naprawdę jakiś entuzjasta...

(koniec Dokumentu 11)

Ponownie przesłuchałem ten fonogram. Miałem wtedy młody głos, pewny siebie, godny, głos człowieka decydującego o cudzych losach, dla którego ani przeszłość, ani teraźniejszość, ani przyszłość nie ma żadnych tajemnic. Głos człowieka, który wie co robi i wie, że zawsze ma rację. Teraz po prostu nie chce mi się wierzyć, że mogłem być takim obłudnikiem i komediantem. Bo naprawdę trzymałem się wtedy resztką sił. Miałem gotowy plan działania, ale w żaden sposób nie mogłem się doczekać sankcji Prezydenta i nie mogłem się zebrać na odwagę, żeby bez tej sankcji iść do Komowa.

Ale jednocześnie pamiętam bardzo dokładnie, jaką ogromną radość sprawił mi tego rana Tojwo Głumow, z jaką przyjemnością słuchałem go i obserwowałem. To przecież była najwspanialsza chwila jego życia. Szukał ich przez pięć lat, tych dywersantów, którzy potajemnie wtargnęli na jego Ziemię, szukał, nie zrażając się ciągłymi niepowodzeniami, nieomal samotnie, nie zachęcany przez nic i nikogo, skazany na politowanie ukochanej żony, szukał i w końcu znalazł. Okazało się, że miał rację. Okazało się, że był przenikliwszy od wszystkich innych, cierpliwszy, mądrzejszy – od tych wszystkich żartownisiów, lekkomyślnych filozofów, intelektualistów o strusich zwyczajach.

Zresztą to jego poczucie triumfu jest oczywiście moim pomysłem. Przypuszczam, że w tamtym momencie nie odczuwał nic poza chorobliwą niecierpliwością, chciał jak najprędzej schwycić przeciwnika za gardło. Udowadniając ponad wszelką wątpliwość, że przeciwnik znajduje się na Ziemi i że działa, Tojwo nie miał jeszcze wtedy zielonego pojęcia, co udowodnił naprawdę.

A ja miałem. Ale pomimo to, patrząc na Tojwo tego ranka, byłem nim zachwycony, byłem z niego dumny, mógłby być moim synem i chciałbym mieć właśnie takiego syna.

Zawaliłem go robotą przede wszystkim dlatego, że chciałem go zamknąć w gabinecie za biurkiem. Odpowiedzi z Instytutu ciągle jeszcze nie było, a te listy tak czy inaczej musiał ktoś zrobić.

łością i teraźniejszością Michaela. I drugi – wykrywalny przy bardzo precyzyjnie określonej głębokości mentoskopii. To mentogram istoty, która nie ma z Michaelem nic wspólnego, przebywającej w świecie, którego dotąd nie udało się nam zidentyfikować. Najwidoczniej jest to świat wysokich temperatur i ogromnych ciśnień... Zresztą nie to jest ważne. Ważne jest natomiast, że Michael nie ma pojęcia ani o tym świecie, ani o tej sąsiadującej świadomości, tamta zaś istota nie ma pojęcia ani o Michaelu, ani o naszym świecie. Więc tak sobie myślę – udało się nam wykryć u Michaela jedną sąsiadującą świadomość, a może współistnieją z nią jeszcze jakieś inne, znajdujące się poza zasięgiem naszych możliwości wykrywania i to właśnie one mogły zaszokować Szamana.

Ja: A pana szokuje ten drugi świat waszego Desmonda?

Łogowienko: Rozumiem. Nie. Stanowczo – nie. Ale muszę panu powiedzieć, że ten człowiek, który robił mentoskopię i pierwszy zajrzał w ten inny świat, przeżył silny bardzo wstrząs. Przede wszystkim, rzecz jasna, dlatego, ponieważ uznał, że Michael jest zamaskowanym agentem jakichś tam Wędrowców. Progresorem z obcego nam świata.

Ja: A w jaki sposób ustaliliście, że to nie tak?

Łogowienko: Jeśli o to chodzi, może pan być spokojny. Między zachowaniem się Michaela a funkcjonowaniem drugiej świadomości nie ma żadnej korelacji. Sąsiadujące świadomości polimentala w żaden sposób nie oddziałują na siebie. Nie mogą oddziaływać z przyczyn zasadniczych – funkcjonują w różnych przestrzeniach. Oto bardzo prymitywna analogia. Proszę sobie wyobrazić teatr cieni. Cienie rzucane z projektora na ekran nie mogą oddziaływać na siebie. Oczywiście pozostają rozmaite fantastyczne hipotezy, ale są czysto fantastyczne.

Na tym zakończyła się moja rozmowa z Danilem Łogowienko i porzedstawiono mnie Bohdanowi Gajdajowi.

(Gajdaj Bohdan, magister psychologii. Urodzony 10.06.55 w Seredynie-Budzie. Wykształcenie: Instytut Psychologii w Kijowie. Specjalne kursy wyższej i anomalnej etologii, Split. Główne prace – w dziedzinie metapsychologii. Od 89 roku pracownik zakładu psychoprognostyki, od 93 – kierownik laboratorium zabezpieczenia aparatury, od 94 – kierownik zakładu techniki intropsychicznej.)

Fragment rozmowy:

Ja: Co, pańskim zdaniem, najbardziej interesowało Szamana w Instytucie?

Gajdaj: Wie pan, odniosłem wrażenie, że ten Szaman był po prostu źle poinformowany. Nie ma w tym zresztą nic dziwnego, nawet tu na Ziemi wielu fałszywie wyobraża sobie naszą pracę, więc czego oczekiwać od Progresorów, z którymi Szaman stykał się u siebie na Sarakszu? Rozumie pan, od razu mnie zdziwiło, dlaczego Szaman, ktoś z obcej planety, na całej Ziemi chciał zobaczyć tylko nasz Instytut... Wydaje mi się, że wiem, o co chodzi. U siebie, na planecie Saraksz, Szaman to – można powiedzieć – król mutantów i w związku z tym ma na pewno masę problemów – mutanci degenerują się, chorują, trzeba ich leczyć, jakoś podtrzymywać na duchu. A nasi „dziwacy" – to przecież też swego rodzaju mutanci, więc Szaman wyobraził sobie, że zdoła uzyskać w Instytucie jakieś pożyteczne informacje, może myślał, że jest to coś w rodzaju kliniki.

Ja: A kiedy zrozumiał swoją pomyłkę, odwrócił się i wyszedł?

Gajdaj: Dokładnie tak. Chyba tylko trochę zbyt gwałtownie odwrócił się i trochę zbyt pospiesznie wyszedł, ale ostatecznie niewykluczone, że takie są ich obyczaje.

Ja: O czym z panem rozmawiał?

Gajdaj: O niczym ze mną nie rozmawiał. W ogóle tylko raz usłyszałem jego głos. Zapytałem go, co chciałby u nas obejrzeć i wtedy odpowiedział „Wszystko co mi pan pokaże". Głos miał, muszę powiedzieć, dość nieprzyjemny, jak stara, swarliwa wiedźma.

Ja: A w jakim języku rozmawialiście?

Gajdaj: Niech pan sobie wyobrazi, że po ukraińsku!

Według świadectwa Gajdaja Szaman spotkał się w Instytucie zaledwie z trojgiem ludzi. Na razie udało mi się porozmawiać z dwojgiem.

Rawicz Maryna, lat 27, z wykształcenia lekarz weterynarii, obecnie konsultantka leningradziej fabryki embriosystemów, pracowni realizacji P-abstrakcji w Lozannie, Belgradzkiego Instytutu Laminarnej

Pozytroniki i głównego architekta regionu jakuckiego. Skromna, bardzo nieśmiała i smutna kobieta. Posiada unikalną i na razie jeszcze nie wyjaśnioną zdolność (tej zdolności nie nadano jeszcze naukowej nazwy). Jeśli przed Maryną stawia się jasno sformułowany i zrozumiały dla niej problem, zaczyna go rozwiązywać z radością i zapałem, ale absolutnie wbrew swojej woli otrzymuje w rezultacie rozwiązanie zupełnie innego problemu, który nie ma nic wspólnego z tym poprzednim i z reguły nie ma nic wspólnego z jej zawodowymi zainteresowaniami. Postawione zadanie działa na jej świadomość jak katalizator przyspieszający rozwiązanie jakiegoś problemu, z którym kiedyś albo pobieżnie się zapoznała dzięki publikacji w popularnonaukowym periodyku, albo też przypadkiem, słysząc rozmowę specjalistów. Ustalenie z góry, jaki problem Maryna Rawicz rozwiąże, jest najwidoczniej niemożliwe z samego założenia – działa tu coś w rodzaju klasycznej zasady nieokreśloności jak w fizyce. Szaman pojawił się w jej gabinecie w chwili, kiedy pracowała. Pamięta dość mętnie szkaradną, wielkogłową postać, owiniętą w coś zielonego i nic więcej z pobytu Szamana jej świadomość nie zachowała. Nie, Szaman nic nie powiedział. Jakieś zwyczajowe uprzejmości na temat jej „daru" wypowiadał Bohdan i żadnego innego głosu Maryna nie pamięta. Według Gajdaja Szaman spędził u Maryny dwie minuty, zainteresowała go widocznie nie bardziej niż on ją.

Michael Desmond, lat 41, z wykształcenia inżynier-granulista, zawodowy sportowiec. Wesoły, bardzo zadowolony z siebie i Wszechświata. Mistrz Europy z 88 roku w hokeju tunelowym. Do swego polimentalizmu odnosi się z humorem i absolutnie obojętnie. Właśnie wybierał się na stadion, kiedy przyprowadzono do niego Szamana. Szaman, według słów Michaela, wyglądał chorowicie, milczał przez cały czas, żarty do niego nie docierały, najprawdopodobniej niezupełnie rozumiał, gdzie się znajduje i co się do niego mówi. Był co prawda moment, który Michael zapamięta na całe życie: Szaman uniósł nagle swoje ogromne, blade powieki i zajrzał Michaelowi wprost w duszę, a może nawet głębiej, w samo jądro tego świata, gdzie zamieszkuje stwór, z którym Michael zmuszony jest dzielić wspólny obszar mentalnej przestrzeni. Był to moment niemiły, ale interesujący. Wkrótce potem Szaman oddalił się, nie racząc otworzyć ust. Ani pożegnać się.

Susumu Hirota czyli „Senrigan", co oznacza „Widzący na tysiąc mil", lat 83, historyk religii, profesor historii religii na uniwersytecie w Bangkoku. Porozmawiać z nim mi się nie udało. Do Instytutu wróci dopiero jutro albo pojutrze. Zdaniem Gajdaja Szamanowi ten jasnowidz zdecydowanie się nie spodobał. W każdym razie zostało stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, że Szaman wyszedł właśnie w czasie tego spotkania.

Zdaniem wszystkich świadków wyglądało to tak. Szaman stał na środku gabinetu mentoskopii, słuchając wykładu Gajdaja o niezwykłych zdolnościach „Senrigana", a „Senrigan" od czasu do czasu przerywał wykładowcy kolejną rewelację dotyczącą jego, wykładowcy, spraw osobistych aż nagle – nie mówiąc ani słowa, nie poprzedzając swojej decyzji ani gestem, ani spojrzeniem – ten zielony gnom zrobił gwałtowne w tył zwrot, potrącając łokciem Borię Łaptiewa, i szybkim krokiem, nie zatrzymując się nigdzie ani na moment, ruszył korytarzami w kierunku wyjścia z Instytutu. Koniec.

W Instytucie Szamana widziało jeszcze kilku ludzi: pracownicy naukowi, laboranci, ktoś tam z personelu administracyjnego. Nikt z nich nie wiedział, kogo widział. I tylko dwaj nowicjusze w Instytucie zwrócili na Szamana szczególną uwagę, zdumieni jego powierzchownością. Niczego istotnego od nich się nie dowiedziałem.

Następnie spotkałem się z Borysem Łaptinem. Oto najważniejsza część naszej rozmowy.

Ja: Jesteś jedynym człowiekiem, który był z Szamanem cały czas, od Saraksza do Saraksza. Nie rzuciło ci się w oczy nic dziwnego?

Borys: Niezłe pytanie. Wiesz, zapytano kiedyś wielbłąda „Dlaczego masz krzywą szyję?" A wielbłąd odpowiedział: „A co ja mam proste?"

Ja: A jednak? Spróbuj przypomnieć sobie, jak się zachowywał przez ten cały czas. Przecież coś się musiało stać, jeśli tak nagle stanął dęba!

Borys: Słuchaj, znam Szamana już dwa ziemskie lata. To niezgłębiona istota. Już bardzo dawno machnąłem ręką i nawet nie próbuję czegokolwiek zrozumieć. Co mogę powiedzieć? Miał tego dnia atak depresji, przynajmniej ja to tak nazywam. Od czasu do czasu nachodzi na niego bez żadnej widocznej przyczyny. Staje się milczący, a jeżeli nawet otwiera usta, to wyłącznie po to, żeby powiedzieć jakąś

słowa świadkami, ale w danym wypadku nie ma to szczególnego znaczenia... Bez pańskiej zgody nie zaryzykowałem rozmowy z nimi, chociaż uważam za zupełnie możliwe, aby to od nich dowiedzieć się, czy wysłali informację do Instytutu, czy też nie...

Kammerer: Istnieje prostszy sposób...

Głumow: Tak, według indeksu. Posłać pytanie do Instytutu. Ale ten sposób jest nieprzydatny i zaraz wyjaśnię dlaczego. Jeżeli to zrobił życzliwy entuzjasta, wtedy wszystko będzie jasne i nie ma o czym mówić. Ale proponuję, żeby rozważyć inny wariant. To znaczy – nie było żadnych życzliwych entuzjastów, tylko był specjalny obserwator z Instytutu Dziwaków.

PAUZA

Głumow: Załóżmy, że w Małej Peszy znajdował się specjalny obserwator z Instytutu Dziwaków. To by znaczyło, że przeprowadzano tam pewien eksperyment psychologiczny, mający na celu wyselekcjonowanie ludzi niezwykłych spośród normalnych. Na przykład po to, żeby następnie szukać „dziwaczności" wśród tych niezwykłych. W takim wypadku jedno z dwojga. Albo Instytut Dziwaków to zwyczajny ośrodek naukowy, w którym pracują zwyczajni uczeni i przeprowadzają zwyczajne eksperymenty, może nawet wątpliwe z punktu widzenia etyki, ale w ostatecznym rachunku przeprowadzane z myślą o korzyściach dla nauki. Jednak w takim razie jest kompletnie niezrozumiałe, w jaki sposób znalazła się w ich dyspozycji technika znacznie przewyższająca nawet perspektywiczne możliwości naszej embriomechaniki i biokonstruowania.

PAUZA

Głumow: Albo też eksperyment w Małej Peszy nie został przeprowadzony przez ludzi, co zresztą podejrzewaliśmy od początku. Czym w takim razie jest Instytut Dziwaków?

PAUZA

Głumow: W takim wypadku ten Instytut to nie żaden instytut, tamtejsi „dziwacy" to nie żadni „dziwacy" i personel tego instytutu zajmuje się nie metapsychologią.

Kammerer: Tylko czym? Czym oni się zajmują i kim są?

Głumow: To znaczy, że znowu uważa pan mój wywód za nieprzekonywający?

Kammerer: Przeciwnie, mój chłopcze. Przeciwnie! Jak dla mnie, ten twój wywód jest nawet zbyt przekonywający. Ale chciałbym, żebyś sformułował swoje wnioski wprost, jasno i niedwuznacznie. Jak w raporcie.

Głumow: Proszę bardzo. Tak zwany Instytut Dziwaków jest w rzeczywistości narzędziem Wędrowców do sortowania ludzi według nieznanych mi na razie parametrów. To wszystko.

Kammerer: A to znaczy, że Dania Łogowienko, zastępca dyrektora i mój dawny znajomy...

Głumow (przerwa): Nie! To byłoby zbyt fantastyczne. Ale może pański Dania Łogowienko już dawno przeszedł selekcję? Wasza dawna znajomość niczego nie gwarantuje. Wyselekcjonowany i pracuje na Wędrowców. Jak cały personel Instytutu, nie mówiąc o „dziwakach"...

PAUZA

Głumow: Oni co najmniej od dwudziestu lat zajmują się selekcją. Kiedy wyselekcjonowanych było już dosyć, zorganizowali Instytut, postawili tam te swoje komory poślizgowej częstotliwości i pod pretekstem szukania „dziwaków" przepuszczają przez nie do dziesięciu tysięcy ludzi rocznie... A przecież nie wiemy, ile jest na Ziemi takich instytucji pod najrozmaitszymi szyldami...

PAUZA

Głumow: A Szaman uciekł z Instytutu do siebie na Saraksz wcale nie dlatego, że poczuł się urażony albo że go zabolał brzuch. Poczuł tam Wędrowców! Jak nasze wieloryby i lemingi... „Kiedy ślepy ujrzy widzącego" – to było o nas. „Widzi lasy i góry, i nie widzi niczego" – to też o nas, Big Bug!

PAUZA

Głumow: Mówiąc krótko, wydaje mi się, że po raz pierwszy w historii możemy złapać Wędrowców za rękę.

Kammerer: Tak. I wszystko zaczęło się od dwóch nazwisk, które przypadkiem zobaczyłeś na monitorze... Przy okazji, czy jesteś całkowicie pewien, że to był przypadek? (pospiesznie) Dobrze, dobrze, nie mówmy o tym. Co proponujesz?

Głumow: Ja?

DOKUMENT 10

WAŻNE!

RAPORT-MELDUNEK
Nr 018/99

KOMKON-2
Ural-Północ

Data: 9 maja 99 roku
Autor: Tojwo Głumow, inspektor
Temat: 009 „Wizyta starszej pani"
Treść: Instytut Dziwaków interesuje się świadkami wydarzeń w Małej Peszy.

W czasie mojej rozmowy z dyżurnym dyspozytorem Instytutu Dziwaków 9 maja o 11.50 zdarzyło się co następuje:

Rozmawiając ze mną dyżurny dyspozytor Termikanow jednocześnie bardzo szybko i fachowo notował dane z rejestratora i wprowadzał je w terminal maszyny. Dane te, w miarę napływania, pojawiały się na kontrolnym monitorze i wyglądały następująco: nazwisko, imię, imię ojca, wiek, (prawdopodobnie), nazwa miejscowości (miejsce urodzenia? miejsce zamieszkania? miejsce pracy?), zawód i jakiś sześciocyfrowy indeks. Nie zwracałem uwagi na monitor, do chwili kiedy nagle się pojawiło:

KUBOTIJEWA ALBINA CÓRKA MILANA 96 PRIMABALERINA ARCHANGIELSK 001507

Następne dwa nazwiska nic mi nie powiedziały, a potem:

KOSTENIECKI KIR 12 UCZEŃ PIETROZAWODSK 001507

Przypominam: oboje są notowani jako świadkowie wydarzeń w Małej Peszy, patrz mój R/M nr 015/99 z dnia 7 maja br.

Prawdopodobnie na kilka sekund straciłem kontrolę nad sobą, gdyż Termikanow zapytał, co mnie tak zdziwiło. Zmyśliłem, że zdumiało mnie nazwisko Albiny Kubotijewej, primabaleriny, o której bardzo dużo opowiadali moi rodzice, zajadli wielbiciele baletu. Powiedziałem, że zaskoczyło mnie jej nazwisko – czyżby Albina Wielka na domiar wszystkiego miała jeszcze talent metapsychiczny? Termikanow roześmiał się i powiedział, że to niewykluczone. Według jego słów do rejestrów wszystkich filii Instytutu nieprzerwanie napływają informacje dotyczące osób, które teoretycznie mogą być obiektami zainteresowania metapsychologów. Znakomita większość informacji napływa z terminali klinik, szpitali, ośrodków zdrowia itp., które mają na wyposażeniu standardowe psychoanalizatory. Do jednej tylko filii w Charkowie w ciągu doby trafiają setki nazwisk kandydatów, ale praktycznie prawie wszystko to są pudła. „Dziwacy" stanowią zaledwie jedną stutysięczną procenta wszystkich kandydatów.

W tej sytuacji uznałem za stosowne zmienić temat rozmowy.

Tojwo Głumow

(koniec Dokumentu 10)

DOKUMENT 11

FONOGRAM ROBOCZY

Data: 10 maja 99 roku
Rozmówcy: Maksym Kammerer, naczelnik wydziału NW, Tojwo Głumow, inspektor
Temat: 009 „Wizyta starszej pani"
Treść: Instytut Dziwaków – prawdopodobny obiekt tematu 009.

Kammerer: Ciekawe. Jesteś spostrzegawczy, chłopcze. Tojwo Sokole Oko! No cóż, masz pewnie przygotowaną swoją wersję. Referuj.

Głumow: Ostateczne wnioski, czy cały wywód?

Kammerer: Wywód, jeśli mogę prosić.

Głumow: Najłatwiej byłoby założyć, że nazwiska Albiny i Kira nadesłał do Charkowa jakiś entuzjasta metapsychologii. Jeśli na przykład był świadkiem wydarzeń w Małej Peszy, to mogła go niepomiernie zdziwić anormalna reakcja tych dwojga i zawiadomił o tym kompetentne czynniki. Według mnie mogły to zrobić co najmniej trzy osoby: Basile Niewierow ze Służby Awaryjnej. Oleg Pankratow, lektor, były astroarcheolog. I jeszcze jego żona, Zosia Ladowa, malarka. Oczywiście nie byli oni w ścisłym sensie tego

złośliwość czy zgryźliwość. Tak właśnie było tego dnia. Kiedy lecieliśmy z Saraksza, wszystko było świetnie, wygłaszał aforyzmy, żartował ze mną, nawet nucił... Ale już w Mirza-Czarle nagle sposępniał, z Łogowienko prawie nie rozmawiał, a kiedy razem z Gajdajem zaczęliśmy zwiedzać Instytut, wyglądał już jak chmura gradowa. Zacząłem się nawet obawiać, że za moment kogoś obrazi, ale wtedy widocznie sam poczuł, że tak dalej być nie może, wciągnął pazury i na wszelki wypadek się wyniósł. Potem przez całą drogę na Saraksz milczał... tylko jeszcze w Mirza-Czarle obejrzał się jakby na pożegnanie i takim obrzydliwym, cieniutkim głosem zapiszczał: „Widzi lasy i góry, widzi niebo i chmury, widzi każde ździebełko, a nie widzi, gdzie belka".

Ja: Co to znaczy?

Borys: Jakiś wierszyk dla dzieci. Bardzo stary.

Ja: A jak ty go zrozumiałeś?

Borys: Nijak go nie zrozumiałem. Zrozumiałem, że jest wściekły na cały świat i że zaraz zacznie gryźć. Zrozumiałem, że najlepiej będzie milczeć. No więc obaj milczeliśmy do samej planety Saraksz.

Ja: I to wszystko?

Borys: Wszystko. Przed samym lądowaniem jeszcze burknął, też ni w pięć, ni w dziewięć. Że niby poczekajmy, aż ślepi ujrzą widzących. A kiedy byliśmy już za Błękitną Żmiją, kiwnął mi głową i rozpłynął się w dżungli. Zauważ, że ani mi nie podziękował, ani nie zaprosił do siebie.

Ja: I nic więcej nie masz mi do powiedzenia?

Borys: Czego ty chcesz ode mnie? Tak, coś mu się na Ziemi okropnie nie spodobało. Ale co konkretnie – nie raczył powiedzieć. Przecież ci mówię – Szaman jest istotą nieprzewidywalną i niepojętą. Być może wcale tu nie chodzi o Ziemię. Być może po prostu nagle rozbolał go brzuch – w szerokim sensie tego słowa, w bardzo szerokim, kosmicznym sensie...

Ja: Uważasz, że to przypadek – najpierw dziecinny wierszyk, że ktoś tam nic nie widzi, a potem o ślepych i widzących?

Borys: Rozumiesz, tam u nich na Sarakszu, w Pandei, jest takie powiedzenie o ślepych i widzących: „Kiedy ślepy ujrzy widzącego". W sensie „kiedy rak świśnie, a ryba zaśpiewa". „Na święte nigdy". Widocznie chciał o czymś powiedzieć, co nigdy się nie stanie. A wierszyk – ot, tak sobie, normalna porcja jadu. Zadeklamował go z wyraźnym szyderstwem, tylko nie bardzo wiem, z kogo właściwie szydził. Bardzo możliwe, że z tego męczącego samochwała, Japończyka.

WNIOSKI WSTĘPNE

1. Żadnych danych, które mogłyby pomóc w poszukiwaniu Szamana na Saraksz, nie udało mi się uzyskać.

2. Nie mogę udzielić żadnych wskazówek w sprawie dalszych poszukiwań.

Tojwo Głumow

(koniec Dokumentu 8)

6 maja wieczorem przyjął mnie nasz Prezydent Atos-Sidorow. Wziąłem ze sobą najciekawsze materiały, a istotę sprawy, podobnie jak moje własne wnioski, zreferowałem mu ustnie. Był już strasznie chory, twarz miał ziemistą, męczyła go zadyszka. Zbyt długo zwlekałem z tą wizytą – nie starczyło mu sił, żeby się autentycznie zdziwić. Powiedział, że zapozna się z materiałami, pomyśli i skomunikuje się ze mną jutro.

7 maja cały dzień przesiedziałem u siebie w gabinecie, czekając na połączenie. Atos nie skomunikował się ze mną. Wieczorem otrzymałem wiadomość, że miał bardzo silny atak, że z trudem go odratowano i że leży teraz w szpitalu. I znowu to spadło na mnie jednego, i to tak, że zatrzeszczały wszystkie kości mojej nieszczęsnej duszy.

8 maja otrzymałem, poza wszystkim innym, sprawozdanie Tojwo z jego wizyty w Instytucie Dziwaków. Postawiłem na swojej liście znaczek przy jego nazwisku, wprowadziłem raport-meldunek do rejestratora i zacząłem wymyślać zadanie dla Pieti Sileckiego. Do tego dnia Instytutu nie odwiedzili jeszcze tylko Pietia Silecki i Zoja Morozowa.

Mniej więcej w tym samym czasie Tojwo Głumow rozmawiał w swoim gabinecie z Griszą Serosowi-

nem. Przytaczam poniżej rekonstrukcję ich rozmowy przede wszystkim po to, aby zademonstrować nastroje, panujące wówczas wśród moich pracowników. Chodzi tylko o jakość. Ilościowo były zachowane poprzednie proporcje - po jednej stronie Tojwo Głumow, po drugiej - wszyscy inni.

*

WYDZIAŁ NW, GABINET „D". 8 MAJA 99 ROKU. WIECZÓR.

Grisza Serosowin wszedł swoim zwyczajem bez pukania, stanął w progu i zapytał:

- Można?

Tojwo odłożył na bok „Ruch pionowy" (utwór anonimowego K. Oksowiu), kiwnął głową i obejrzał Griszę.

- Można. Tylko już wkrótce idę do domu.

- Sandro znowu nie ma?

Tojwo spojrzał na biurko Sandro. Biurko było puste i idealnie czyste.

- Tak. Już trzeci dzień.

Grisza usiadł przy biurku Sandro i założył nogę na nogę.

- A ciebie gdzie wczoraj poniosło? - zapytał.

- Do Charkowa.

- A więc i ty byłeś w Charkowie?

- Kto jeszcze był?

- Prawie wszyscy. W ciągu ostatniego miesiąca prawie cały wydział jeździł do Charkowa. Słuchaj, Tojwo, przyszedłem w konkretnej sprawie. To ty przecież zajmujesz się „nagłymi geniuszami"?

- Tak. Tylko to było dawno. Dwa lata temu.

- Pamiętasz Soddi?

- Pamiętam. Bartolomeo Soddi. Matematyk, który został prorokiem.

- Właśnie, właśnie o niego chodzi - powiedział Grisza. - W komunikacie jest jedno zdanie. Cytuję: „Według posiadanych danych Bartolomeo Soddi krótko przed metamorfozą przeżył tragedię osobistą". Jeśli to ty redagowałeś komunikat, to mam dwa pytania. Co to była za tragedia i skąd otrzymałeś tę informację?

Tojwo wyciągnął rękę i wywołał swój program na terminal. Selekcja informacji już się zakończyła, następowało obliczanie. Tojwo niespiesznie zaczął sprzątać na swoim biurku. Grisza cierpliwie czekał. Był przyzwyczajony.

- Jeśli tam jest napisane „według posiadanych danych" - powiedział Tojwo - to znaczy, że te dane otrzymałem od Big Buga.

I zamilkł. Grisza czekał jeszcze chwilę, założył nogę na nogę, tym razem odwrotnie niż poprzednio, i powiedział:

- Nie chciałbym z takim głupstwem iść do Big Buga. Trudno, jakoś sobie poradzę... Słuchaj, Tojwo, czy nie masz wrażenia, że nasz Big Bug ostatnio zrobił się jakiś nerwowy?

Tojwo wzruszył ramionami.

- Być może - powiedział. - Z Prezydentem jest bardzo źle. Gorbowski, powiadają, umiera. A przecież Big Bug zna ich wszystkich. I to zna bardzo dobrze.

Grisza powiedział z zadumą:

- Nawiasem mówiąc, ja też znam Gorbowskiego, wyobraź sobie. Pamiętasz... chociaż wtedy jeszcze nie pracowałeś u nas...Kamil popełnił samobójstwo... ostatni z Diabelskiego Tuzina. Zresztą kazus Diabelskiego Tuzina to dla ciebie też... bajka o żelaznym wilku... Ja na przykład również nigdy o tym nie słyszałem... No, sam fakt samobójstwa, a ściślej mówiąc, autodestrukcji tego nieszczęsnego Kamila nie budził żadnych wątpliwości. Niezrozumiałe tylko było - dlaczego? To znaczy oczywiście nie miał słodkiego życia, przez ostatnie sto lat był absolutnie samotny... Ani ty, ani ja nie możemy sobie nawet wyobrazić takiej samotności... Ale nie o tym chciałem mówić. Big Bug posłał mnie wtedy do Gorbowskiego, ponieważ, jak się okazało, Gorbowski był w swoim czasie bardzo blisko z Kamilem i nawet jakoś próbował mu pomóc... Słuchasz mnie?

Tojwo kilkakrotnie kiwnął głową.

Weszła Asia z tacą, nalała herbatę do szklanek i usiadła obok.

- Patrz - powiedział szeptem Tojwo, pokazując jej spojrzeniem motyla.

- Jaki śliczny - powiedziała Asia również szeptem.

- Może on zechce z nami pomieszkać?

- Nie, nie zechce - powiedziała Asia.

- Dlaczego? Pamiętasz, u Kazarianów mieszkał konik polny...

- Nie mieszkał. Tak wpadł od czasu do czasu...

- No to i niech ten motyl wpada od czasu do czasu. Będzie się nazywał Marfa.

- Dlaczego Marfa?

- A jak?

- Scyntia - powiedziała Asia.

- Nie - powiedział zdecydowanie Tojwo. - Jaka znowu Scyntia... Marfa. Marfa Posiadło. A ekran od dziś - Posiadłość.

*

Nie zamierzam rzecz jasna twierdzić, że dokładnie taka rozmowa odbyła się późnym wieczorem 8 maja. Ale oni w ogóle często rozmawiali na te tematy, spierali się - to wiem na pewno. I że nie potrafili przekonać się nawzajem - to też wiem na pewno.

Oczywiście Asia nie umiała przekazać mężowi swego wszechogarniającego optymizmu, który czerpała z otaczającej ją atmosfery. Pożywką dla tego optymizmu byli ludzie, z którymi pracowała, najgłębszy sens jej pracy, dobrej i smakowitej. Tojwo zaś żył poza granicami tego optymistycznego świata, w świecie trwogi i nieufności, w świecie, w którym z najwyższym trudem można sobie wzajemnie przekazywać optymizm, przy wyjątkowo korzystnym zbiegu okoliczności, a i to nie na długo.

Ale i Tojwo nie umiał nawrócić żony na swoją wiarę, zarazić ją przeczuciem nadciągającego zagrożenia. Jego argumentom brakowało konkretów. Były zbyt oderwane. Wynikały z poglądów, zdaniem Asi, niczym nie popartych. Tojwo nie udało się Asi „przerazić", zarazić wstrętem, oburzeniem, niechęcią...

Dlatego kiedy uderzył grom, nawałnica spadła na nich rozdzielonych, nie przygotowanych, tak jakby nigdy nie było tych sporów, kłótni i namiętnych prób przekonania się nawzajem...

Rano 9 maja Tojwo ponownie pojechał do Charkowa, żeby jednak spotkać się z jasnowidzem Hiroto i ostatecznie zamknąć sprawę wizyty Szamana w Instytucie Dziwaków.

DOKUMENT 9

RAPORT-MELDUNEK

Nr 017/99 — ***KOMKON-2 Ural-Północ***

Data: 9 maja 99 roku
Autor: Tojwo Głumow, inspektor
Temat: 099 „Wizyta starszej pani"
Treść: suplement do R/M nr 016/99

Susumu Hiroto czyli „Senrigan" przyjął mnie w swoim gabinecie o 10.45. To dość niskiego wzrostu starszy już mężczyzna (wygląda staro na swój wiek). Jest zafascynowany swoim „darem", wykorzystuje każdą nadarzającą się okazję, żeby ten „dar" zademonstrować: pańska żona ma kłopoty w pracy... Z całą pewnością poleci na Pandorę, niech pan nie liczy, że uda się temu zapobiec... ten długopis podarował panu kolega, a pan zapomniał ofiarować żonie... I tak dalej w podobnym stylu. Muszę przyznać, że było to dość niemiłe. „Wyjście Szamana" według słów Hiroto wyglądało tak: „Najwidoczniej przestraszył się, że dowiem się o nim tego co najtajniejsze i wtedy rzucił się do ucieczki. Nie mógł wiedzieć, że widziałem go jako biały pusty ekran bez żadnego konturu, przecież jest istotą z innego świata..."

(koniec Dokumentu 9)



– Tak – powiedział.
– Wiesz, jak teraz wyglądasz?
– Wiem – powiedział Tojwo. – Wyglądam jak ktoś, kto jest bardzo zajęty my !eniem o swoich sprawach. Już mi to mówiłeś. Kilka razy. Sztampa. Zgadza się?
Zamiast odpowiedzi Grisza z kieszeni na piersi wyciągnął nagle długopis i zucił nim jak strzałką przez cały pokój, celując w głowę Tojwo. Tojwo dwoma palcami schwycił długopis w powietrzu, kilka centymetrów od swojej twarzy, i powiedział:
– Słabo.
„Słabo" – nakreślił długopisem na kartce przed sobą.
– Szczędzisz mnie, panie – powiedział. – Nie trzeba mnie szczędzić. To mi szkodzi.
– Rozumiesz, Tojwo – z uczuciem powiedział Grisza – wiem, że masz niezłą reakcję. Nie, żeby rewelacyjną, co to to nie, ale niezłą, przyzwoitą reakcję zawodowca. Ale wyglądasz...Zrozum, jako twój trener subaksu uważam po prostu za swój obowiązek od czasu do czasu sprawdzać, czy jesteś w stanie reagować na otoczenie, czy też rzeczywiście znajdujesz się w stanie katalepsji...
– Jednak się dziś zmęczyłem – powiedział Tojwo. – Zaraz program będzie gotowy i pójdę do domu.
– A co tam u ciebie? – zapytał Grisza.
„Tam u mnie" – napisał Tojwo na kartce i powiedział:
– Tam u mnie wieloryby. U mnie tam ptaki. U mnie tam lemingi, szczury, myszy polne. U mnie tam wielu małych i dużych.
– I co one tam robią u ciebie?
– Giną. Albo uciekają. Umierają, wyskakując na brzeg, topią sie, odlatują z miejsc, na których żyły przez wieki.
– Dlaczego?
– Tego nikt nie wie. Dwa, trzy wieki temu było to normalne zjawisko, chociaż i wtedy nie wiedziano, dlaczego tak się dzieje. Potem przez długi czas panował spokój. Zupełny. A teraz znowu się zaczęło.
– Przepraszam– powiedział Grisza. – To wszystko jest okropnie ciekawe, ale co my tu mamy do roboty?
Tojwo milczał i nie doczekawszy się odpowiedzi, Grisza zapytał:
– Uważasz, że to może mieć związek z Wędrowcami?
Tojwo starannie, ze wszystkich stron obejrzał długopis, obracając go w palcach, ujął za koniuszek i nie wiadomo dlaczego spojrzał pod światło.
– Wszystko, czego nie potrafimy wytłumaczyć, może mieć związek z Wędrowcami.
– Żelazna definicja – z zachwytem powiedział Grisza.
– A może i nie mieć związku – dodał Tojwo. – Skąd ty bierzesz takie ładne rzeczy? Wydawałoby sie, że niby nic szczególnego – długopis. Co może być banalniejszego? A na twój długopis przyjemnie popatrzeć. Wiesz co? Podaruj mi go. A ja podaruję Asi. Chcę jej sprawić przyjemność. Choćby długopisem.
– A ja tobie sprawię przyjemność chociażby nim.
– A ty mi sprawisz przyjemność chociażby nim.
– Bierz – powiedział Grisza. – Władaj. Podaruj, ofiaruj, coś tam zełgaj. Że niby sam zaprojektowałeś dla ukochanej, nie śpiąc po nocach.
– Dziękuję – powiedział Tojwo, chowając długopis do kieszeni.
– Ale wiedz! – Grisza uniósł palec – Tu za rogiem, na ulicy Czerwonych Klonów, stoi automat z warsztatu niejakiego F. Merana i wypieka takie właśnie długopisy odpowiednio do popytu.
Tojwo znowu wyjął długopis i zaczął go oglądać.
– To nie ma znaczenia – powiedział ze smutkiem. – Ty, na przykład, zauważyłeś ten automat na ulicy Czerwonych Klonów, a mnie do głowy nie przyszło zauważyć...
– Za to zauważyłeś zamieszanie w świecie wielorybów! – powiedział Grisza.
„Wielorybów" – napisał Tojwo na karce.
– Ale à propos – powiedział. – Jesteś człowiekiem niezaangażowanym, bez uprzedzeń – powiedz, co o tym myślisz? Co takiego musiało się wydarzyć, żeby stado wielorybów, oswojonych, zadbanych, do-

pieszczonych, nagle, jak całe wieki temu, w dawnych złowieszczych czasach, wyskoczyło na mieliznę, żeby umrzeć? W milczeniu, razem z dziećmi, nie wzywając nawet pomocy... Czy możesz sobie wyobrazić jakąkolwiek przyczynę tego samobójstwa?

– A dawno temu dlaczego wyskakiwały na brzeg?

– Dlaczego wyskakiwały dawno temu też nie wiadomo. Ale wtedy można było coś tam przypuszczać. Wieloryby cierpiały z powodu pasożytów, na wieloryby napadały orki i kalmary, na wieloryby napadali ludzie... Istniała nawet teoria, że popełniały samobójstwa na znak protestu... Ale dzisiaj!

– A co mówią specjaliści?

– Specjaliści przysłali pismo do KOMKONu-2. Domagają się ustalenia przyczyn wznawiających się przypadków samobójstw wśród wielorybów.

– Hm... jasne. A co mówią pasterze?

– To od nich się wszystko zaczęło. Pasterze twierdzą, że wieloryby pędzą na śmierć opanowane straszliwym przerażeniem. I pasterze nie rozumieją, nie potrafią sobie wyobrazić, czego mogą się bać dzisiejsze wieloryby.

– Tak – powiedział Grisza. – Wygląda na to, że naprawdę muszą być w to zamieszani Wędrowcy.

„Zamieszani" – napisał Tojwo, narysował dookoła ramkę, potem jeszcze jedną ramkę i zaczął zamalowywać przestrzeń między liniami.

– Chociaż z drugiej strony – mówił dalej Grisza – wszystko to już było, było i było. Gubimy się w domysłach, oczerniamy Wędrowców, niedługo mózg będziemy nosić na temblaku, a potem patrzymy – o! – któż to taki znajomy majaczy na horyzoncie wydarzeń? Któż to taki wytworny, z dumnym uśmiechem Pana Boga wieczorem szóstego dnia stworzenia? Czyja to taka śnieżnobiała, dobrze nam znana hiszpańska bródka? Mister Fleming, sir! Skąd pan tu trafił, sir? Może pozwoli pan ze mną, sir? Na Światową Radę, przed Nadzwyczajny Trybunał!

– Zgodzisz się ze mną, że byłby to nie najgorszy wariant – zauważył Tojwo.

– No chyba! Chociaż przypuszczam, że wolałbym mieć do czynienia z tuzinem Wędrowców niż z jednym Flemingiem. Zresztą to pewnie dlatego, że Wędrowcy to istoty wciąż jeszcze hipotetyczne, a Fleming ze swoją hiszpańską bródką – bestia zupełnie realna. Przerażająco realna, ze swoją śnieżnobiałą hiszpańską bródką, ze swoją Dolną Peszą, ze swoimi uczonymi bandytami, ze swoją przeklętą światową sławą!

– Widzę, że ta jego bródka szczególnie ci przeszkadza...

– Bródka mi jak raz nie przeszkadza – zaprzeczył Grisza jadowicie. – Za tę bródkę właśnie możemy go złapać. A za co złapiemy Wędrowców, jeżeli się okaże, że to oni?

Tojwo starannie włożył długopis do kieszeni, wstał i podszedł do okna. Kątem oka zauważył, że Grisza uważnie go obserwuje, zdjął nogę z nogi i nawet pochylił się do przodu. Było cicho i tylko coś słabo popiskiwało w terminalu w takt zmiany tablic na ekranie monitora.

– Czy może masz nadzieję, że to jednak nie ONI? – zapytał Grisza.

Czas jakiś Tojwo milczał, a potem nagle powiedział, nie odwracając głowy:

– Teraz już nie mam nadziei.

– To znaczy?

– To oni.

Grisza zmrużył oczy.

– To znaczy?

Tojwo odwrócił się do niego.

– Mam pewność, że Wędrowcy są na Ziemi i że działają.

(Grisza opowiadał potem, że w tym momencie przeżył bardzo nieprzyjemny wstrząs. Miał uczucie pełnej irracjonalności tego, co się działo. Wszystko polegało na osobowości Tojwo Głumowa: słowa Tojwo trudno było pogodzić z osobowością Tojwo. Słowa te nie mogły być żartem, dlatego że Tojwo nigdy nie żartował na temat Wędrowców. Słowa te nie mogły być opinią nie przemyślaną, ponieważ Tojwo nigdy nie wygłaszał nie przemyślanych opinii. I prawdą te słowa nijak być nie mogły, dlatego że nijak nie mogły być prawdą. Zresztą Tojwo mógł się mylić...)

Grisza zapytał z napięciem w głosie:

NW. Mechanizm, który je zrodził. Przecież pytanie można postawić następująco: komu i po co była potrzebna przemiana astrofizyka w kompozytora?

– A może to po prostu fluktuacja statystyczna?

– Może. Ale o to właśnie chodzi, że my tego nie wiemy... Zresztą zauważ, do czego doprowadziło twoje rozumowanie? Czy twoje wyjaśnienie jest lepsze od naszego? Fluktuacja statystyczna, która ze swojej definicji jest nieprzewidywalna i niekontrolowana, czy Wędrowcy, którzy też nie są bukiecikiem fiołków, ale których przynajmniej teoretycznie można próbować złapać za rękę. Tak, oczywiście, „fluktuacja statystyczna" brzmi znacznie lepiej, solidniej, obiektywniej i naukowo w porównaniu z tymi natrętnymi, głupio romantycznymi i banalnie legendarnymi, które już wszystkim obrzydło...

– Poczekaj, nie bądź taki ironiczny – powiedziała Asia. – Nikt przecież nie neguje twoich Wędrowców Cały czas tłumaczę ci coś zupełnie innego... Całkiem mnie zbiłeś z tropu... Zawsze tak robisz! I mnie, i twojego Maksyma, a potem chodzisz z nosem zwieszonym na kwintę i trzeba cię pocieszać... Już wiem, co chciałam powiedzieć. Dobrze, niech będzie, Wędrowcy rzeczywiście ingerują w nasze życie. Nie o to chodzi. Dlaczego to ma być źle – o to cię teraz pytam? Dlaczego robicie z nich płachtę na byka – oto czego nie mogę zrozumieć! I nikt tego nie może zrozumieć... Dlaczego, kiedy TY prostowałeś historię na innych planetach – to było dobrze, a kiedy ktoś chce prostować TWOJĄ historię... Przecież dzisiaj każde dziecko wie, że superrozum to jedynie dobro!

– Superrozum to superdobro – powiedział Tojwo.

– Więc tym bardziej!

– Nie – powiedział Tojwo. – Żadnych „tym bardziej". Co to takiego dobro, wiemy, chociaż nie bardzo dokładnie. A co to takiego superdobro...

Asia znowu uderzyła się pięścią w kolano.

– Nie rozumiem! To nie do pojęcia! Skąd u was ta presumpcja zagrożenia? Wytłumacz!

– Wy wszyscy absolutnie fałszywie pojmujecie nasze stanowisko – powiedział Tojwo już ze złością. – Nikt nie twierdzi, że Wędrowcy zamierzają wyrządzić Ziemianom krzywdę. To rzeczywiście bardzo mało prawdopodobne. Boimy się czegoś innego, czegoś zupełnie innego! Boimy się, że zaczną tu tworzyć dobro tak, jak ONI je rozumieją!

– Dobro zawsze jest dobrem! – z naciskiem powiedziała Asia.

– Wiesz świetnie, że to wcale nie tak. Albo może ty naprawdę nie wiesz? Ale przecież wytłumaczyłem ci. Byłem Progresorem wszystkiego trzy lata, czyniłem dobro, tylko i nic oprócz dobra, i o Boże! – jakże nienawidzili mnie ci ludzie! I mieli absolutną rację. Dlatego, że przyszli bogowie, nie pytając o pozwolenie. Nikt ich nie wzywał, a oni wdarli się i zaczęli czynić dobro. To dobro, które zawsze jest dobrem. I czynili to dobro potajemnie, ponieważ z góry wiedzieli, że śmiertelnicy nie zrozumieją ich celów, a jeśli nawet zrozumieją, to nie uznają za swoje... Oto jaka jest moralno-etyczna struktura tej diabelskiej sytuacji! Feudalny niewolnik w Arkanarze nie zrozumie, czym jest komunizm, a mądry mieszczanin trzysta lat później zrozumie i ze zgrozą odtrąci... To jest abecadło, którego jednakże nie umiemy zastosować wobec siebie. Dlaczego? Dlatego, że nie możemy wyobrazić sobie, co mianowicie mogą nam zaproponować Wędrowcy. Nie mamy analogii! Ale ja wiem dwie rzeczy. Oni przyszli bez pytania, to po pierwsze. Oni przyszli potajemnie, to po drugie. A więc zakładają, że wiedzą lepiej od nas, czego nam trzeba – po pierwsze, i z góry są przekonani, że albo ich nie zrozumiemy, albo ich cele będą dla nas nie do przyjęcia – po drugie. Nie wiem jak ty, ale ja tego nie chcę. Nie chcę! – powiedział kategorycznie. – I starczy na dziś. Jestem zmęczony, niedobry, mam wiele kłopotów, wziąłem na siebie ciężar nieopisanej odpowiedzialności. Mam syndrom Sikorskiego, jestem psychopatą i wszystkich podejrzewam. Nikogo nie kocham, jestem moralnym kaleką, cierpiętnikiem, monomaniakiem, trzeba się mną opiekować i współczuć mi... chodzić dookoła na paluszkach, całować w czółko, zabawiać dowcipami... i poić herbatą. Mój Boże, czy nikt nie da mi dzisiaj herbaty?

Nie mówiąc ani słowa, Asia zeskoczyła z parapetu i poszła parzyć herbatę. Tojwo położył się na kanapie. Z okna, na granicy słyszalności, dobiegało brzęczenie jakiegoś egzotycznego instrumentu muzycznego. Nagle wleciał ogromny motyl, zatoczył krąg nad stołem, siadł na ekranie wizora, rozłożywszy czarne, puszyste skrzydła. Na skrzydłach wyrysowany był jakiś ornament. Tojwo, nie wstając, wyciągnął rękę do pulpitu serwisu, ale nie dosięgnął i ręka opadła.

Tojwo nie odezwał się.

- Być może dlatego, że te wasze wszystkie nie wyjaśnione NW - to tragedie? Ale przecież NW - to zawsze tragedia! Czy jest tajemnicze, czy zrozumiałe, jednak zawsze NW! Mam rację?
- Nie masz - powiedział Tojwo.
- A co, bywają szczęśliwe NW?
- Bywają.
- Na przykład? - zainteresowała się jadowicie Asia.
- Lepiej napijmy się herbaty - zaproponował Tojwo.
- Nie, najpierw proszę daj mi przykład szczęśliwego, radosnego, pogłębiającego radość życia, nadzwyczajnego wydarzenia.
- Dobrze - powiedział Tojwo. - Ale potem napijemy się herbaty, umowa stoi?
- Odczep się - powiedziała Asia.

Oboje zamilkli. Na dole przez gęste liście ogrodów, przez siwawy zmierzch, zabłysły różnokolorowe światełka. Iskry świateł obsypały czarne słupy tysiącpiętrowców.
- Nazwisko Gujon coś ci mówi? - zapytał Tojwo.
- Oczywiście.
- A Soddi?
- Ja myślę!
- Czym według ciebie zasłynęli oni obaj?
- „Według mnie"! Nie według mnie, tylko wszyscy wiedzą, że Gujon to wspaniały kompozytor, a Soddi - wielki prorok... A według ciebie?
- A moim zdaniem wyróżnia ich coś zupełnego innego - powiedział Tojwo. - Albert Gujon do lat pięćdziesięciu był niezłym, ale tylko niezłym astrofizykiem bez żadnych uzdolnień muzycznych. A Bartolomeo Soddi czterdzieści lat zajmował się cieniowymi funkcjami i był oschłym, pedantycznym odludkiem. Oto co wyróżnia ich obu WEDŁUG MNIE.
- Co chcesz przez to powiedzieć? Co w tym widzisz niezwykłego? W tych ludziach drzemał ukryty talent, pracowali nad sobą długo i uporczywie... a potem ilość przeszła w jakość...
- Nie było żadnej ilości, Asiu, o to właśnie chodzi. Tylko jakość nagle uległa zmianie. Radykalnie. W jednej chwili. Jak wybuch.

Asia milczała przez chwilę, poruszając wargami, a potem zapytała trochę szyderczo:
- Więc co, twoim zdaniem natchnęli ich Wędrowcy?
- Tego nie powiedziałem. Chciałaś, żebym ci dał przykład szczęśliwego, radosnego NW. No to ci dałem. Mogę wymienić jeszcze kilka nazwisk, mniej co prawda znanych.
- Dobrze. A właściwie dlaczego się tym zajmujecie? Co was to właściwie obchodzi?
- Zajmujemy się wszystkimi nadzwyczajnymi wydarzeniami.
- Przecież właśnie pytam. Co jest w tych wydarzeniach nadzwyczajnego?
- W ramach istniejącej wiedzy nie dają się wyjaśnić.
- Czy to mało istnieje na świecie rzeczy nie wyjaśnionych?! - zawołała Asia. - Readerstwo też nie zostało wyjaśnione, tylko wszyscy do niego przywykli...
- To, do czego przywykliśmy, nie uważamy za nadzwyczajne. Nie zajmujemy się zjawiskami, Asiu. Zajmujemy się wydarzeniami, wypadkami. Czegoś nie było przez tysiące lat, a potem nagle się zdarzyło. Dlaczego się zdarzyło? Niezrozumiałe. Jak to wyjaśnić? Specjaliści rozkładają ręce. Wtedy my to bierzemy na warsztat. Rozumiesz, Asiu, ty niewłaściwie klasyfikujesz NW. My nie dzielimy ich na szczęśliwe i tragiczne, dzielimy je na wyjaśnione i nie wyjaśnione.
- Więc uważasz, że każde nie wyjaśnione NW niesie w sobie zagrożenie?
- Tak. I szczęśliwe również.
- Jakie zagrożenie może przynieść przemiana przeciętnego astrofizyka w genialnego kompozytora?
- Niezupełnie precyzyjnie się wyraziłem. Zagrożenie niesie w sobie nie NW. Najbardziej tajemnicze NW jest z reguły zupełnie nieszkodliwe. Czasami nawet komiczne. Zagrożenie niesie w sobie przyczyna

- Big Bug wie?
- Zameldowałem mu o wszystkich faktach.
- I co?
- Na razie, jak widzisz, nic.

Grisza rozluźnił się i znowu opadł na oparcie fotela.
- Po prostu się pomyliłeś - powiedział z ulgą.

Tojwo milczał.
- Niech cię diabli! - zawołał Grisza. - Wiesz, do czego doprowadziłeś mnie swoimi okropnymi pomysłami? Czuję się tak, jakby mnie ktoś polał lodowatą wodą!

Tojwo milczał. Znowu odwrócił się do okna. Grisza zasapał, złapał się za koniuszek nosa i cały skrzywiony wykonał nim kilka okrężnych ruchów.
- Nie - powiedział. - Chodzi o to, że ja nie mogę tak jak ty. Nie mogę. To zbyt poważna sprawa. Mnie od tego odrzuca. Przecież to nie nasz prywatny spór - ja, powiedzmy, wierzę, a wy nie - jak tam sobie chcecie. Gdybym uwierzył, mam obowiązek wszystko rzucić, poświęcić wszystko co mam, wszystkiego się wyrzec... iść do klasztoru, do diabła. Ale przecież nasze życie jest wielowariantowe! Jak można wtłoczyć je w coś jednego... Chociaż, oczywiście, czasami ogarnia mnie strach i wstyd, i wtedy patrzę na ciebie ze szczególnym zachwytem... A czasami - na przykład jak teraz - bierze mnie złość, kiedy na ciebie patrzę... na twoje samoudręczenie, na twoją monomanię... I mam ochotę śmiać się z ciebie, kpić z ciebie, wykręcić się od tego wszystkiego co nam tu chcesz zwalić...
- Słuchaj - powiedział Tojwo. - Czego ty chcesz ode mnie?

Grisza zamilkł.
- Rzeczywiście - powiedział.- Czego ja właściwie chcę od ciebie? Nie wiem.
- A ja wiem. Ty chcesz, żeby wszystko było dobrze i z każdym dniem coraz lepiej.
- O! - Grisza podniósł palec.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, coś lekkiego, co by zatarło to uczucie niewygodnej intymności, które powstało między nimi w ciągu ostatnich minut, ale w tym momencie rozległ się sygnał zakończenia programu i na biurko krótkimi szarpnięciami wypełzła taśma z wynikami.

Tojwo przejrzał ją całą, wiersz po wierszu, starannie złożył na załamaniach i wsunął w szparę sumatora.
- Nic ciekawego? - zapytał Grisza z niejakim współczuciem.
- Jakby ci powiedzieć... - wymamrotał Tojwo. Teraz rzeczywiście myślał o czymś innym. - Znowu wiosna 81-ego.
- Jak to, znowu?

Tojwo przebiegł opuszkami palców po sensorach terminalu, wprowadzając kolejny cykl programu.
- W marcu 81-ego roku - powiedział - po raz pierwszy po dwóchsetletniej przerwie zarejestrowano przypadek masowego samobójstwa szarych wielorybów.
- Tak - niecierpliwie powiedział Grisza. - A w jakim sensie „znowu"?

Tojwo wstał.
- To długa opowieść - powiedział. - Potem przeczytasz komunikat. Chodźmy do domu.

*

TOJWO GŁUMOW W DOMU. 8 MAJA 99 ROKU. PÓŹNY WIECZÓR.

Zjedli kolację w pokoju purpurowym od zachodzącego słońca.

Asia była rozstrojona. Zaczyn Paszkowskiego, dostarczany do delikatesowego kombinatu z Pandory (w żywych workach biokontenera, pokrytych terakotowym szronem, najeżonych rogowymi haczykami teżni, po sześć kilo drogocennego zaczynu w każdym worku), więc ten zaczyn znowu się zbuntował. Jego zapach samowolnie przeszedł do klasy „sigma", a goryczka osiągnęła ostatni dopuszczalny stopień. Rada ekspertów podzieliła się. Magister zażądał, aby do momentu wyjaśnienia przerwać produkcję sławnych na całej planecie „ałapajczek", a smarkacz Bruno, bezczelny gaduła, oświadczył: właś-

ciwie z jakiej racji? Nigdy w życiu by się nie ośmielił powiedzieć słowa przeciwko Magistrowi, a dziś nagle zebrał się na odwagę. Że niby normalni konsumenci nie dostrzegą takiej subtelnej zmiany smaku, a co się tyczy smakoszy, to on, Bruno, daje głowę, że minimum co piątego taki wariant smakowy wprawi w entuzjazm... Komu jest potrzebna jego głowa? Ale byli tacy, którzy go poparli! I teraz nie wiadomo, co będzie...

Asia otworzyła okno, usiadła na parapecie i zaczęła patrzeć w dół, w dwukilometrową, niebieskozieloną przepaść.

– Boję się, że będę musiała lecieć na Pandorę – powiedziała.

– Na długo? – zapytał Tojwo.

– Nie wiem. Być może na długo.

– A właściwie po co? – ostrożnie zapytał Tojwo.

– Rozumiesz, chodzi o to... Magister uważa, że tu na Ziemi, sprawdziliśmy wszystko co możliwe. To znaczy, że coś jest nie w porządku na plantacjach. Może zmutował się nowy szczep... A może coś się dzieje w czasie transportu... Nie wiemy.

– Już raz leciałaś na Pandorę – powiedział Tojwo, chmurząc się. – Poleciałaś na tydzień i przesiedziałaś tam trzy miesiące.

– Dobrze, a co mam robić?

Tojwo podrapał się w policzek, stęknął.

– Ja nie wiem, co robić... Wiem, że trzy miesiące bez ciebie, to okropne.

– A dwa lata beze mnie? Kiedy siedziałeś na tej, jak jej tam...

– Też masz co wspominać! Kiedy to było! Byłem wtedy młody, byłem wtedy głupi... Byłem wtedy Progresorem! Człowiek z żelaza, mięśnie, maska, szczęki! Słuchaj, niech lepiej leci twoja Sonia. Jest młoda, ładna, może tam wyjdzie za mąż?

– Oczywiście, Sonia też poleci. A innych pomysłów nie masz?

– Mam. Niech leci Magister. To on nawarzył tego piwa, więc niech teraz leci.

Asia tylko popatrzyła.

– Odwołuję swoje słowa – szybko powiedział Tojwo. – Nigdy ich nie było. Skasowane.

– Jemu nawet ze Świerdłowska nie wolno wyjechać! Chodzi o jego kubeczki smakowe! Ćwierć wieku nie opuszcza swojego kwartału!

– Zapamiętam – zaczął Tojwo. – Na zawsze. Już się nie powtórzy. Wygłupiłem się. Palnąłem. Niech leci Bruno.

Asia jeszcze przez kilka chwil mierzyła go oburzonym spojrzeniem, potem odwróciła się i znowu zaczęła patrzeć przez okno.

– Bruno nie poleci – powiedziała gniewie. – Bruno teraz zajmie się swoim nowym bukietem. Chce go utrwalić i standaryzować... No, to się jeszcze zobaczy... – z ukosa spojrzała na Tojwo i roześmiała się. – Aha! Teraz ci smutno! „Trzy miesiące... Bez ciebie..."

Tojwo natychmiast wstał, przeszedł przez pokój i usiadł na podłodze u nóg Asi a głowę położył na jej kolanach.

– Przecież tak czy inaczej musisz jechać na urlop – powiedziała Asia – Mógłbyś tam zapolować... To przecież Pandora! Pojechałbyś na Diuny... Obejrzałbyś nasze plantacje... Nawet nie możesz sobie wyobrazić, czym są plantacje Paszkowskiego!

Tojwo milczał, tylko coraz mocniej przytulał policzek do jej kolan. Wtedy Asia również umilkła i przez czas jakiś nie rozmawiali, a potem Asia zapytała:

– Coś się tam u ciebie stało?

– Dlaczego tak myślisz?

– Nie wiem. Widzę.

Tojwo westchnął głęboko, wstał z podłogi i też usiadł na parapecie.

– Dobrze widzisz – powiedział ponuro. – Stało się. U mnie.

– Co?

Tojwo mrużąc obserwował czarne pasma obłoków, przecinające miedziano-purpurową łunę zachodu. Czarno-siwe zwały lasów u horyzontu. Cienkie czarne iglice tysiącpiętrowców obciążone gronami

kwartałów. Połyskująca miedziano kopuła. Forum po lewej i nieprawdopodobnie gładka powierzchnia okrągłego Morza po prawej stronie. I czarne, popiskujące jerzyki, setkami strzałek ulatujące z wiszącego ogrodu kwartał wyżej, znikające w liściach wiszącego ogrodu kwartał niżej.

– Co się dzieje? – zapytała Ania.

– Jesteś zdumiewająco śliczna – powiedział Tojwo. – Masz jaskółcze brwi. Nie wiem dokładnie, co znaczą te słowa, ale chodzi w nich o coś bardzo pięknego. O ciebie. Nie jesteś nawet śliczna, jesteś piękna. Nadobna. Miłe są twoje troski. I świat twój jest miły. I nawet twój Bruno jest miły, jeśli się dobrze zastanowić... W ogóle świat jest piękny, jeśli chcesz wiedzieć... „Piękny jest nasz świat jak kwiat, obdzielimy bez rozterki dziewięć serc i cztery nerki, i jeszcze trzy wątroby..." Nie wiem, co to za wiersze. Nagle przyszły mi do głowy i chciałem ci je zadeklamować... Zapamiętaj, co ci powiem! Całkiem niewykluczone, że niedługo przylecę do ciebie na Pandorę. Dlatego, że lada chwila wyczerpie się jego cierpliwość, a wtedy naprawdę wygoni mnie na urlop. A, być może, w ogóle wygoni. Oto co wyczytałem w jego orzechowych oczach. Wyraźnie jak na monitorze. A teraz zrób herbatę.

Asia przenikliwie popatrzyła na Tojwo.

– Nic nie wychodzi? – zapytała.

Tojwo uchylił się przed jej spojrzeniem i wzruszył ramionami.

– Dlatego, że od samego początku to było źle pomyślane – powiedziała Asia gorąco. – Dlatego, że od samego początku zadanie zostało źle sformułowane! Nie można formułować zadania tak, żeby żaden wynik cię nie zadowalał. Twoje założenie było fałszywe od samego początku – pamiętasz, co ci mówiłam? Gdybyś rzeczywiście znalazł Wędrowców – czy by cię to ucieszyło? A teraz, kiedy zaczynasz rozumieć, że ich nie ma, znowu niedobrze, bo pomyliłeś się, twoja hipoteza była niesłuszna, wygląda, że przegrałeś, chociaż tak naprawdę niczego nie przegrałeś...

– Nigdy się z tobą nie spierałem – pokornie powiedział Tojwo. – To ja jestem winien wszystkiemu, taki już mój los...

– Widzisz, teraz nawet Big Bug jest rozczarowany waszym pomysłem... Oczywiście nie wierzę, że cię wygoni, gadasz okropne głupstwa, lubi cię i ceni, wszyscy o tym wiedzą. Ale przecież rzeczywiście nie można marnować tylu lat – i właściwie na co? Przecież tak naprawdę nie macie nic poza gołą hipotezą. Nikt nie zaprzeczy – jest ciekawa, niepokojąca, ale nic ponadto! W istocie rzeczy to po prostu inwersja znanej od zamierzchłych czasów ludzkiej praktyki... po prostu Progresorstwo na odwrót, nic więcej... Jeśli my prostujemy czyjąś historię, to znaczy, że i z naszą historią ktoś może spróbować tego samego... Poczekaj, daj mi skończyć! Po pierwsze zapominacie, że nie każda inwersja musi mieć odpowiednik w rzeczywistości. Gramatyka to jedno, a rzeczywistość to coś zupełnie innego. Dlatego najpierw zapowiadało się ciekawie, a teraz w ogóle się nie zapowiada... i wygląda dość nieprzyzwoicie... Wiesz, co mi wczoraj powiedział jeden z naszych działaczy? Powiedział: my, wie pani nie jesteśmy funkcjonariuszami KOMKONu, możemy im tylko pozazdrościć. Kiedy stykają się z jakąkolwiek rzeczywiście poważną zagadką, natychmiast kwalifikują ją jako rezultat działalności Wędrowców i z głowy!

– Ciekawe, kto to powiedział? – ponuro zapytał Tojwo.

– Co za różnica? Na przykład u nas zbuntował się zaczyn. Po co szukać przyczyn? Wszystko jasne – Wędrowcy! Krwawa ręka supercywilizacji! I nie złość się, proszę! Nie złość! Nawet takie żarty są ci nie w smak, ale ty ich prawie nigdy nie słyszysz. A ja słyszę je bez przerwy. Jeden tylko „syndrom Sikorskiego" ile mnie kosztuje... A przecież to już nie jest żart. To wyrok, mój miły! To diagnoza!

Tojwo już się opanował.

– A co – powiedział – z tym waszym zaczynem, to jest myśl. To przecież NW! Dlaczego nie zameldowaliście? – zapytał surowo. – Nie znacie przepisów? A jeśli poprosimy Magistra na dywanik?

– Tobie też żarty w głowie – gniewnie powiedziała Asia. – Wszyscy wszędzie żartują.

– I bardzo dobrze! – podchwycił Tojwo – Trzeba się cieszyć! Kiedy zacznie się robota na serio, nie będzie czasu na żarty...

Asia z irytacją uderzyła pięścią w kolano.

– O Boże! No i po co udajesz przede mną? Nie masz ochoty na żarty, nie chce ci się wygłupiać i to najbardziej w was irytuje! Zbudowaliście wokół siebie posępny, mroczny świat, świat zagrożeń, świat strachu i podejrzliwości... Dlaczego? Skąd? Skąd ta wasza kosmiczna mizantropia?

SPLEEN NAD MIASTEM

Grzegorz Stefański

Leniwie nadchodził zmierzch. Był zdumiewająco spokojny. Zdawać by się mogło, że zapas zdarzeń przeznaczony na ten dzień został wyczerpany zbyt szybko. Rano odpadła północna elewacja z budynku Głównego Domu Towarowego, wprost na zapełniony ludźmi chodnik. Zginęło pięć osób. Godzinę potem wybuchła pierwsza bomba. Następne siedem ładunków eksplodowało w odstępach dziesięciominutowych, każdy w innej dzielnicy. Do wieczora dokonano trzydziestu morderstw, stu pięćdziesięciu włamań. Straż pożarna interweniowała dwadzieścia osiem razy. Jeżeli jednak ten dzień miałby się okazać przeciętnym, jeszcze przed północą należało oczekiwać w mieście kilku samobójstw, kilkunastu gwałtów i zjawienia się co najmniej dwóch psów, z objawami WŚCIEKLIZNY.

Wieczorny program TV rozpoczęto komunikatem o chorym, który uciekł z kliniki psychiatrycznej. Pacjent miał być niebezpieczny. Pokazano przed kamerami jego zdjęcie, za informację o zbiegu wyznaczono wysoką nagrodę. Ale niewielu było już ludzi, dla których nagroda stanowiła wystarczający powód działania.

Pomiędzy betonowymi blokami panowała cisza. Zachodzące słońce napełniało miasto szkarłatną poświatą. Mężczyzna z długimi siwymi włosami i dziką, również siwą brodą, grzebał patykiem w koszu ze śmieciami. Szukał jedzenia. Był jednym z owych schizoidalnych osobników, którzy całymi stadami buszowali po mieście. Kosz z odpadkami znajdował się na środku placu, od którego promieniście odchodziły trzy ulice. Na placu rosły drzewa z pożółkłym i rzadkim mimo lipca listowiem.

Schizoid ubrany jak większość bezdomnych włóczęgów, w brudny poplamiony drelich, czapkę z pogiętym i zatłuszczonym daszkiem i pomarańczowy szalik, stał pochylony, mamrocząc do siebie... Dwadzieścia metrów dalej tkwił nieruchomo mężczyzna z krótkofalówką i obserwował grzebiącego w śmietniku. Mężczyzna pocił się, usta miał rozchylone, bezwiednie usiłował zwilżyć językiem spieczone wargi. Jego oczy z rozszerzonymi źrenicami nie dostrzegały niczego poza starcem przewracającym odpadki.

Plac był pusty. Wiał wiatr podnoszący z ulic tumany kurzu. Obłoczki szarości wirowały między pniami drzew. Brodacz raptownie znieruchomiał nad śmietnikiem... Mężczyzna z krótkofalówką drgnął. Przez moment jeszcze ważył w myślach decyzję, zawahał się przez mgnienie. Teraz, trzeba zacząć. To właśnie ta chwila, TA sekunda, TEN ułamek uciekającego czasu. Czekanie mogło popsuć cały plan. Wcisnął przycisk na rękojeści krótkofalówki. Natychmiast zapaliło się światełko potwierdzające odebranie sygnału.

Nadszedł czas: Schizoid wyprostował się i rozejrzał lękliwie. Wykonał serię szybkich, nerwowych ruchów, po czym zaczął przemieszczać się w kierunku jednej z ulic wychodzących ze skweru.

Dzień zgasł prawie zupełnie.

Nadszedł czas.

Mężczyzna z nadajnikiem otarł pot z czoła.

Za chwilę będzie miał starucha. Wykona zadanie. Tylko niesamowity zbieg okoliczności może pokrzyżować jego plan. Tylko ZŁOŚLIWOŚĆ losu... Ale on nie wierzył w nic takiego. Wykonywał precyzyjnie rozkazy. To musi przynieść efekty.

ZŁOŚLIWOŚĆ losu?

Był Pułkownikiem, dowódcą Oddziału Specjalnego. Nadszedł czas, dzień już się skończył. Słońce zniknęło za horyzontem. Brodacz szedł coraz szybciej. Przed nim mur budynków ograniczający przestrzeń i trzy ulice, trzy wyjścia z pułapki. Oddech brodatego mężczyzny był ciężki i świszczący. On się bał. Był niemal nieprzytomny ze strachu.

Na placu pojawiły się zamazane w półmroku dwie psie sylwetki. Miały opuszczone głowy. Biegły w całkowitej ciszy. Nie zatrzymywały się. To mogły być tylko złe psy.

...Ja, Cartafilus... Dawno temu byłem odźwiernym w domu bogatego człowieka... Jak mu na imię? Jak się nazywał? Może to był sen? Cholerny śmietnik! Nie ma tu nic. Źli ludzie mało wyrzucają. Żyję w paskudnej mgle. Czy to ja jestem Cartafilus? Jakie jest moje imię? „Bezstan". Jest, jest słodka śmietana. Mało jej. Niech to szlag.

Gapi się na mnie. Znowu! Tak, przeklęte pomioty szatana, to oni! Wzrok, jego wzrok... czego! Czego chcecie, znowu wypełzliście na świat! Strach, ten strach... Trzeba wiać, najpierw spokojnie do środka skweru, potem ile sił w nogach – w którąś z tych ulic. Jeśli nie odetną mi drogi. Boże, jak tu strasznie, mój lęk... Jeżeli to Oni, co tu robią psy? Zawrócić! Tam pełno policji. Złapali mnie w potrzask!!! Zły czas nadszedł, bardzo zły... nie ma wyjścia.

Wyszli z ukrycia równocześnie. Ich twarze były schowane pod plastykowymi osłonami. Szli powoli w kierunku biegnącego starca. Nie padło ani jedno słowo.

Zatrzymał się i spojrzał za siebie. Z tyłu również szła policyjna tyraliera. W górze trzepotały śmigła. Helikopter oświetlał teren polowania. W błyskach świateł zamigotały kontury drzew.

Starzec powiódł wzrokiem po formującym się ludzkim pierścieniu. W ich kaskach przeglądało się wieczorne niebo nad MIASTEM. Megafon umieszczony na policyjnym wozie przemówił chrapliwie:

– Stój! Zatrzymaj się, ucieczka jest bezcelowa!

...Są wszędzie... wypełzli ze swoich ukryć... Znowu... przeklęci... nic nie pamiętam... boję się, BOJĘ SIĘ... Pułapka. Błyski, policja. Czy to już było?

Ego vado et expectabis donec veniam... donec veniam... czyżby?
Stój? Zatrzymaj się? Ja się BOJĘ. Nie mogę stać... naprzód! Cartafilus!!!

Mężczyzna z siwą brodą uniósł ręce. Policjanci podchodzili powoli. Z jednego pierścienia zrobiły się dwa. Ci z tyłu ubezpieczali tych z wewnętrznego kręgu, mieli przygotowane pistolety maszynowe. Taki był rozkaz. W kręgu o promieniu stu metrów zamknięte zostały także dwa psy. Były w nieustannym ruchu. Były duże, miały podkulone ogony. Z pysków ściekała im pienista ślina. Starzec wydał z siebie przeciągły ryk.

– Cartafilus!!!

Policjanci stanęli.

– Jest bosy – zauważył jeden ze ścigających.

– Widzicie jak drży? Jak można tak się bać?

– Naprzód – wrzasnął przez megafon Pułkownik – sieć naprzód!

– Cartafilus!!! – znów zawył staruch, i zaczął sadzić długimi susami prosto na tyraliere.

Nagle zatrzymał się. Dwa cienie przebiegły mu drogę i pomknęły wprost na żandarmów z przeraźliwym ujadaniem. Psy były tylko dwa, lecz poruszały się tak szybko, że stwarzało to złudzenie większej liczby napastników. Zaskoczeni policjanci nie potrafili się bronić. Coraz więcej poranionych ludzi wiło się na ziemi. W kordonie powstały luki. Starzec je dostrzegł. Jedna z tych przerw wypadła naprzeciwko ulicy, którą mógł opuścić plac. Ale obejrzał się jeszcze i popatrzył na widowisko oświetlone reflektorem helikoptera.

– Co jest! Dlaczego nikt nie strzela? Zabijcie te bestie! – krzyczał Pułkownik. Nie mógł uwierzyć, że wali się cała misternie zaplanowana akcja.

Obudzony jego głosem starzec rozpoczął bieg ku ulicy. Reflektor śmigłowca skierował snop światła na walczące zwierzęta. Jeden z żandarmów sięgnął po automat. Chwilę potem zaatakował go pies. Człowiek poczuł zęby zaciskające się na lewej łydce. Wymierzył potężnego kopniaka i policyjny but spadł na elastyczne psie żebra. Zwierzę stęknęło, ale nie zwolniło chwytu.

Policjant kopnął ponownie. To poskutkowało. Pies odskoczył na półtora metra. Żandarm nacisnął spust i zwierzę padło na ziemię ze strzaskanym kręgosłupem. Płaczliwy skowyt rozległ się w powietrzu. Drugi z psów usłyszawszy jękliwą skargę przestał atakować. Znajdował się blisko uciekającego włóczęgi. Żandarm znowu wycelował. Miał na muszce drugiego psa. Łapcie go! – krzyknął Pułkownik widząc, że wszyscy zapomnieli o starcu. Sam był zbyt daleko, by mu przeszkodzić w ucieczce.

Ostatni mijany przez brodacza policjant zareagował na okrzyk dowódcy i gwałtownie poderwał się z ziemi. Raptowność tego ruchu wyzwoliła nowy pokład agresji u psa, który znów rzucił się na człowieka. W tej samej chwili policjant celujący w zwierzę wystrzelił. Trafił swojego kolegę w serce.

Starzec dopadł zbawczej ulicy. Sekundę później ktoś zastrzelił drugie zwierzę.

Helikopter poleciał w ślad za uciekającym. Na placu zrobiło się cicho. Słychać było tylko jęki rannych.

– Gońcie go! Słyszycie, gońcie za nim!

Żaden z ocalałych żandarmów nie ruszył się z miejsca. Zagłada, która toczyła rzeczywistość niczym rak, dała znać o sobie.

– Panie Pułkowniku, a ranni?

– Za pół minuty będzie tu karetka! Teraz za nim, za nim! Pułkownik starał się ocalić swoją wiarę, musiał wypełnić misję. MUSIAŁ ZŁAPAĆ STARCA.

Podążyli więc za światłem helikoptera. Na przedzie Pułkownik. Na placu zostali ranni, trupy i bezużyteczne sieci. Konwój karetek zjawił się po trzydziestu sekundach. Mimo to umarł jeszcze jeden policjant, któremu psy rozerwały tętnicę szyjną. Karetka pogotowia zabrała również zwłoki dwóch psów. Badanie histopatologiczne wykazało obecność ciałek Negriego w rogach Ammona ich mózgów – psy były wściekłe.

Uciekłem im... znowu uciekłem, dlaczego muszę uciekać? Dlaczego się boję? Ja, Cartafilus, odźwierny domu... Jak on się nazywał? Gdzie się podziały dorożki w tym

konkursy

Piotr Biernacki: Galaktus X, wyróżnienie w konkursie fotograficznym.



Galaktus Y



mieście, i domy z czerwonej cegły, i przytulne kamieniczki z kominami na dachach. Wąskie ulice z szemrzącymi rynsztokami, to nie tu? Więc ich już nie ma? Pomyliłem czas, trzeba się głęboko schować.

Cień uciekającego zniknął za rogiem ulicy. Pułkownik przyspieszył. Za nim tupotało o asfalt kilkanaście par podkutych butów.

Czuł, że nawet on ulega powolnej zagładzie. Pomimo przeszkolenia, pomimo treningu. Wstąpił do służby niedawno. Szybko został dowódcą oddziału, kto wie, może ostatniego Oddziału Specjalnego na świecie. Miał wrażenie, że źle wywiązuje się ze swojej funkcji. Podkopywało to fundamenty jego osobowości i zakłócało dynamikę życiową. Kropla po kropli sączyło się w jego umysł zwątpienie i wyciekała nadzieja. Ale ciągle jeszcze wierzył w misję choć nie znał wszystkich szczegółów.

Słyszał o Zagładzie, doświadczył jej na sobie i nie miał pojęcia skąd się wzięła. On był od wykonywania rozkazów. Teraz, biegnąc na czele grupy pościgowej, nie potrafił już zdobyć się nawet na krzyk i wydawanie rozkazów. Wybiegł na ciemną, prostą ulicę. Znowu stracił starca z oczu. Daleko, bardzo daleko światło helikopetra...

Ten Staruch, kim on jest? Kim jest, że kazano mi go złapać? – właśnie teraz, gdy TO wszystko wisi nad światem?

Oddech Pułkownika był nierówny, tupot nóg rozlegał się za nim coraz ciszej. Nie chciał odwracać wzroku, by sprawdzić ilu ludzi jeszcze biegnie z tyłu. Domyślał się, że niewielu. Gówniarze – pomyślał, ale bez przekonania. Raczej sądził, że tak właśnie powinien myśleć o swoich żandarmach w sytuacji w jakiej się znalazł, niż faktycznie tak ich oceniał.

ZAGŁADA.

Staruch dopadł kolejnego zakrętu. Łapał powietrze i wypuszczał je ze świstem. Każdy oddech szarpał jego wnętrznościami i krtanią, zadając ból. W biegu dojrzał uskok w murze, ciągnącym się po dwóch stronach ulicy. Długim skokiem wymknął się z kręgu światła. Dotarł do wnęki, która okazała się metalową bramą. Światło helikoptera pognało dalej. Wąwóz ulicy drgał tętnem goniących buciorów. Schizoid rozejrzał się. Pchnął metalowe drzwi. Były otwarte. Dostał się na podwórze otoczone przez niskie, mieszkalne bloki. Po przeciwległej stronie przesmyk między domami prowadził na ulicę. Popędził w tamtą stronę, między zaparkowanymi samochodami i drzewami uwięzionymi w szarości betonu, prosto do wyjścia. Na podwórze tymczasem wpadło światło helikoptera. Jeszcze nie wyłuskało z ciemności postaci uciekającego. Starzec nie zwracał na nie uwagi. Raptem w połowie drogi runął na beton. Ze zwierzęcą zwinnością okręcił się parę razy wokół własnej osi i tocząc się po ziemi dopadł metalowej pokrywy kanału. Poderwał się na kolana, zacisnął dłonie na żelaznym kole, napiął mięśnie... Zgrzyt.

W chwili gdy potok reflektorowej bieli miał go pochwycić, starzec zniknął w czeluści kanału. Światło nic nie znalazłszy poczęło penetrować dalszą okolicę. Stojąc na klamrach przymocowanych do ściany studni, uciekinier zasunął pokrywę. Nastepnie osunął się po klamrach w dół, na samo dno i legł u wejścia do szerokiego tunelu, którym płynęła cuchnąca maź.

Ja Cartafilus... Ahaswer... Kimkolwiek jestem, czy dane mi będzie ukoić lęk?... Czego chcecie! Czego? O co chodzi wam, którzy wzniecacie we mnie pożogę, wicher, burzę nerwów. Opętanie... Opętanie?

Kiedy nadejdzie mój czas... Ego vado et expectabis donec veniam – kto to powiedział? – expectabis donec veniam... Vade citius vade quid moraris – idź, szybciej idź, czemu zwlekasz... czy to się działo naprawdę?

Pułkownik pochylił się i w takiej pozycji próbował odpocząć. Wkoło stali żandarmi. Helikopter odleciał, gdy załoga otrzymała komunikat o gwałtownej zmianie pogody. Wzmógł się wiatr. Z daleka niosło się narastające echo wyładowań atmosferycznych. Wszyscy milczeli.

Los okazał się złośliwy. Starzec uciekł. Oddział Specjalny nie mógł sobie poradzić z jednym słabym, zwariowanym starcem. Pułkownik nie wykonał zadania.

To nie jest normalne – myślał dowódca. – Przecież wszystko było zbyt proste, by mogło się nie udać. Zbyt proste? Najbardziej bał się takich właśnie sytuacji. Niezwykłych, a zarazem dających się wytłumaczyć pechem, godnym ubolewania zbiegiem okoliczności... ZŁOŚLIWYM LOSEM... Nie wierzył w złośliwy los, natomiast wiedział o Zagładzie. Ona też była niewidoczna. Niszczyła świat po cichutku. Intuicja podpowiadała Pułkownikowi, że istnieje związek między jednym i drugim.

– To nie jest normalne – jęknął – to ten smutek – zamruczał do siebie.

– Panie Pułkowniku – odezwał się jeden z policjantów.

– Tak?

– Przyjechały psy gończe.

Machnął ręką. Wszystko jest daremne. Poczuł na twarzy pierwsze krople deszczu. Ta burza uniemożliwi działanie. Dlaczego tak się dzieje? Żandarm zbliżył się do swojego zamyślonego dowódcy:

– Tego człowieka nie można złapać.

– Co ty gadasz?

– Pan jest od niedawna z nami. Pan o tym nie wie. Widocznie nie chciano, aby pan wiedział.

– O czym ty mówisz?

– Tego starca nie można złapać, on za bardzo się boi, tak mówią w Oddziale.

– Czekaj! Skąd znasz tego dziada?

– Pan jest tu nowy, mam na myśli Oddział. Długo przedtem, zanim spadło na nas TO WSZYSTKO – popatrzył znacząco na Pułkownika i westchnął jak człowiek, na którego barkach spoczywają losy świata – brałem już dwa razy udział w takich akcjach. Zawsze kończyły się tak samo.

– Co!

– Tak jak ta dzisiejsza.

– Też psy i...

– Nie o to chodzi. To znaczy... Zawsze w czasie akcji wydarzało się coś, co ratowało Starucha. A to nagły pożar, albo zawalenie się domu, albo wypadek uliczny. Wiele razy próbowano. Ja byłem tylko w dwóch akcjach. Mówią, że to zaczęło się przedtem, jeszcze przed Zagładą.

Pułkownik nie mógł pogodzić się z myślą, że coś przed nim zatajono.

– Coś ci się pomyliło!

– A jakie to ma znaczenie! Mam gdzieś to wszystko. To za mądre dla mnie. Nie znam się na ratowaniu ludzkości.

– Zamknij się, słyszysz, zamknij mordę – wybuchnął nagle chwytając policjanta za klapy. Wściekł się, bo przyszło mu do głowy, że i on nic a nic nie zna się na ratowaniu LUDZKOŚCI.

Zagłada... – szepnął do siebie. Jego rozmówca wyswobodził klapy i odszedł. Kilku ludzi krzątało się wokół przywiezionych psów tropiących. Ciemności nieba raz po raz przeorywały błyskawice.

Gdy pierwszym psom podano do powąchania ślad, i gdy padła komenda, „szukaj!", na ziemię lunął deszcz. Urwanie chmury przewaliło się nad miastem. Psy pokręciły się trochę wokół samochodów, ale strugi wody lejącej się z nieba zmusiły ludzi do przerwania nocnych poszukiwań.

Siedząc w pędzącym przez deszcz i noc samochodzie Pułkownik próbował uporządkować swe myśli. To nie było łatwe. Dlaczego nie powiedziano mi wszystkiego? Dlaczego zwykły żandarm wiedział więcej ode mnie... Co się, do cholery, za tym kryje? Czuł się oszukany, zawsze wierzył szefom, na głębokiej wierze oparty był jego sposób patrzenia na świat. Inaczej nie potrafił. I teraz świat, w którym nauczył się poruszać – drgał niebezpiecznie. Zamknął oczy. Zobaczył psy śmiertelnie kąsające jego ludzi. Ten Starzec, czy on się śmieje? Wtedy widział jego twarz tylko z daleka. Teraz ujrzał go z bliska, przeskakującego ciała martwych policjantów i żandarmów. Usta Starca wykrzywił szyderczy śmiech! Dosyć! Dosyć!!! – Pułkownik otworzył powieki.

– Zatrzymaj! – krzyknął do kierowcy. – Trzeba wyjaśnić to wszystko... Zagłada? Tak, to tylko część prawdy. – Jedziemy do szefa!

– Panie Pułkowniku, o tej porze?! – głos kierowcy wyrażał zdumienie.
– Nie obchodzi mnie pora! Zresztą on i tak nie śpi.
– Ale czy adiutanci wpusz...
– Jedź już!
Dowie się. Był pewien, że jego przełożony wie, dlaczego przegrał. Odzyskiwał grunt pod nogami. Znowu wszystko zależało od jego wiary... Za szybami przesuwał się świat dotknięty ZAGŁADĄ. To z nią walczył Pułkownik i jego ostatni na kuli ziemskiej Oddział Specjalny. Szare sylwetki mieszkańców poruszały się po chodniku. To ich bronił Pułkownik. Biedaków, którzy choć ginęli, nie mieli pojęcia, że Zagłada trwa. Nie musiał oglądać ich twarzy. Znał na pamięć linie, jakie smutek rzeźbi na ludzkich obliczach. Rezygnacja. Apatia. Zagłada świata. Nikt nie wie kiedy spłynęła na ziemski glob. Czy ktoś zauważył jej początek? – Mało prawdopodobne.
Bo nikt, prawie nikt, nie szukał jej i nie tropił. Nie spodziewano się ataku z tej strony. Świat nie ginął wskutek katastrofy nuklearnej, nie stoczył ludzkości rak, powietrze było w miarę czyste, podobnie jak woda i nie zjawił się żaden śmiercionośny wirus. Mimo to świat umierał – na smutek.
Barwy życia wyparł z ludzkich głów koloryt melancholii. Smutek, lęk i agresja wypełzły na ulice, wyroiły się tysiącami samobójstw, aktów przemocy, szaleństw. Zagłada niepostrzeżenie poruszyła w ludziach najniebezpieczniejsze i najbardziej sekretne struny – te, których wibracje tchną WIECZNOŚCIĄ. Raz obudzone, do KOŃCA uparcie drgają i dźwięczą. Dźwięki tych strun burzą porządek, ład zmieniają w chaos. Rozbijają społeczności, czyniąc każdego człowieka samotnym wszechświatem, obalają przyjęte zasady, odbierają sens ambicjom i sukcesom. Nic prócz agresji, a na koniec lęku. Dźwięki nieustannie drgają w mózgach ludzkich, układając się w złowrogą melodię, która niszczy ducha, zamyka człowiekowi oczy na jego własną przyszłość, czyni ją absurdalną. Cały organizm drga w takt owej melodii, upaja się nią, dopóki nie padnie rażony nagłą ciszą, która oznacza śmierć... To właśnie była ZAGŁADA. On wiedział o wszystkim. Wiedział też, że coraz mniej ma ludzi w Oddziale. Ubywało wytrenowanych, takich, którzy mogą próbować się przeciwstawić, mogą walczyć. Bo któż wstąpi do Oddziału w takiej sytuacji? Kiedy wszyscy na wszystko patrzą pod kątem wieczności, kto ma chęć słuchać rozkazów? Ale Pułkownik nie poddawał się zwątpieniu. Miał silną wiarę, która utrzymywała go na powierzchni bagna, w jakie zmieniła się otaczająca go rzeczywistość. Dzięki niej był niezłomny. Tej nocy jego wiara została nadszarpnięta. Czyżby los mógł być złośliwy?...
Samochód zatrzymał się przed wysokim dziesięciopiętrowym GMACHEM.
Padał deszcz.
– Nie czekaj na mnie – powiedział kierowcy.
Wysiadł z samochodu. Przeszedł przez duży, równo przystrzyżony trawnik. Dotarł do alei wysadzonej potężnymi bukami. U jej końca zobaczył SCHODY, wiodące do wejścia. Świeciły w ciemności, odsłoniętym przez deszcz blaskiem białego marmuru. Ich powierzchnie odbijały rtęciowe światło latarń otaczających Budynek. Nie spiesząc się podążył w kierunku siedziby przełożonego.
Nagle między sędziwymi drzewami znów dopadła go bezradność. Nawet nie wiedział, że tak bardzo można być samemu na świecie. Stanął pod drzewem. Dotknął policzkiem jego wiekowego pnia. Przytulony do ostatniego buka w alei, spojrzał w górę. Między ciemnym listowiem przebłyskiwały gwiazdy, wiał wiatr poruszając konarami drzewa.
WIERZYĆ – myślał Pułkownik. Czuł się bardzo samotny.
Poczuł potrzebę natychmiastowej rozmowy. Musi zamienić z kimś kilka słów przed spotkaniem z szefem. Było późno. Noc. O tej porze trudno spotkać kogokolwiek na ulicy. A jednak... Nie opodal schodów był parking. Obok budka telefoniczna. Zobaczył w jej wnętrzu człowieka. Ruszył tam. Poczeka, aż obcy skończy, potem zapyta go o godzinę, wszystko jedno o co. Aby tylko coś powiedzieć i jeśli to możliwe, usłyszeć w głosie nieznajomego nutę przyjaźni.
Stanął przed automatem. Z minuty na minutę obserwował osobnika w środku z coraz większym zdumieniem. Otóż ten wybierał coraz to inne kombinacje numerów, po czym przykładał słuchawkę do ucha, by po chwili z wyraźnym zniecierpliwieniem odkładać ją z powrotem. I znowu wybierał numer... W ciągu pół godziny jego zachowanie się nie zmieniło. Pułkownik obszedł budkę i stanął z jej drugiej strony, chcąc pokazać się nieznajomemu.
Tamten nie zwrócił nań uwagi pochłonięty swoim dziwnym zajęciem. Mężczyzna ubrany był w długi płaszcz i kapelusz z szerokim rondem. Przed nim piętrzył się stos monet.
Pułkownik zastukał w szybę. Tamten podniósł wzrok i Pułkownik zobaczył jego twarz: malowały się na niej rozpacz i upór. Pułkownikiem wstrząsnął dreszcz. I jeszcze jedno... Obcy płakał.
Pułkownik otworzył drzwi. Nie wiedział co powiedzieć.
– Przepraszam – wyszeptał w końcu.
Tamtem odwrócił głowę.
– Tu nie o to chodzi, żeby przepraszać – powiedział łamiącym się głosem.
– Co pan robi?
– Szukam numeru. Jedynego WŁAŚCIWEGO, MAGICZNEGO numeru.
Przestał łkać. Zaczął mówić głośno, spokojnie, coraz dobitniej. – Cyfry zagradzają drogę do prawdy, cały świat to tylko matematyka...
Jedynki, zera, trójki, piątki... Ich magiczne połączenia utworzą numer, który odkryję i wtedy rozlegnie się wielki dzwonek! Umilkną piski w słuchawkach, wówczas dowiem się wszystkiego. CAŁEJ PRAWDY O ŚWIECIE!
Ten numer istnieje. Tylko trzeba go znaleźć!
Pułkownik słuchał w osłupieniu. Nie dziwił go sam szaleniec, bo wielu wariatów kręciło się po mieście, ale to zdarzenie wyglądało znowu na celowy zbieg okoliczności. Pułkownik nie znosił takich PRZYPADKÓW.
– Gdzie pan chce dzwonić?
– Jak to gdzie? – szaleniec z niedowierzaniem spojrzał na rozmówcę. – Do NICH, do NIEGO, trudno to nazwać. Do tego, kto odpowie na pytania, kto będzie wiedział... Trzeba tylko próbować, gdzieś musi być... jak zegarynka, ten magiczny numer, pod który wystarczy zadzwonić, żeby porozmawiać ze światem. Znajdę go, zadzwonię, wtedy świat powie dobrze, że dzwonisz, czekałem na ciebie, nie przejmuj się tak swoim życiem... to niepotrzebne – umilkł i zaczął wybierać numer za numerem.
Rozmowa została skończona. Miał Pułkownik to czego tak bardzo pragnął – porozmawiać z człowiekiem. Był samotny i słaby, a teraz jest silny, a dla silnych samotność to głupstwo. Zawrócił w kierunku schodów. Z daleka usłyszał jeszcze wołanie.
– Będę tu tkwił dotąd aż znajdę ten NUMER!!!
Pułkownik wzruszył ramionami. Deszcz przemoczył go. Przed nim SCHODY, znowu schody. Patrzył na ich lśniącą powierzchnię. Nadszedł czas. Postawił nogę na stopniu. I wtedy na szczycie zobaczył niebieskiego pawia z rozpostartym ogonem. Ptak spoglądał nań bystrymi oczami z piór swego ogona.
– O tej porze? – zdziwił się Pułkownik.
Paw wydał przeciągły krzyk, usiadł na balustradzie, po czym sfrunął w ciemność.
Pułkownik ruszył w górę.

Pokój napełniony był dymem kadzideł. Żywiczny zapach przenikał siedzącą w fotelach trójkę: dwóch mężczyzn i kobietę. Rozmawiali. W pomieszczeniu panował półmrok. Światło świec z trudem przedzierało się przez niebieskie obłoczki dymu, sączącego się ze srebrnego trybularza. Z głośników płynęła cicha muzyka. Kobieta znienacka wstała z fotela.
Rozmowa dwu mężczyzn przestała ją interesować. Czuła rosnące napięcie. Była Wróżką. Czasem widziała przyszłość. Gdy nadchodziła właściwa chwila, słyszała głosy, odbierała sygnały płynące nie wiadomo skąd i nie wiadomo do kogo. Żyła w skomplikowanej rzeczywistości. Potrafiła widzieć i słyszeć tylko wtedy, gdy nadchodził czas. Teraz zbliżały się do niej znaki niosące informację i rozkazy. Ciemne jaskinie jej mózgu wypełniały się iskierkami impulsów, nasycały się światłem, przyprawiając kobietę o delikatne drżenie warg. Mężczyźni nie zauważyli niczego – byli zwykłymi ludźmi.

– Podstawowe jednostki – mówił Młodszy cicho – podobno nie ma żadnych wzorców na świecie. Zginęły, wyparowały! Ile to jest kilogram? Dokładnie nikt nie wie. Albo metr? Z każdym dniem mój metr różni się od metra innych osób. Ktoś kiedyś mówił, że jest wzorzec zrobiony z irydu i platyny... POWINNI GO BYLI DOBRZE PILNOWAĆ!!!

Starszy milczał, wpatrywał się uważnie w twarz stojącej nieruchomo Wróżki.

– A tak, to co? Zniknął wzorzec. Może to terroryści? Może znajdzie się, może znów się poprawi. Bo teraz, kiedy zostały nam tylko nazwy, jak porozumieć się z drugim człowiekiem?

– Wątpię, żeby kiedykolwiek istniała wspólna miara długości. Te wzorce jednostek podstawowych nigdy nie istniały.

– Istniały, jak możesz tego nie pamiętać? Przecież niedawno wszystko było normalne! I ludzie nie byli samotni. Żyli sekundami, które trwały jednakowo dla wszystkich. Wtedy byliśmy INNI, a teraz?...

– Co, teraz? Sekundy? Po co to wszystko. – Starszy wzruszył ramionami.

– Powiedz nam – powiedział Młodszy do Wróżki uroczystym tonem – po to przyszliśmy do ciebie, żebyś nam wyjaśniła i rozstrzygnęła, kto ma rację czy on, czy ja?... Musisz pamiętać jak to było kilka lat temu. Powiedz mu! Znikają po trochu elementy rzeczywistości, czy zmienia się sposób patrzenia na świat? – Głos Młodszego nabierał histerycznej wibracji. – Dlaczego tyle pożarów w mieście, dlaczego ludzie opuszczają domy, dlaczego wybuchają bomby, powiedz nam. – Młodszy potrząsnął kobietą.

Spojrzała na niego z wyrzutem. Widać było, że nie potrafi zebrać myśli, że jej umysł jest bardzo daleko... Młodszy zrezygnowany zdjął ręce z jej ramion.

– Telewizor – powiedziała od rzeczy – włączyć telewizor. – Potem dodała: – Od kilku lat czas upływa osobno dla każdego człowieka. Oddzielnie też mierzy się jego drogę i ciężar, który niesie. To tajemnica.

– Jej chwilami nie można... – zaczął Starszy, ale Wróżka wykonała gwałtowny gest. – Cicho! – syknęła na niego. Monitor rozjaśnił się. Słychać było głos komentatora.

– POSŁUCHAJCIE! – Wróżka wskazała palcem ekran. – To jest być może ostatnie z ludzkich osiągnięć.

– ...siaj w naszym mieście oddano do użytku Najwyższy Budynek Świata – NBŚ. Wznoszono go bardzo długo. Tak długo, że powstały o nim legendy – mówił Spiker. – Jedna z nich znakomicie obrazuje ogrom przedsięwzięcia. Otóż podobno upadek tej konstrukcji spowodowałby zachwianie równowagi mas skorupy ziemskiej, a w konsekwencji olbrzymią falę sejsmiczną. Owa fala – według legendy, mogłaby spowodować rozpad naszej planety. Oczywiście geologowie nie potwierdzają tej opinii. NBŚ na pewno stanie się atrakcją turystyczną naszego Miasta. Z okazji zakończenia budowy burmistrz ogłosił jutrzejszy dzień świętem.

– I jeszcze jeden komunikat – głos Spikera zmienił barwę. Pojawiło się zdjęcie brodatego człowieka w czapce z daszkiem i w poplamionym drelichu. Wokół szyi miał zawiązany pomarańczowy szal.

Wróżka wyprężyła ciało i wstrzymała oddech. Nadchodziła wiadomość. Gdzieś w środku Miasta krzyczał człowiek. Trwała jedna z tych ważnych chwil, w których odsłaniała się przed nią przyszłość. Te momenty wymagały olbrzymiej koncentracji.

WIADOMOŚĆ krążyła w powietrzu.

– Ktokolwiek widział tego człowieka... – myśli wirowały w jej głowie – ... uciekinier z kliniki psychiatrycznej... – PRZESTAŃCIE! – ...niebezpieczny maniak psychopata – ...trzeba odejść na pustynię posłuchać wróżb... – za informację o tym człowieku nagroda w wysokości – ...PRZESTAŃCIE!!!

– Już pokazywali to zdjęcie – zauważył Starszy, ale umilkł szybko widząc twarz Wróżki. Policzki jej drżały, miała zamknięte oczy.

Nagle zaczęła krzyczeć:

– Przestańcie go gonić! Na miłość boską, zostawcie go – krzyk przemienił się w szloch.

– O czym ty mówisz – zdziwił się Starszy.

Wróżka uspokoiła się w mgnieniu oka. Wiedziała. Teraz musi zacząć działać. W kadzidle węgle dawno przestały się żarzyć.



Bolesław Prus, Andrzej Brzezicki

– Muszę wyjść!

– Dokąd? – zapytali jednocześnie dwaj mężczyźni.

– Możecie iść ze mną.

– Dowiemy się czegoś? – spytał Młodszy.

Nie odpowiedziała. Stary zrobił chytrą minę.

– Ja idę. Ona coś wie o TYM człowieku, którego szuka policja.

– To coś poważniejszego niż wam się wydaje.

– Chodźmy – zgodził się Młodszy i stanął przy drzwiach.

Wróżka kręciła się po mieszkaniu udając, że czegoś szuka. Jednocześnie wyjęła spod gąbczastego materaca PISTOLET i dyskretnie wsunęła go do kieszeni skórzanych spodni.

Szli ulicami, w ciszy, w świetle ulicznych latarni. Poruszali się szybko. Starszy zastanawiał się, dokąd idą, ale nie chciał pytać. Nie chciał przerywać milczenia. Natomiast Młodszy odczuwał niepokój.

– Daleko jeszcze?

– Nie.

Ale jemu nie chodziło o odległość. Chciał usłyszeć coś ważnego, choć dotknąć cząstki tego, co wiedziała Kobieta. Weszli przez bramę na podwórze. Wróżka zatrzymała

się, opuściła głowę i fala ciemnych włosów zasłoniła jej twarz.

– TO TU – wskazała palcem metalowe koło włazu kanału – tak, to tu czai się lęk.

Czas upływa... czas upływa w ciemności. Śmierdzi tu jak jasna cholera. Gonili mnie. Znowu uciekłem. Mimo to boję się. Ile już lat nic prócz lęku. Nic... Ten śmietnik był pusty. Mało jedzenia. Śmietana, dobra słodka śmietanka... Dobrzy ludzie powinni dużo wyrzucać, wtedy lepiej żyje się tym, którzy nigdy o nic nie proszą. Ja nie proszę o nic. Ja, czyli Cartafilus. Tak, to ja. Johannes Buttadeus to też ja. Salatiel ben Sadim, to ja, Ahaswer to ja. Ale kim jestem? Vade citius vade, quid moraris... Ego vado... to zdarzyło się kiedyś. Ależ tu śmierdzi, jak długo jestem w tych ciemnościach? Głosy? Naprawdę ktoś mówi? Do mnie mówi! Kobieta!... Zgrzyty... Gwiazdy. – Kto tu?!

Pułkownik szedł wąskim korytarzem, witany i żegnany zarazem stuknięciami obcasów. Wartownicy, kiedy ich mijał, wyprężali ciała, wyciągali do góry szyje, podnosili dłonie do skroni.

Stali co dwadzieścia metrów, po obu stronach korytarza, pilnując wszystkich drzwi. Posadzka dudniła szybkim rytmem jego kroków. – Wiedzą, czy nie – myślał idąc coraz szybciej. – Wiedzą, że mi uciekł? – starał się znaleźć informację w nieruchomych twarzach strażników, uchwycić jakiś drobny grymas, błysk oczu – cokolwiek.

Jednocześnie pytanie powtarzane w myślach miało drugie znaczenie. Uświadomił je sobie z trudem: bowiem zbyt jawnie odkrywało rodzącą się w nim nieufność. A jednak pytał w myślach, wiedzą czy nie wiedzą WIĘCEJ NIŻ JA?

W sekretariacie Adiutant poderwał się na jego widok.

– Wracam prosto z akcji, nie udało się, ale podobno to nie pierwszy... Ktoś tu uważa mnie za idiotę! – krzyknął Pułkownik znienacka, spoglądając wściekle na Adiutanta. Błyskawicznie ocenił go według kryterium, które całkowicie nim zawładnęło: – Wie więcej ode mnie?

Wzrok Adiutanta nie zdradzał niczego. Wyraz twarzy – też nie. Nie, chyba nic nie wie, pomyślał z ulgą.

– Ależ Pułkowniku.

– Co ależ, co ależ... – przedrzeźniał Adiutanta. – Ja mam dosyć.

Adiutant patrzył niepewnie.

– Koniec z pieprzeniem o Zagładzie... Ja chcę prawdy.. Aha, żebyś nie myślał, nie przyszedłem tutaj tłumaczyć się z nieudanej akcji. Ja oczekuję wyjaśnień. Albo dowiem się wszystkiego albo... nie ruszę więcej nawet palcem! Nie zapomnij powtórzyć tego szefowi!

Zacisnął dłoń na szczęce Adiutanta i zbliżył jego twarz do swojej. – A może ty... – Pułkownik przeszedł od krzyku do konfidencjonalnego szeptu. – A może ty... wiesz coś... o tej sprawie – dokończył wreszcie i zastygł w niemym wyczekiwaniu.

Adiutant ze zdziwienia zamrugał oczami.

– Przysięgam, rozumiem z tego mniej niż pan – wycharczał.

Pułkownik opanował się, poprawił poły płaszcza, z których kapała woda, odsapnął.

– Przepraszam – powiedział cicho – zamelduj mnie i nie zapomnij powiedzieć, że tym razem nie dam się spławić.

– Rozumiem. To przemęczenie. Proszę się nie przejmować nieudaną akcją, złapiemy go na pewno. Teraz nie można oczywiście mówić o niczyjej winie, nikt pana nie...

– Idź już!

Adiutant zniknął za drzwiami prowadzącymi do gabinetu zwierzchnika.

Po minucie wyszedł.

– Szef przyjmie pana za kwadrans. Prosił, żeby pan poczekał tutaj – wskazał na wygodny, skórzany fotel – może pan zdejmie płaszcz.

Pułkownik pokręcił głową.

– A może napije się pan czegoś?

– Nie.

– Ależ historia z tymi psami – Adiutant uznał za stosowne kontynuować rozmowę – paskudne, zdumiewające zdarzenie... Pułkownik odwrócił głowę, przyjrzał mu się jeszcze raz – a jednak on coś wie – przemknęło mu przez głowę... zresztą za kilka minut ja też będę znał całą prawdę. Kilka minut – Wyciągnął nogi przed siebie i zamknął oczy. Zobaczył wściekłe psy kąsające żandarmów. I starucha, który boso pędził po chodniku. I człowieka w budce telefonicznej wrzucającego raz za razem monety.

Trzeba czekać, trzeba czekać – pomyślał.

Wróżka wyjęła z kieszeni pudełko zapałek i zapaliła jedną. Wrzuciła płonące łuczywko do wnętrza kanału. Cała trójka nachyliła się nad otworem.

– Widzicie – powiedziała – jest tam, miałam rację! To stąd tak krzyczał.

– Nic nie widzę. – Starszy pokręcił głową.

Wrzuciła kilka zapałek. Ich płomienie rozświetliły czeluść studni i zanim zgasły wydobyły z ciemności sylwetkę leżącego na dnie człowieka.

– O! Rusza się – wyszeptał Młodszy. – Kim on jest?

– Zobaczycie. Uwaga! Teraz nikt nie może STĄD odejść. Szczególnie ty, Starszy. Wiem, że się boisz.

Gwałtownie zapragnął zaoponować.

– NIC nie mów. Wiem, że przez całe życie chciałeś dokonać czegoś wielkiego. Wytrzymaj jeszcze trochę.

– To nie ma zna...

– Owszem ma; posłuchajcie zaraz przemówię do tego człowieka.

– Ale kto to jest? – spytał Młodszy, ściskając jej rękę.

– Zaczekaj!

Wróżka ukryła twarz w dłoniach, uklękła przy otworze. Starszy i Młodszy pochylili się nad wylotem kanału. I wtedy usłyszeli słowa:

– Gwiazdy... Kto tu?... Ja, Ahaswer... kto tu?...

Kobieta westchnęła. Nadeszła chwila. Może to gwiazdy same ustawiły się nad trojgiem ludzi we właściwym porządku? Może?

NADSZEDŁ CZAS. TERAZ!

– Ahaswer wyjdź! – powiedziała do wnętrza studni.

Usłyszeli szelest.

– Ahaswer wyjdź!

– Po co mnie wołasz? Masz coś do jedzenia? Masz wódkę? – rozległ się zachrypnięty głos ze środka.

– Wyjdź to ci mnie, POWIEM CI KIM JESTEŚ!!

Wróżka wstała znad otworu. Młodszy przyglądał się skupionej twarzy kobiety. Światło latarni błądziło pośród jej ciemnych włosów. Była młoda. Była MĄDRA. Patrzył tylko na nią. Ubrana w wytartą skórzaną kurtkę i w skórzane spodnie z twarzą zastygłą w oczekiwaniu stała nad wylotem kanału, w samym środku nocy, w środku pustego miasta. Pośród oszalałych wieżowców, stała spokojnie i czekała samotnie. Dwaj mężczyźni mogli ją tylko obserwować. Usłyszeli dźwięk: ktoś wspina się po metalowych klamrach. Ze studni nad powierzchnię ulicy wychynęła siwa głowa. Starzec mrużył oczy oślepiony światłem latarni. Rozglądał się. Wróżka podała mu ręce, starzec skorzystał z jej pomocy. Po chwili stanął niepewnie na szeroko rozstawionych bosych stopach. Starszy spojrzał na jego twarz. Ależ tak, znam go! – pomyślał z radością.

– To ciebie szukają – krzyknął. – Wiem już! – Potem zaczął biec. Pędził do najbliższego telefonu. Musiał być PIERWSZY. Całe życie chciał być kimś. Czuł, że to, co ma zrobić, jest ważne. Naprawdę istotne dla świata.

Młodszy zdziwił się.

– Dokąd on pobiegł?

Wróżka nie słyszała pytania.

– To jest Ahaswer – powiedziała wskazując Starca.

– Tak to JA – potwierdził.

– No i co jeszcze możesz powiedzieć o sobie? – spytała.

– Kim jesteś? – nie wytrzymał Młodszy.

– Jestem głodny, uciekałem – gonili mnie policjanci. Gonią mnie, gonią, a ja uciekam, boję się, strach pomieszał moje myśli – mówił bezładnie, zacinając się.

– Ile masz lat? – Wróżka chciała go zmusić do myślenia.

– Zapomniałem, nie pamiętam wielu rzeczy, pomożesz mi?

– Jak?

– Przypomnij mi.

– Po to przyszłam.

Ahaswer dotknął jej twarzy. A więc nadchodzi kres jego strachu. Do skołatanego mózgu zaczął wlewać się spokój.

– Dlaczego mnie gonią?

Młodszy przypomniał sobie telewizję.

– Przecież on uciekł ze szpitala wariatów, jest niebezpieczny, dlatego chcą go złapać. To proste.

– On nigdy nie był w żadnej klinice pschiatrycznej. Nie istnieje taki rodzaj obłąkania, który skłoniłby Oddział Specjalny do interwencji... Nie odzywaj się, słuchaj! – Wróżka popatrzyła na Młodszego, a on dostrzegł na jej ustach przyjazny uśmiech.

Jest MĄDRA – pomyślał po raz drugi.

– Gonią mnie, wyważają drzwi moich mieszkań i straszą karabinami. Dokądkolwiek pójdę, zawsze mnie znajdują!

Ahaswer zaczął dyszeć i mówić coraz prędzej.

– Nie mam się gdzie schować, ile czasu już uciekam? Boję się ich i nie mogę z nimi rozmawiać. Już późno, pora spać, pomóż mi! – zaczął jęczeć i płakać.

Wróżka potrząsnęła nim.

– Słuchaj uważnie. Przypomnij sobie, wiele lat wstecz. Byłeś odźwiernym w domu prokuratora Judei. Wołano wówczas na ciebie Cartafilus.

– Pamiętasz ten dzień kiedy skazano młodego Mężczyznę na śmierć? Kiedy wyprowadzano go z budynku, uderzyłeś go pięścią mówiąc: „Vade Jesus citius vade; quid moraris?" Co on ci odpowiedział?

– Ego vado et expectabis donec veniam – powiedział wolno Ahaswer. Na jego obliczu malował się ogromny wysiłek. Złapał się za głowę.

– Jesteś Żydem Wiecznym Tułaczem. Nieśmiertelnym człowiekiem oczekującym na koniec świata.

Ale to nie wszystko. Z twoim losem sprzęgły się losy wszystkich ludzi. Od twoich poczynań zależą Dzieje Świata. Bo żyjesz wiecznie, a świat podporządkowany jest twoim myślom. Chodząc po ziemi, wzbudzasz drgania atomów. Od nich biorą początek sploty wydarzeń, długie ciągi przyczyn i skutków, deterministyczne łańcuchy.

Ty, jedyny, żyjący wiecznie, wyznaczasz swoimi czynami i myślami bieg tych wielkich rzek zdarzeń, z ciebie biorą one początek. Nadajesz kształt wydarzeniom, które dzieją się w tej rzeczywistości.

Cały świat drga, a ty wyznaczasz jego rytm. Chcą cię złapać, żeby mieć wpływ na wydarzenia, żeby mieć władzę. Nie mogli cię pojmać, bo twój STRACH obracał wypadki na niekorzyść goniących.

Melancholia i obłęd dyktują warunki tej rzeczywistości, a przyczyną tego jest twój chory mózg. Szukają cię, ale to już agonia. Twoja głowa objęta jest pożarem. Sączy się z niej smutek i ciemność. Już prawie nikt nie potrafi powziąć decyzji, która mogłaby coś zmienić, naprawić.

Tęsknota i mrok wylewa się z ciebie, z twoich ciężkich ruchów. Świat ubożeje, bo tobie uciekają z głowy elementy rzeczywistości. Jeszcze kilka miesięcy, a ciemności, które panują w twojej głowie, zaczną wypełniać się tym, co tkwi w tobie najgłębiej. A tego nikt już nie zniesie.

Ahaswer upadł na kolana. Wstrząsały nim dreszcze. Tworzył się od nowa. Zapomniane setki lat wdarły się do jego świadomości wypierając pustkę. Stawał się od nowa, po raz pierwszy od wielu lat się nie bał.

– A więc to tak – zawołał Młodszy.

– Chcą go złapać, wiesz już dlaczego? – rzekła Wróżka.

– Tak! Ale wzorce, które zniknęły: metry, sekundy. Bomby, pożary, których nikt nie gasi?

– To on. To jego stan psychiczny przegląda się w lustrze Świata. W jego głowie od tylu lat gościła szarość coraz bardziej gęsta, światło powoli ciemniało, a w końcu w jego głowie zagnieździła się noc. To depresja. Jego świat przestał być spójny, zrozumiały. Stał się światem samotnym, z którego znikają elementy rzeczywistości. Ciemność to przestrzeń psychotyczna. W jego świecie, a także w naszym nie istnieje już wspólne przeżywanie. Porozumienie może być tylko realizowane przez dziką agresję. Stąd bomby, które wybuchają. Bezradni ludzie w melancholicznej zadumie przyglądają się płonącym miastom.

Wymierzyła palec w Ahaswera.

– I to jest prawda o tobie Ahaswer. Siejesz smutek, więc zrób coś ze sobą. Przez ciebie ludzie nie wierzą już nawet w metry i sekundy... Musisz wydobyć się z tego! Musisz to zrobić! Tyle wiem o tobie, tyle usłyszałam.

Uważaj na ludzi, którzy chcą cię złapać. Nie możesz do tego dopuścić. Ale nie wolno ci się bać. Oni będą próbować. Być może ostatni raz, ale spróbują. Pamiętaj, oni nie są mądrzy. To wszystko Ahaswer. Przyszłam, żeby ci to powiedzieć.

Spojrzała na Młodszego.

– Chcesz jeszcze o coś zapytać?

Pokręcił przecząco głową. Patrzył na Wróżkę z uwielbieniem. Ahaswer klęczał, Młodszy patrzył na kobietę, kobieta patrzyła w niebo. Nagle Młodszy przerwał ciszę:

– A dokąd pobiegł Starszy?

Wróżka uśmiechnęła się.

– Poszedł poinformować Oddział Specjalny o tym, że człowiek, którego szukają, jest tutaj. Musisz go zrozumieć, on jeszcze nie dokonał w ŻYCIU niczego ważnego.

Nagle zwróciła się do klęczącego człowieka. Wyciągnęła pistolet. Podała go Ahaswerowi.

– Wiesz, co to jest? Umiesz się tym posługiwać?

– Tak!

– W magazynku jest sześć naboi.

– Dziękuję. Dziękuję za wszystko. JUŻ WIEM. ROZUMIEM. NIE BOJĘ SIĘ.

Wróżka otarła pot z czoła. Młodszy zbliżył się do niej. Teraz gwiazdy zatrzymały się na niebie dla niego. Był zwykłym człowiekiem, a ona była młoda. Była mądra... Objął ją, przytuliła się do niego. W jej oczach RZECZYWIŚCIE odbijał się świat. Zapragnął stać się częścią tego odbicia. Tak nakazywał mu umysł i instynkt.

Odeszli razem, młoda kobieta i młody mężczyzna, zostawiając klęczącego Ahaswera. Zapomnieli o wszystkim co się zdarzyło.

Starszy biegł przez Miasto. Brakowało mu tchu. Płuca buntowały się przeciw takiemu pośpiechowi. W ustach czuł gęstą ślinę. Krztusił się. W jego mózgu słowa rodziły się z olbrzymią szybkością. Musi zapewnić im dopływ. Inaczej pęknie mu głowa. To była euforia. Nogi niosły go same. Stawał się. Pluł ciągnącą się śluzowatą śliną, krztusił się, krzyczał i biegł.

– Było warto się urodzić... Naprawdę. Dobrze, że się urodziłem. Znam teraz swoją WARTOŚĆ. Mam swoją WARTOŚĆ!!! Telefon. Żeby prędzej... Już!

Zatrzymał się. Dyszał. Naprzeciw olbrzymiego gmachu z białymi, lśniący schodami, stała budka telefoniczna. W środku był człowiek.

– O czym można rozmawiać o czwartej nad ranem? – Starszy zdziwił się. Lecz człowiek w budce nie rozmawiał, tylko wybierał numery. Starszy zdenerwował się. Zastukał w szybę.

– Co pan do cholery wyprawia!?

Tamten nawet nie zareagował.

– Ach ty! – Starszy szarpnął drzwi, chwycił człowieka za ramię. – Co robisz! – wrzasnął porządnie już zły.

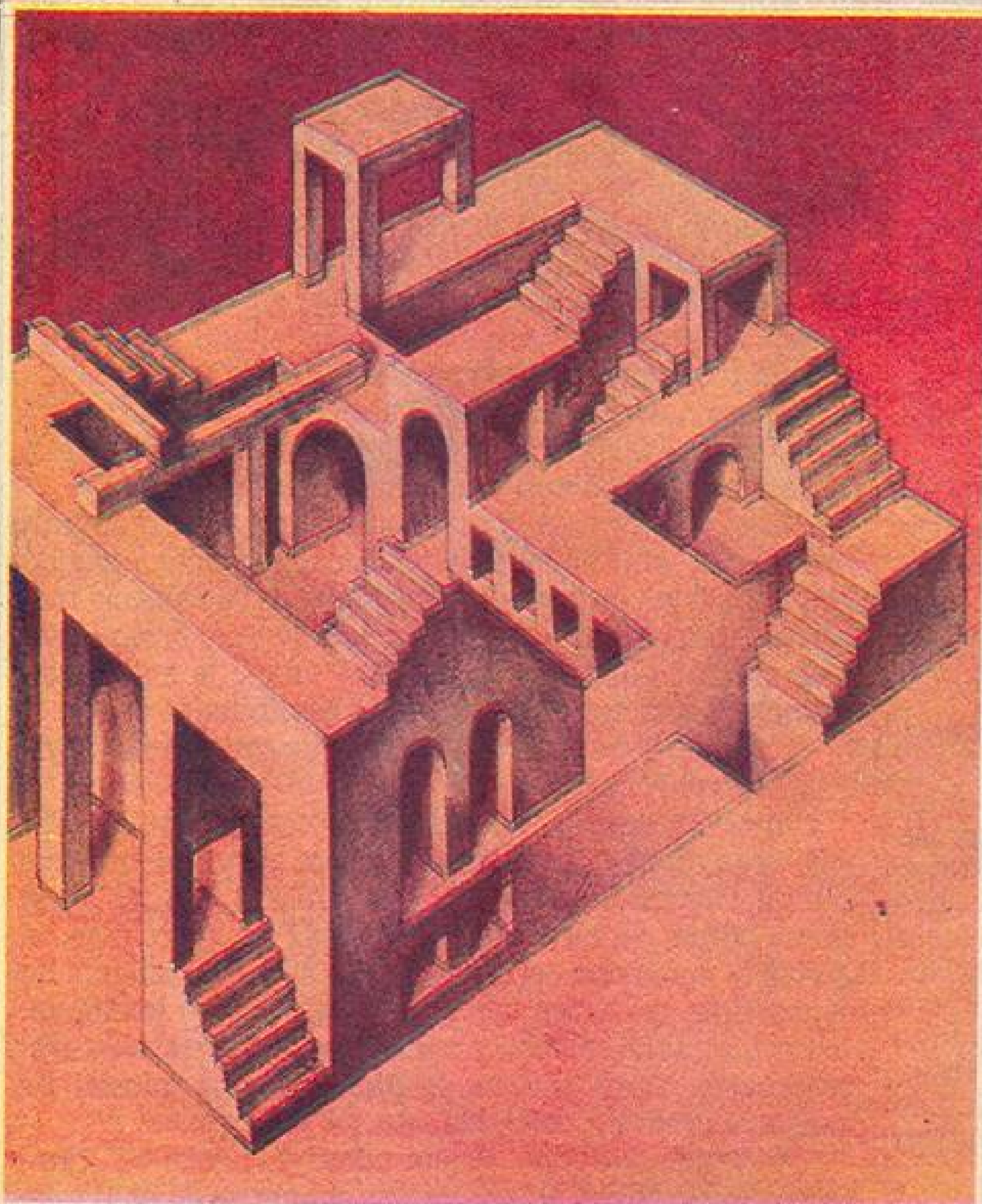
– Odejdź – usłyszał – przeszkadzasz mi. Ja szukam numeru – głos tamtego był dziwnie spokojny, cichy – znajdę go i dam ci też porozmawiać. To magia. To zaklęcie magiczne – ten numer – rozumiesz? Na świecie brakuje zaklęć, nie ma gdzie ich stosować. A tutaj... Ja znajdę ten numer... szukam go już dwa dni... kombinacja cyfr.

– ...Cyfr?... jakich cyfr? – Starszy nie rozumiał... – Cyfr – powtórzył głośno.

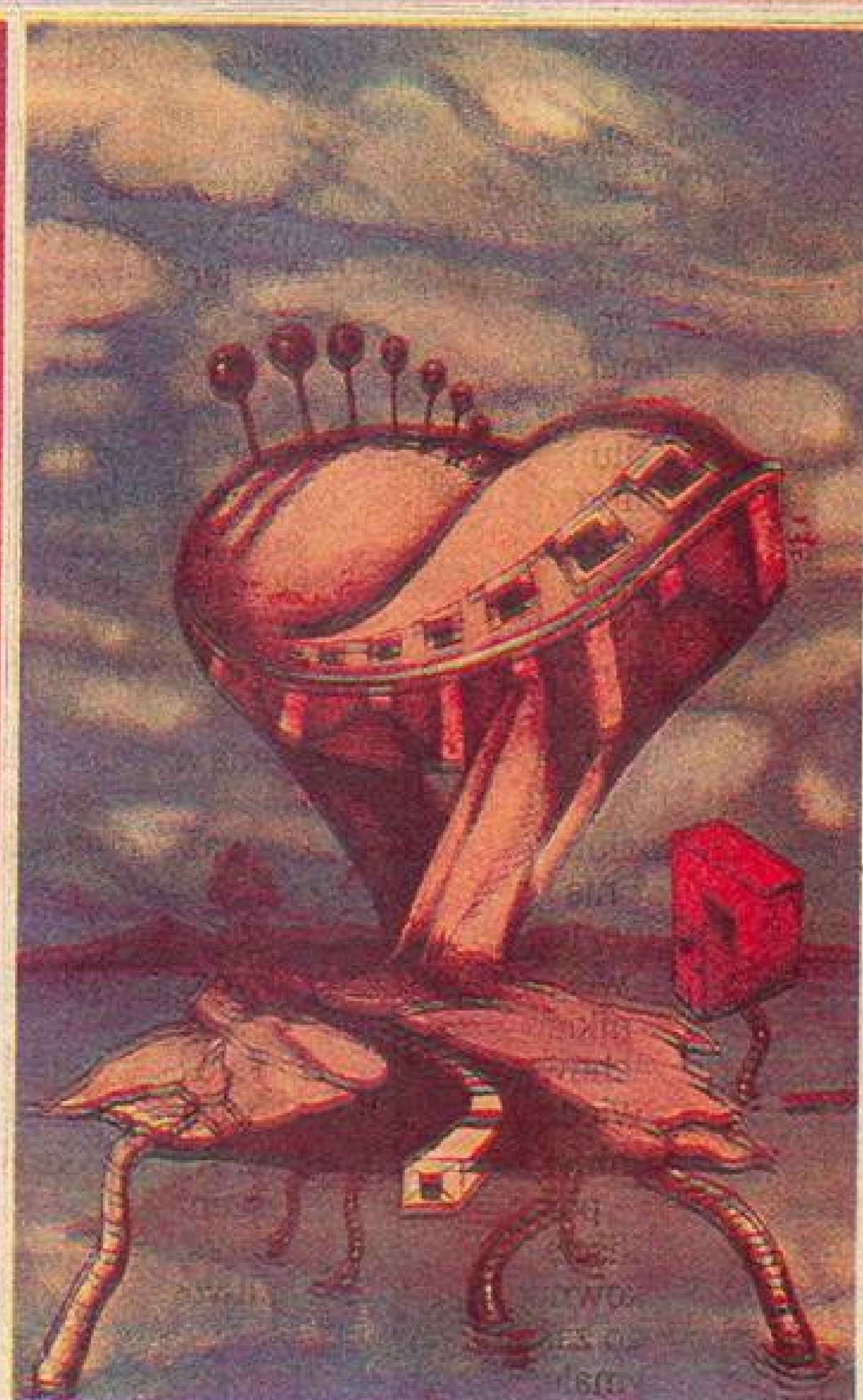
Umysł Starszego niespodziewanie ogarnęła pustka. Cisza. Brak myśli. Po sekundzie w jego głowie zaczęła się burza. Olbrzymi kataklizm pod czaszką. To, że biegł przez Miasto, że niedawno dowiedział się, po co żyje, że gwiazdy poruszają się dla NIEGO... Że MIAŁ zadanie do wykonania, że zaczął żyć godnie, że w ciągu jednej godziny nadrabiał zaległości całego życia – to wszystko eksplodowało. Tamy puściły. Z głębi mózgu wydostał się prastary program działania.

– CYFR!!! – zaryczał. Potem uderzył w żołądek. Tamten pochylił głowę, wtedy Starszy rąbnął go od dołu między oczy.

◄ Małgorzata Sawko ▲



Czesław Kabala



Chciał zniszczyć tego gnojka. Więc rozbił mu usta. Potem zmasakrował nos kolanem. Kiedy zaczęły go boleć pięści, kopał – gdzie popadło. Napadnięty zaczął się osuwać na ziemię. Wówczas ciosy Starszego spadały na twarz i klatkę piersiową. Starszy dyszał. W końcu przestał bić. Przypomniał sobie o zadaniu. Złapał leżącego za ręce i wyciągnął z budki.

– Jak można być takim... takim... idiotą? – powiedział do siebie, układając tamtego na trawniku przed WIELKIM GMACHEM.

Pobity szeptał: – Już byłem blisko... bardzo blisko... numer. – Miał pękniętą wątrobę, umierał.

Tymczasem Starszy dopadł telefonu. Przyciskał klawisze.

– Oddział Specjalny?

– Tak, słucham.

– Chciałem powiedzieć, że... – Rozejrzał się dookoła, jak wygląda świat w takim momencie?

– Proszę mówić.

– Otóż... – Coś dławiło go w gardle, lecz poradził sobie szybko: – WIDZIAŁEM GO!! – Wbrew oczekiwaniom, nie zauważał wokół żadnych znaków na niebie. – Widziałem go przed chwilą...

– Kogo?

– Siwowłosego Starca, Ahaswera!

– Proszę chwilkę zaczekać... O już dobrze. Od tej pory rozmowa jest nagrywana, czy mógłby się pan przedstawić?

– Po co?

– Jeżeli informacja okaże się prawdziwa, otrzyma pan nagrodę.

– Nazywam się...

Pułkownik popatrzył na zegarek i na Adiutanta.

– Długo jeszcze?

– Doprawdy Pułkowniku... sądzę, że szef ma powody.

– Powody!? On ma powody? – powtórzył Pułkownik. – Znudziło mi się – dodał podnosząc się z fotela.

– Bardzo proszę – głos Adiutanta był drżący – jeszcze dwie minuty...

– Dobra. Potem wchodzę do niego i spróbujcie mnie zatrzymać!

Usiadł w fotelu.

No cóż, to tylko chwila – myślał, patrząc na sekundnik swojego zegarka. Zaraz dowie się wszystkiego. Przełożony musi wyjaśnić, jaką rolę odgrywa ten starzec, dlaczego nie można go złapać.

„Szefie, domagam się prawdy" – obmyślał początek rozmowy.

Rozległ się stłumiony huk. Kątem oka zobaczył skaczącego przez biurko Adiutanta, który wpadał do gabinetu szefa. Rzucił się za nim. Poczuł zapachu prochu. Adiutant z bezradnie opuszczonymi rękami wpatrywał się w fotel umieszczony w rogu pokoju. Siedział w nim szef miotany agonalnymi drgawkami. Jego dyndająca tuż nad podłogą dłoń ściskała pistolet.

– Lekarza! – wyrwał się z osłupienia Adiutant. – Gdzie jest lekarz !!!

– On ma dziurę w głowie – zauważył Pułkownik. – Lekarz nic już nie zrobi.

– To straszne, to straszne. Dlaczego?

Do pokoju weszli strażnicy. Dowódca wyprężył się przed Pułkownikiem.

– Proszę zachować spokój – powiedział. – Straż była uprzedzona. Wiedzieliśmy, że on chce to zrobić.

Pułkownik zmierzył go wzrokiem. A więc jednak oni coś wiedzieli! – pomyślał z rozgoryczeniem.

– I nie zrobiliście nic, żeby temu zapobiec?! – wrzasnął Adiutant. Pułkownik nie miał wątpliwości, że ta śmierć rzeczywiście go zaskoczyła.

– Taki otrzymałem rozkaz – wyjaśnił Dowódca Straży, po czym zwrócił się do strażników: – Wynieście zwłoki.

Czterech jego ludzi usunęło trupa z gabinetu.

Szef strażników przyjął postawę zasadniczą.

– Panie Pułkowniku – jego głos stał się uroczysty – Informuję, że przejmuje pan od zaraz dowództwo Oddziału Specjalnego.

– Co takiego? – nie potrafił zebrać myśli. Był niczym widz, który zgubił wątek odgrywającego się przed nim widowiska. Dopiero teraz stracił naprawdę grunt pod nogami. Słowa Dowódcy Straży ledwie do niego docierały.

– Mam dla pana list szefa. – Pułkownik machinalnie wyciągnął dłoń po białą kopertę. – Koniecznie, niech pan to przeczyta; jak najprędzej.

– Tak, oczywiście... jak najprędzej. – Starał się ukryć swój stan psychiczny.

Dopiero teraz zaczynało do niego docierać, że nie ma już kogo zapytać. Nie ma kogo prosić o wyjaśnienia.

Sam teraz jest na szczycie piramidy, sam musi wydawać rozkazy.

– Ależ tu zadymione... – Dowódca Straży kaszlnął i chcąc przerwać zadumę Pułkownika zarządził: – Przewietrzyć natychmiast!

Strażnicy otworzyli okna.

– Panie Pułkowniku, przypominam o liście.

– ... A tak, dziękuję – spojrzał na trzymaną w ręku kopertę – naturalnie! Może pan odejść.

Tamten zawahał się przez ułamek sekundy, potem skinął ręką na swoich ludzi.

– Pan również może stąd wyjść!

Adiutant wyprężył się, wykonał przepisowy skłon, zrobił w tył zwrot i opuścił pomieszczenie.

Złośliwy los, pomyślał Pułkownik. Usiadł w fotelu, na którym skonał jego poprzednik na tym stanowisku. Przez okna wpadło do gabinetu duszne powietrze lipcowej nocy. – To koniec. Nie mogę dowodzić Oddziałem nie znając całej prawdy. Chyba że list!...

Otworzył kopertę. Ręce mu drżały. W środku znajdował się papier z pismem szefa i mniejsza koperta starannie zaklejona. Odłożył ją na później. Zaczął czytać pierwszą część listu i odetchnął z ulgą.

Szef doskonale wiedział, o co chce go zapytać podwładny. Informacje, jakie Pułkownik znalazł w liście, były zdumiewające. Przyjmował niewiarygodne prawdy z wielką wdzięcznością, gdyż dawały mu spójny nareszcie obraz rzeczywistości, bez którego nie mógł być Szefem całości. Kiedy skończył czytać, zdawało mu się, że wie wszystko.

A więc Zagładę spowodował obłęd starca, który uciekł mu dziś wieczór – porządkował uzyskane wiadomości. Starzec ten jest prawdopodobnie nieśmiertelny – stąd skojarzenia z Żydem Wiecznym Tułaczem. Wzruszył ramionami, przypominając sobie legendę o Cartafilusie, który ponaglał Chrystusa niosącego krzyż. Jako pokutę za ten czyn Cartafilus otrzymał nieśmiertelność. Według legendy, czeka na powtórne przyjście Jezusa na świat, wtedy jego tułaczka się skończy. Ten starzec, na którego dziś polował, jest owym Cartafilusem, czy też jak go nazwają inaczej, Ahaswerem. Nieśmiertelny, nieświadomie wpływa na naszą rzeczywistość, dając początek ciągom przyczyn i skutków. Jego mózg generuje drgania atomów, jest centrum świata, w konsekwencji losy wszystkich ludzi zależą od jego nastrojów. Kiedy się boi, nie można go złapać, bo jego strach powoduje taki splot okoliczności, że zawsze udaje mu się umknąć. Zagłada jest zatem obrazem głębokiej depresji, w jakiej pogrążył się jego umysł. Muszę go złapać i poddać LECZENIU – postanowił. Spojrzał jeszcze raz na list:

„... którzy zginęli dziś wieczorem zagryzieni przez psy to jeszcze jeden dowód, jeśli ciągle potrzebujesz dowodów. Sekcja zwłok wykazała przeciążenie przywspółczulnego układu nerwowego, charakterystyczne dla depresji. Ich mózgi zawierały obniżony poziom amin katecholowych. Ich reakcje psychiczne musiały być przedłużone, dlatego psy nasłane przez strach Ahaswera tak ła-

two dały sobie radę z twoją grupą żandarmów. Nie musisz sobie niczego wyrzucać, nie tobie pierwszemu uciekł..."

Złapać go, koniecznie! Wszystkie te cholerne kompleksy, lęki, parszywe nastroje – to całe drżenie neuronów musi ustać!

Siegnął po mniejszą kopertę i rozejrzał się za nożem do papieru. Zadzwonił telefon.

– Panie Pułkowniku, WIEMY GDZIE JEST STARZEC!!

– Tak?

– Dostaliśmy informację. Okazała się prawdziwa. Śledzimy go cały czas. Co robić, Pułkowniku?

– Gdzie on jest?

– Zmierza w kierunku Najwyższego Budynku Świata.

– Niech pan zaczeka!

Pułkownika ogarnęła werwa i zapał. Znów wzniósł się na szczyt możliwości działania i osiągania celu. Spokojnie, tylko spokojnie – powtarzał w myślach. Nie mogę go przestraszyć, bo wszystko na nic. Co robić? – głowa Pułkownika była pusta. Był jednak pewien, że znajdzie rozwiązanie.

We właściwej chwili przyszła mu do głowy odpowiedź: Muszę go zwabić!!! Tyle razy się nie udawało, ale teraz musi! Sam przyjdzie do mnie!

Wsadził do kieszeni mniejszą kopertę. Jest już zbędna, wiedział przecież wszystko. Tylko powód samobójstwa szefa był niejasny. Ale teraz trzeba działać!!! Podniósł słuchawkę.

– Niech na bramie NBŚ natychmiast sporządzą duży napis: AHASWUER, CARTAFILUS. Te same napisy powinny wyznaczać drogę na najwyższe piętro. Teraz uwaga! Kiedy starzec wejdzie do środka, niepostrzeżenie podążać za nim. Powtarzam, niepostrzeżenie! Musicie zwabić go na szczyt. Ujawnicie się wtedy, gdy nie będzie miał drogi ucieczki. Jeżeli nie zechce się poddać – musicie go zastrzelić.

– Panie Pułkowniku, do tej pory mieliśmy surowy zakaz otwierania ognia!

– Powiedziałem STRZELAĆ!! – ryknął. – Budynek będzie mógł opuścić jako więzień lub trup! Będę na miejscu za pół godziny, ale zaczynajcie beze mnie. Nie możecie czekać. Jasne?

– Tak jest!

– No to, powodzenia!

Za oknami zaczynało świtać. Przypomniał sobie, że odesłał samochód do garażu. Niech będzie taksówka. Nawet lepiej nie brać służbowego wozu, żeby się nie dekonspirować.

Wezwał Adiutanta. Zażądał czystego ubrania, jedzenia i zamówienia taksówki. Po sześciu minutach schodził już na dół. W biegu schował do kieszeni nowego munduru małą zaklejoną kopertę. Zamierzał otworzyć ją w samochodzie.

Marmur schodów błyszczał w promieniach słońca. Pułkownik spojrzał na gmach – wróci tu jako tryumfator. Na trawniku zaskrzeczał paw. Przyglądał się Pułkownikowi setką oczu umieszczonych na piórach ogona.

Ulice tego Miasta są szerokie. Wschodzi słońce. Cóż mogę dać z siebie?

Świat – to mój strach, to mój lęk... Nie wiem co uczynić... Nie byłem dobrym człowiekiem – za długo się bałem. – To dlatego, że tak długo żyję.

Dokąd iść, kogo prosić o radę? Tych, którzy chcą mnie złapać? Jaki olbrzymi budynek! Moje imiona na drzwiach?!

W taksówce Pułkownik obserwował ze zdziwieniem wzmożony ruch na ulicy.

– Wie pan, że wczoraj w nocy nie było żadnej eksplozji? – zagadnął kierowca, który zauważył zdumioną minę pasażera. – Niech pan patrzy, ile samochodów! Wszyscy chcą zobaczyć z bliska ten olbrzymi budynek.

– Proszę prędzej!

konkursy

Dariusz Zaręba – „Reinkarnacja 2000"
wyróżnienie w konkursie fotograficznym







– Nie mogę. Za duży ruch. A przecież jest tak wcześnie. Dawno tego nie widziałem.

Pułkownik milczał. Rozerwał małą kopertę. Wydobył z niej kartkę papieru. Przebiegł wzrokiem niekształtne litery, które kreśliła trzęsąca się ręka szefa. Włosy stanęły mu dęba. Opanował się. Przeczytał list jeszcze raz słowo po słowie. Minęła minuta. Nagle zmiął papier, pochylił głowę, potem – ROZPŁAKAŁ SIĘ.

Kierowca zatrzymał samochód.

– Co się z panem dzieje?

– Niech pan czyta. Głośno. – Pułkownik podał mu zmiętą kulę papieru. – No, no czytaj pan!

Kierowca rozpostarł kartkę i zaczął sylabizować:

– „Na trzy minuty przed śmiercią doszedłem do wniosku, że powinieneś poznać prawdę. Oszukałem cię. Za chwilę strzelę sobie w głowę. Ty siedzisz za drzwiami. Nie mogę z tobą rozmawiać, ale nie mogę również odejść z tym ciężarem. Dlatego piszę jeszcze raz... Na długo przed ZAGŁADĄ kilku mędrców odkryło i udowodniło konieczność istnienia na świecie kogoś takiego jak Ahaswer. Zachowano tę wiadomość w tajemnicy. Ludzie pragnący zdobyć władzę nad światem powołali do istnienia ODDZIAŁY SPECJALNE. Zostałem szefem tych formacji. Celem było odnalezienie tego człowieka i schwytanie go. Jako pierwsze zadanie otrzymaliśmy likwidację wszystkich uczonych, którzy mieli związek z odkryciem Ahaswera.

Wywiązaliśmy się z niego wzorowo. Oni jeszcze przed śmiercią ostrzegali nas, że wszelkie próby złapania Żyda Wiecznego Tułacza spełzną na niczym. Jego strach przed nami będzie rósł z dnia na dzień, w wyniku czego świat pogrąży się w mroku, lęku, agresji. Nie słuchaliśmy. Wobec perspektywy jaka rysowała się przed nami... któż uwierzyłby uczonym. JA wpędziłem Ahaswera w obłęd. Ja jestem ostatnim żyjącym spośród tych ludzi, którzy ściągnęli na świat ZAGŁADĘ. Ścigałem go całe lata. I patrzyłem, jak umiera świat. Nie potrafiłem się wycofać. Teraz jest za późno. Moją ostatnią nadzieją byłeś ty. Utrzymywałem cię w niewiedzy, sądziłem, że ona w jakiś sposób pomoże ci dostać tego cholernego s t a r u c h a .

To była jednak mrzonka.

On już jest na krawędzi.

Nie chcę oglądać tej chwili, kiedy ciemność panująca w jego umyśle wypełni się maszkarami, kiedy Ahaswer stoczy się w schizofrenię, kiedy nasza rzeczywistość zaroi się od chorobliwych tworów jego podświadomej otchłani. Wiem, że powinienem był zostawić go własnemu losowi. Niestety, moja ambicja.

Dosyć.

Żegnaj Pułkowniku..."

Kierowca skończył czytać.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział.

Pułkownik przestał szlochać.

– Oszukał mnie, stary bydlak. Powinienem zostawić Ahaswera w spokoju – wycedził przez zęby.

– Daj pan spokój, to przecież żart. Proszę spojrzeć na ludzi. Uśmiechają się, po raz pierwszy od tylu lat.

Pułkownik otrząsnął się.

– Jedź już. Muszę to wszystko zatrzymać.

Imiona... moje imiona... Kto zadał sobie ten trud. Nie boję się, nie potrafię, nie potrafię się już bać. Dokąd zaprowadzą mnie moje imiona? Dalej, wciąż dalej. Co to za gra? Wyżej, wyżej, wciąż wyżej.

Kto maluje moje imiona na ścianach?

Siwowłosy starzec rozglądał się po ogromnym holu drapacza chmur. Na podłodze wyłożonej różową ceramiką, zobaczył napis, zrobiony czarną farbą: „AHASWER". Uśmiechnął się. Następny, taki sam ślad znalazł na drzwiach windy. Podszedł bliżej, winda otwarła się i w jej wnętrzu znowu ujrzał to słowo. Wszedł więc do środka. Drzwi natychmiast zasunęły się za nim i kabina ruszyła w górę. Obserwował zapalające się cyferki, zmieniały się z wielką szybkością. Winda zatrzymała się na ostatniej kondygnacji. Drzwi rozsunęły się, pozwalając starcowi odnaleźć dalsze tropy na ścianie korytarza. Bez wahania podążył drogą, którą wskazywały. Zaprowadziła go przed drzwi ostatniego pomieszczenia w korytarzu. Otworzył je i znalazł się w pokoju. Na ścianie wymalowane czarną farbą wyrazy: AHASWER, CARTAFILUS. Podszedł do okna, z którego rozciągała się frapująca panorama.

Ja, Ahaswer przestałem się bać. To miasto znacznie lepiej wygląda z góry...

Pułkownik wypadł z samochodu. Rzucił osłupiałemu kierowcy zwitek banknotów.

Roztrącał ludzi, którzy tłumnie przybyli, by podziwiać otwarcie Największego Budynku Świata. – STAĆ!! – krzyczał w kierunku drzwi wejściowych. Niestety, nie było tam żadnego policjanta.

★

Wróżka oddała pocałunek Młodszemu.

– Kocham cię – powiedziała.

★

Starszy z niecierpliwością oczekiwał nagrody.

Drzwi wyleciały z futryny. Starzec cofnął się pod okno. Zobaczył wycelowane w siebie automaty. Sięgnął do kieszeni, w której miał pistolet. Powoli, nie wyjmując go, odbezpieczył broń. Patrzył na żandarmów. Rysy twarzy mu tężały.

– Stój, pójdziesz z nami – usłyszał.

Ja Ahaswer... NAPRAWDĘ PRZESTAŁEM SIĘ BAĆ...

– Pomioty szatana!

Starzec błyskawicznie wyciągnął pistolet. Wystrzelił w kierunku drzwi. Zdążył to zrobić dwukrotnie. Jeszcze zobaczył osuwające się ciało któregoś z napastników. Żandarmi pociągnęli za spusty automatów. Kule poszarpały Siwowłosego Starca. Siła zmasowanego ognia wyrzuciła go przez okno. Spadał z olbrzymiej wysokości, z ostatniego piętra NBŚ. Pułkownik wbiegał właśnie do środka – gdy zobaczył wypadającego z okna człowieka. Zatrzymał się, zadarł głowę w górę, śledząc wraz z ludźmi jego lot.

– Słyszycie! – wrzasnął ktoś z tłumu.

Ludzie popatrzyli po sobie.

Słyszeli, wszyscy słyszeli odgłos uderzeń serca. I wszyscy zdawali sobie sprawę, że tak bije serce w agonii.

★

– Do widzenia. – Wróżka uroniła jedną łzę.

– Rozstajemy się? – zapytał Młodszy.

★

STARSZY Z NIECIERPLIWOŚCIĄ OCZEKIWAŁ NAGRODY.

★

Tłum na ulicach rozstąpił się przed cysterną z płynnym wodorem. W uszach kierowcy również dźwięk umilkł. Szofer przestraszył się uderzającego o maskę samochodu ludzkiego ciała. Odruchowo wykonał skręt i dodał gazu. Pojazd uderzył w ścianę drapacza chmur. Gigantyczna eksplozja targnęła powietrzem.

Pułkownik zobaczył w ostatnich sekundach życia ROZPADAJĄCY SIĘ wieżowiec.

Na kilka chwil przed tym nim pierwsze upadające elementy betonowej konstrukcji zapoczątkowały olbrzymią falę sejsmiczną, usłyszał jeszcze GŁOS TRĄB. Trwało to najkrótsze drgnienie czasu. Potem zamknął oczy.

Grzegorz Stefański

Grzegorz STEFAŃSKI

Urodził się w 1964 r. w Katowicach. Student V roku SGGW-AR (wydział weterynarii). Jeden z laureatów I Konkursu „Fantastyki" 82/83 za opowiadanie „Kawałek końca" („Fantastyka" nr 5/84), przedrukowanego w tomie pokonkursowym „Trzecia brama" (Wyd. Literackie, 1987). W „Spleenie nad miastem" daje Stefański wizję świata ogarniętego entropią (znaną już z opowiadania „Kawałek końca"), ale tym razem, oprócz odwołań mitologicznych, obficie wykorzystuje w tekście sprawdzone chwyty konwencji awanturniczej. Fikcja psychodeliczna – oto jak prywatnie określa sobie autor kierunek, w którym zmierza. Przygotowywane są opowiadania następne. (mp.)

Mikulska Julitta

(ur. 1928)

Prozaik, dramaturg, publicystka

Urodziła się 30 lipca 1928 r. w Grodnie. Ukończyła studia w Szkole Głównej Służby Zagranicznej. Debiutowała w Polskim Radiu oraz w „Almanachu Młodych" (1958/59) opowiadaniem „Zamarły świat". Jest autorką 23 książek o tematyce współczesnej, historycznej, sensacyjnej i literatury faktu. Swoje prace poetyckie zamieszczała na łamach prasy. Przez 17 lat (do roku 1974) pisała wspólnie ze swym mężem (Franciszkiem Bernasiem). Od tego czasu zarówno małżeństwo, jak i spółka autorska zostały rozwiązane.

Największym osiągnięciem byłej spółki autorskiej okazała się publikacja 8-tomowego cyklu książek popularyzujących genezę i przebieg II wojny światowej (m.in.: „Najazd", 1964; „Klęska", 1966; „W matni", 1967; „Za pięć dwunasta", 1969). Ostatni tom cyklu: „Upadek III Rzeszy" ukazał się w roku 1975.

Problem V Kolumny, dywersji, bohaterskiej postawy narodu polskiego w obliczu zagrożenia, a następnie bezpośredniej walki z najeźdźcą – kontynuowała Mikulska w innych książkach (m.in.: „V Kolumna", 1972; „Bydgoski wrzesień", 1968; „Reduta pod Wizną", 1970, „Przednia straż Hitlera", 1964; „Zamach na Hitlera", 1969).

Do 1975 r. Julitta Mikulska współpracowała także z wydawnictwem MON popularyzując tematykę walki z faszyzmem, przemocą i dywersją w seriach „Sensacje XX wieku", „BKD", „Labirynt". Opublikowała tu m.in: „Akcję Miecz Teutoński" (1963), „V bombę" (1968), „Szykujcie wieńce" (1971), „Pierwszy transport" (1973). Pod koniec lat sześćdziesiątych wystawiła w Teatrze Sensacji tv dwa widowiska „Piątą bombę" (1967) i „Kwiaty dla Sheili" (1968).

Autorka stałego felietonu ukazującego się co dwa tygodnie w czasopiśmie „Życie i Zdrowie", gdzie przez 9 lat pod pseudonimem „Farian" pisała „W kręgu lampy" (uprzednio przez 4 lata pisała felieton „Rozmyślania przy kominku"). W 1972 r. wydała powieść kryminalną „Klamka z mosiądzu" (inna jej powieść „White Star" ukazała się w prasie).

Julitta Mikulska jest również autorką książki **„Inanna"** wydanej w 1986 r. nakładem krakowskiego oddziału KAW. Powieść ukazuje narodziny przemocy i walkę z nią, kierując się mottem „Człowiek żyje po to, aby być wolnym" (zob. recenzję W. Sawickiego).

Książka „Inanna" jest tłumaczona na 4 języki europejskie – autorka podpisała również umowę na jej realizację filmową.

Mil Janusz

(1951–1985)

Pracownik naukowy, prozaik

Urodził się 25 lipca 1951 r. we Wrocławiu. Absolwent Politechniki Gdańskiej – w 1975 r. ukończył Wydział Elektroniki (specjalizacja: miernictwo cyfrowe). Był pracownikiem Ośrodka Obliczeniowego Politechniki Gdańskiej. Zmarł tragicznie 25 kwietnia 1985 r. w Gdańsku.

Jako autor SF debiutował (wspólnie z bratem Sławomirem) opowiadaniem „Klepsydra" zamieszczonym na łamach „Młodego Technika" (nr 1 z 1978 r.) Kolejne opowiadania (również przy współpracy z bratem) zamieszczał w „Młodym Techniku" oraz w antologii „Spotkanie w przestworzach" (KAW, 1982). W 1984 r. ukazała się powieść Janusza i Sławomira Milów **„Exodus VI"** (KAW), nawiązująca do różnych odmian literatury SF, ukazująca temat katastrofy uwikłany w rozważania socjologiczne (przypominające w pewnym sensie teorię przypadku Lema).

Bibliografia wybrana:

– M. Parowski, *Tandem i klepsydra*, (w:) „Fantastyka" 1985/9.

Mil Sławomir

(ur. 1946)

Pracownik naukowy, prozaik

Urodził się 16 sierpnia 1946 r. w Szubinie, woj. bydgoskie. Absolwent Politechniki Gdańskiej (1969) – Wydziału Elektroniki (specjalność – informatyka). W 1975 r. otrzymał doktorat na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Gdańskiej. Jest adiunktem w Instytucie Informatyki Politechniki Gdańskiej. Oprócz wspólnie opublikowanych z bratem Januszem utworów wydał kilka opowiadań zamieszczonych na łamach „Młodego Technika" („Kamień", 1983/9; „Perpetuum mobile", 1983/12; „Opowieść wigilijna", 1984/12; „Co nowego, koteczko", 1985/9); „Przeglądu Technicznego" („Indoktrynacja", 1985/17–19) oraz „Fantastyki" („Odwrót", 1986/3). Opowiadania Sławomira Mila dotyczą w dużej mierze modelowania procesów biologicznych i społecznych. Sławomir Mil jest także współautorem powieści **„Exodus VI"**.

Eksperyment

Wśród współczesnej twórczości polskiej literatury z gatunku science fiction rzadko raczej można spotkać utwory napisane przez kobiety.

Do tej pory, jeśli idzie o duże formy literackie, w zasadzie największe znaczenie miała twórczość Marty Tomaszewskiej („Serpente w raju"). Oprócz niej gatunkiem tym, realizując raczej wariant fantastyki poetyckiej i operującej w mniejszym stopniu wyobraźnią alegoryczną a bardziej projektującą, zajmowały się także Zofia Beszczyńska i Emma Popik.

A jednak pod koniec roku 1986 na firmamencie polskiej, kobiecej SF pojawiła się nowa postać. Nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Krakowie ukazała się powieść Julitty Mikulskiej „Inanna". Dziwna to książka i niełatwa dla czytelnika przyzwyczajonego jedynie do tzw. akcji w konserwie. Warto jednakże ją przeczytać, chociażby ze względu na styl i sposób konstrukcji utworu, jakim posługuje się Mikulska.

Pełna symbolizmu, zawoalowanych aluzji i poetyckich metafor „Inanna" jest jakby obrazem raju utraconego, który zamienił się dla bohaterki w swoistego rodzaju czyściec, i to nie tylko psychiczny. „Inanna" jest jednocześnie opowieścią o eksperymencie „stworzenia człowieka". W swojej historii Mikulska posługuje się wątkami zapożyczonymi z wielu religii świata, począwszy od wierzeń Sumerów, przez kulty ludów środkowo-amerykańskich, kończąc na parabolach związanych z religiami hinduistycznymi.

Opisany eksperyment polega na kreacji człowieka i społeczeństwa, które nie będzie w przyszłości stwarzało zagrożeń dla Uniwersum. Jednakże i przedstawiciele tego Uniwersum, którzy ów eksperyment przeprowadzają, nie są wolni od całkiem ludzkich przywar. Jak więc my, ludzie, mamy unikać w przyszłości błędów, które popełnialiśmy do tej pory, skoro już z założenia nasi twórcy zaszczepili nam ów pęd do samozniszczenia?

Nie wiem, czy powiódł się eksperyment przeprowadzany przez Niebian, ocenią to następne pokolenia, natomiast jestem przekonany, że sukcesem zakończyła się próba Julitty Mikulskiej, która w swej pełnej poezji, czasami zadumy, chwilami zaś będącej jednym krzykiem rozpaczy powieści przekazała nam dużo myśli, nad którymi powinniśmy się zastanowić.

Chwilami wydaje się, że nadmiar symbolizmu i metafor poetyckich zepchnie autorkę w kierunku krawędzi pretensjonalności. Jednak Mikulskiej udaje uniknąć tego niebezpieczeństwa. Bardzo interesujący okazał się język powieści, który można porównać do obrazów malowanych w konwencji ekspresjonizmu, a przedstawiających starą, biblijną historię stworzenia świata.

Trudna to i skomplikowana powieść, którą wrażliwy czytelnik może odebrać jedynie przez filtr swojej fantazji i podświadomości. Warto jednak po nią sięgnąć.

Wawrzyniec Sawicki

Julitta Mikulska: *Inanna*. KAW, Kraków 1986. Cena 220 zł.

Kronika strat

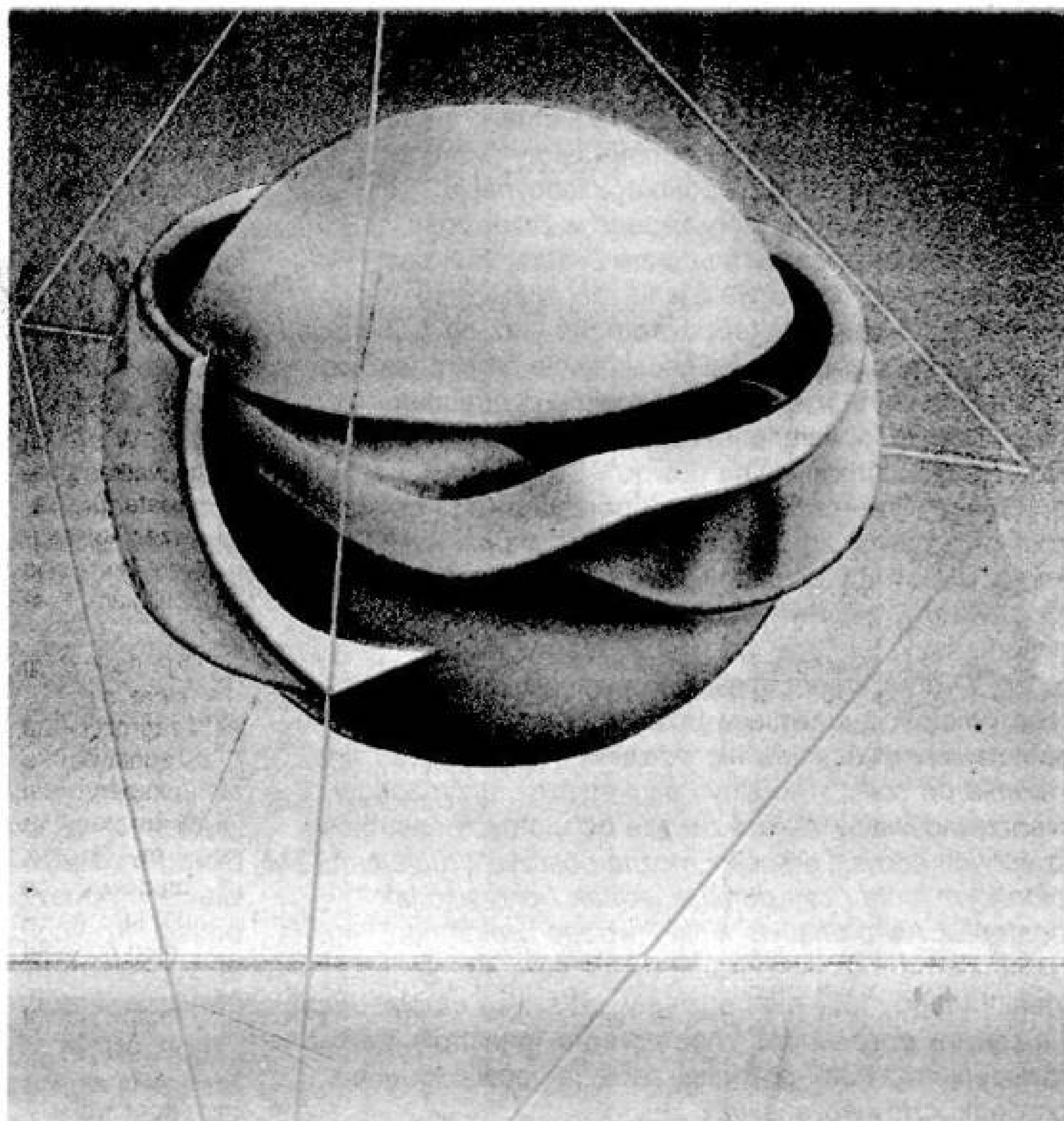
Janusz Mil
Sławomir Mil

ZERO Konflikt globalny
0h0m45s Rozpad globalnej sieci telekomunikacyjnej (zniszczenie krytycznej liczby łączy)
0h6m47s Utrata kontroli nad programami kosmicznymi (zniszczenie Central Lotów i 97% stacji pośredniczących)
0h32m Rozpad automatycznych systemów dystrybucji energii (zniszczenie krytycznej liczby alternatywnych magistrali)
0h48m Koniec konfliktu (ostatnie uderzenie sił kontrolowanych przez strony)

STOP! Początek rachuby czasu wg szkoły falklandzkiej
SALDO: 0,27% populacji, 38% dóbr materialnych rozmieszczonych peryferyjnie w stosunku do centrów okresu przedkonfliktowego
9h próba lądowania ostatniego samolotu transkontynentalnego
17h Ostatni przekaz telewizyjny
2 dzień Ostatni przejazd pociągu elektromagnetycznego (09.57 z Kamieńska do South Point)
13 dzień Ostatni samolot w powietrzu
52 dzień Ostatnia operacja przy zastosowaniu techniki biomedycznej
80 dzień Realizacja ostatniego programu maszyny cyfrowej (rozwiązanie układu równań 0 na m.c. IFN760)
133 dzień Ostatnia rozmowa telefoniczna
275 dzień Koniec pracy ostatniej bazy księżycowej (tlen 0,0%)
1 rok Utrata zdolności obsługi ostatniego statku pełnomorskiego
4 rok Ostatnie wydobycie minerałów (przejście na rabunkową gospodarkę zapasami)
8 rok Ostatni antybiotyk syntetyczny
27 rok Śmierć ostatniego człowieka rozumiejącego ogólną teorię względności
32 rok Śmierć ostatniego człowieka wyposażonego w sztuczny podukład (stymulator serca RCE 3178A)
48 rok Ostatnia szczepionka (rabies Y C)
61 rok Ostatni krótkodystansowy lot balonem na ogrzane powietrze
76 rok Ostatni lokalny przekaz radiowy (4,17 MHz)
79 rok Pierwsza niekontrolowana epidemia (Influenza Americana 43 E)
81 rok Ostatni wystrzał karabinowy
98 rok Koniec pracy ostatniej maszyny drukarskiej
121 rok Kres fizyki jądrowej i chemii fizycznej (przejście na koncepcję ciągłej budowy materii)
137 rok Ostatnia operacja wewnętrzna
192 rok Przejazd ostatniego samochodu o spalaniu wewnętrznym
194 rok Egzekucja ostatniego wyroku sądowego wydanego wg ustaw przedkonfliktowych (125 KK USSp 84)
243 rok Ostatnie zastosowanie energii elektrycznej (lampka oświetleniowa 5V)
298 rok Spłonięcie ostatniego konwencjonalnego archiwum danych (Biblioteka rejonowa VII C27 il. vol: 139921)
317 rok Ostatni przejazd pociągu parowego
398 rok Ostatnie użycie roweru
425 rok Ostateczne zapomnienie mechaniki klasycznej
453 rok Ostatnie użycie ropy naftowej do oświetlenia
499 rok Ostatnie użycie węgla kamiennego do ogrzewania
503 rok Redukcja matematyki do czterech działań prostych
515 rok Spłonięcie w atmosferze ostatniego sztucznego satelity
611 rok Przywrócenie równowagi biologicznej planety (spadek liczby mutacji do średniego poziomu przedkonfliktowego)
697 rok Ostatnie zwierzę domowe (ostateczna degeneracja zwierząt hodowlanych). Pełne przejście z hodowli na łowiectwo
738 rok Koniec eksploatacji włókien sztucznych (wyczerpanie zapasów) i przejście na skóry naturalne
814 rok Ostatnia świadoma obróbka żelaza (nóż prosty – eksponat IX d22)
1010 rok Pierwszy konflikt zbrojny bliskiego zasięgu
1477 rok Ostatnia obróbka metalu (ozdoba z cyny – eksp. LXXVI/f08)
1520 rok Ostatnie użycie pisma (niezidentyfikowany ciąg A-BRATH...)
1835 rok Ostatnie wykorzystanie żagla (jezioro strefy pn. III kontynentu)
2329 rok Ostatni wyrok sądowy oparty na prawie zwyczajowym
2573 rok Ostatnia próba uprawy ziemi (bilans plonów ujemny) i ostateczne przejście z rolnictwa na zbieractwo
2081 rok Budowa ostatniej drogi utwardzanej (kamień polny Ø 170)
3435 rok Ostatnie pseudopismo sylabo-obrazkowe
3613 rok Ostateczne przejście na system geocentryczny
3640 rok Krytyczna korozja ostatniego narzędzia metalowego
3872 rok Zaczątki ustroju niewolniczego (Arn Y – wspólnym niewolnikiem plemienia Chu)
4117 rok Ostatnie zastosowanie koła
4326 rok Konstrukcja ostatniej budowli z cegły (przejście na lepienie)
4902 rok Ostateczna utrata poczucia ciągłości dziejów (przejście na kalendarz naturalny)
5002 rok Ostatnia budowa łodzi sterowanej
5926 rok Ostatni bóg monoteistyczny
6320 rok Ostatnia legenda z czasów przedkonfliktowych (vide: złoty wiek)
7333 rok Pierwsze pismo obrazkowe drugiej generacji
8713 rok Pierwsze współczesne narzędzia z metalu
9544 rok Pierwsze budowle kamienne II generacji
10828 rok Pierwsza piramida schodkowa
14223 rok Ostateczne zjednoczenie dolnego i górnego Egiptu
20714 rok Pierwsza eksplozja nuklearna II generacji (Los Alamaos)

J. Mil i S. Mil, Kronika strat (w:) „Młody Technik" 1982/8, s. 52–53.

**Przygotował
Andrzej Niewiadowski**


Andrzej Brzezicki

Talent fantastyczny?

Przy końcu roku 1986 ukazała się w „Alfie" „Droga do science fiction – od Wellsa do Heinleina". Tom drugi antologii Gunna obejmujący lata 1900–1950 zawiera omówienia i fragmenty tekstów Wellsa, Forstera, Burroughsa, Meritta, Londona, Lovecrafta, J. Huxleya, Kellera, A. Huxeya, Weinbauma, Campbella, Kleinstera, Hamiltona, Williamsona, Sprague'a, Del Reya, Van Vogta, Asimova i Heinleina.

Tutaj w większym stopniu prezentuje Gunn pisarzy fantastycznych jako indywidualności. Więcej mówi o ich temperamencie, o doświadczeniach wewnętrznych i życiowych, o przekształceniach twórczości i czymś tak mało zależnym, od epoki i Ducha Czasu jak gust. Poznajemy lepiej różnych pisarzy – ujęcie Gunna nieco się zmienia – również w wyniku zmiany samej fantastyki i jej tła. Do fantastycznej gry oprócz galopującej nowoczesności naukowo-technicznej wchodzą redaktorzy pism, tysiące czytelników, słowem publiczność, a z nią wyspecjalizowani wydawcy, ludzie kina, radia, potem telewizji. Fantastyka zwraca nadal uwagę na wynalazki, na naukę, na przemiany świata pod ich wpływem, a po II wojnie światowej zainteresuje się także konfliktami politycznymi. Staje się jednak tworem bardzo różnorodnym jeśli chodzi o wyraz i o inspiracje.

Najbardziej wbiła mi się w pamięć trójka bohaterów tego drugiego tomu, która zadecydowała o kształcie fantastyki w naszym wieku. Zadecydowała, czy pozwoliła się temu kształtowi ujawnić? – oto problem. Pierwszym jest w każdym razie Wells (1866–1946), którego „Wehikuł czasu" (1895), „Wyspa doktora Moreau" (1896), „Niewidzialny człowiek" (1897), „Wojna światów" (1898) wyznaczyły na długo wielu autorom SF kierunek myślenia o przyszłości ludzkiego gatunku. Pisał Wells o naszych reakcjach na zagrożenia, czyhające na człowieka ze strony jego samego i najbliższego otoczenia, a także na wyzwania o wymiarze kosmicznym.

Wells był bardzo płodnym i bardzo różnorodnym pisarzem, mimo że nie dbał o formę artystyczną; cecha ta jest jedną z najczęstszych słabości autorów SF. Był również filozofem, oddawał się pisaniu dzieł, których przesłania skryte były za wartką fabułą i w eseistyce typu „mądrościowego" prorokował co stanie się z nauką, społeczeństwem, pisał o historii świata. Ten duch fantasty mądrego i niespokojnego, któremu beletrystyka nie wystarcza obudził się potem w Lemie. W latach trzydziestych napisał Wells scenariusz do filmu „Rok 2000" na podstawie własnej rozprawy „Kształt rzeczy, które nadejdą", w której przewidywał między innymi II wojnę światową. W filmie tym wyreżyserowanym przez Williama Camerona Menziesa znalazły się sceny bombardowania Londynu, co bardzo podobno rozśmieszyło londyńską widownię na premierze w roku 1936.

Dwaj następni bohaterowie drugiego tomu to Hugo Gernsback (1884–1967) i John W. Campbell (1910–1971) – redaktorzy pism lansujących science fiction. Pierwszy w „Amazing Stories" od roku 1926, drugi w „Astounding" od roku 1937. Obaj ukształtowali SF na obraz i podobieństwo swoje (Gernsback jest nawet twórcą terminu SF) i obaj zamknęli ją w getcie. Gernsback zamawiał u swoich autorów utwory w typie prozy Verne'a, Wellsa i Poego. Tym zamówieniem, mam wrażenie, określił trzy ścieżki SF aktualne do dziś. Może zresztą nie ma innych ścieżek? Verne to fantastyka techniczna, fantastyka wynalazku, przygody, czasem trafnej przepowiedni. Wells patronuje fantastycznej refleksji nad społeczeństwem, człowiekiem, cywilizacją, naturą ludzką, ale oglądanymi w perspektywie ogólnej; Wells nazywał swoje pisarstwo dziennikarstwem. Poe przynosi nam tematykę nadwrażliwej jednostki i jej jaźni, ujętej w sposób liryczny, wyszukany artystycznie. Poe był poetą, jego twórczość zapowiada nurt inner space; mistycyzm zawarty w jego dziele pisarze tacy jak Clarke rozciągnęli na przestrzenie kosmosu.

Campbell żądał fantastyki prawdopodobnej, „weryfikowalnej naukowo", utrzymanej w stylu rzeczowej rozprawy o tym, co by było gdyby. Miał Campbell chwilę dużej choć dwuznacznej wielkości w roku 1944, gdy utwór publikowany w jego magazynie tak wiernie prognozował przyszłościowe techniki militarne, że się zainteresowały magazynem, autorem i redaktorem służby bezpieczeństwa ochraniające tajny Projekt Manhattan. Z czasem nadto rzeczowe podejście Campbella do SF zaczynało ograniczać pisarzy. Autorzy zgrupowani wokół magazynu „Galaxy", ukazującego się od roku 1950, w większym stopniu

POKUTY

Są w poezji Adama Hollanka motywy podejmowane przez literaturę różnych czasów i epok. Motywy przemijania, oczekiwania na śmierć, odkrywania siebie w lustrach innych osób, poszukiwania sensu i istoty życia.
Jest w tej poezji jakaś niepokojąca fascynacja upływającym czasem, który zapada w przeszłość odmierzany pośpiesznym rytmem zegara. Jest coś nieuchwytnego, co pozwala w każdej wielkości i wzniosłości upatrywać jej odwrotność – to, co najbardziej niskie i odrażające. Przeświadczenie, że śmierć jest jedyną, ostateczną wartością życia, przepełnioną strachem, przerażeniem, obawą, a jednak czymś co pojawia się zawsze, nieuchronnie, „na pewno". Świat człowieka, który próbujemy rozpaczliwie scalić, uporządkować i opisać został już dawno zdruzgotany, rozpadł się jak strzaskane lustro. Budowany przez religię, sztukę, humanistykę okazał się zawodny, niepewny, obcy, poddany zagrożeniom historii, nauki, biologii. Co więcej, nie był światem jedynym, raczej wyobrażeniem, maską, konwencją, aniżeli rzeczywistością ujawnianą przez soczewki mikroskopów, chmurą atomów, *„która nie odróżnia liścia od ręki / ani wołania od rzeki"*. Brutalny i sadystyczny, przypadkowy i nieprzewidywalny zależał zawsze od ulotnych nastrojów, szalonych decyzji, emocji: *„można obliczyć / ruch tłumu / w płonącym kinie / czy porafisz jednak / przysiąc jak postąpisz / w płonącym kinie / wobec zemdlonej?"* – pyta Hollanek. I dopowiada: szukamy ideałów, ale nie jesteśmy idealni i nigdy tacy nie będziemy. *„Wszelka utopia, utopią na zawsze pozostanie"*. Więc porażka, katastrofa, bezradne rozłożenie rąk? Jak pozostać sobą, jak ocalić kruche przylądki człowieczeństwa?
Być człowiekiem to po prostu żyć, trwać w sensie biologicznym, próbować upartego przedostawania się przez *„pięcioksiągi mojżesza / almanachy mozgów / przez pajęczynę mądrości do wnętrza uczuć / ... / dotknąć miłości / zanim w powietrzu się rozpłynie"*. Świat jest taki, jaki jest: szorstki i miękki, jak trawa na rozgrzanej słońcem łące. I trzeba go przyjąć takim, jaki jest. Z całą wzniosłością i pospolitością, patosem i wulgarnością. Życie to raczej kicz niż sztuka. Niewiele z nim doskonałości. Nic na to nie poradzimy. I dobrze. Bo doskonałość to świat bez poczucia winy, wizja „robotów z plastykowymi mózgami", to coś nieludzkiego, zaprzeczenie człowieczeństwa.
Poezja Hollanka przesycona jest nieufnością, podejrzliwością wobec cywilizacji, ideałów, konwencji, jakimi hojnie obdarzył nas wiek XX. Nic dziwnego, że uwalnia się od składni, wybiera nieciągłość, swobodną, asocjacyjną grę skojarzeń. Jest nieciągła stylistycznie, miesza obrazy kontrastowe, słowa nacechowane symboliką i błahe realia. Jest poezją świadomą międzywojennego dorobku Awangardy, przezwyciężającą style modernistyczne, konwencje Skamandryckie. Poezją „turpistyczną" i zawieszoną w pół słowa. W swym biologizmie bliską tragicznym refleksjom Wojaczka. Jego wiecznym poszukiwaniom, gloryfikacji ciała i rozlicznych potrzeb fizjologicznych: bólu, miłości, śmierci. Nawet stosunkowo odległe obszary łączą się tu w surrealne opozycje: łagodności i przerażenia, tkliwości i brutalności.

Aleksander Świtalski

Adam Hollanek: *Pokuty*. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1987. Cena 100 zł.

kładący nacisk na nastrojowość, a nawet na ujęcie satyryczne odbierali magazynowi Campbella popularność i czytelników. Wewnętrzne polemiki, rozwijanie się gatunku drogą kwestionowania tego co robią poprzednicy i konkurenci, metodą wciskania się w nie wypełnione przez nich luki to jedna z cech charakterystycznych pisarstwa zespołowego, jakim jest SF.

Ale cofnijmy się do Gernsbacka i do jego wzorów – Verne, Wells, Poe. Te nazwiska w sposób syntetyczny charakteryzują nie tylko trzy podstawowe drogi, ale i trzy stadia rozwojowe SF. Science fiction pokazuje w nich co może, co potrafi, do czego się nadaje – Gernsback nie wybrał tych nazwisk przypadkiem. Gunn tego nie mówi, przytacza natomiast za Asimovem periodyzację nowoczesnej amerykańskiej SF, w myśl której, w latach 1926–38 zajmowała się SF przygodą, później 1935–50 głównie nauką, następnie 1950–65 socjologią, by od roku 1965 oddać się doskonaleniu stylu. Jest coś znajomego w tej kwalifikacji. Można przecież powiedzieć, że Verne patronuje przygodzie i nauce, Wells nauce i socjologii, Poe stylowi. To z grubsza trzyma się kupy. Nawiasem mówiąc fantaści najwyższej klasy potrafią te trzy tropy w swych najlepszych dziełach połączyć.

Co ciekawsze, podobne podziały, choć przesunięte w czasie o około dwudziestu lat, można powtórzyć wobec fantastyki polskiej. Z wyłączeniem Lema rzecz jasna, który rozwija się w swoim, a częściowo amerykańskim rytmie, najczęściej przeciwstawiając się tendencjom amerykańskiej SF, podejmując polemicznie niektóre jej rozwiązania.

Dlaczego porównuję te dwie klasyfikacje, zamiast opowiedzieć o kilkunastu autorach, których Gunn wymienia i których ujęcia wątków SF – kontaktu, podróży do gwiazd, społeczeństwa maszyn, konfliktu z Obcymi, z robotem, wieloetapowej wizji – dają w czasach od Wellsa do Heinleina bogactwo motywów i tropów? Na przykład fantastyczny film amerykański czerpie z tej skarbnicy do dziś. Otóż chodzi mi o to właśnie, by nie zagubić się w szczegółach.

Cóż bowiem wynika z tego, ze rozwój nowoczesnej SF polskiej prawie dokładnie odtwarza stadia rozwojowe fantastyki amerykańskiej – przygoda, nauka, socjologia, styl? Niemal do identycznych wniosków dochodziłem przecież przy wyliczance czterech generacji polskiej SF w posłowiu do „Trzeciej bramy" (WL-87) i tu na łamach „Fantastyki" (a nie znałem wówczas periodyzacji Asimova). Myślę, że dotyczy ta periodyzacja wszystkich fantastyk i że wcale nie można wyciągać z tego wniosku o powszechnym naśladownictwie. Przeciwnie, wynika z tego podobieństwa istnienie jednej linii rozwojowej fantastyki, jednego wewnątrzgatunkowego dynamizmu, określonego talentu fantastycznego. Tu, tam i gdzie indziej uprawiają gatunek ludzie ulepieni z podobnej gliny i podobnie patrzący na świat.

Wiem, że pojęcie „talentu fantastycznego" nie za bardzo podoba się literaturoznawcom, ale za to bardzo podoba się pisarzom. U Gunna natrafiam na ślad podobnego myślenia, gdy mówi, że dla niektórych *„odkrycie SF było przeżyciem o charakterze transcendentalnym, równym zmianie wyznania"*. Obserwuję to i u nas. SF staje się rodzajem popularnej i otwartej filozofii czy nowego języka, umożliwiającego nieskrępowane rozumienie, badanie przy użyciu myślowych modeli i nawet wartościowanie świata. A także kreacje światów nieprawdopodobnych, ale nośnych w sensy intelektualne, artystyczne jakości. To niemało.

Maciej Parowski

Drogi do science fiction – od Wellsa do Heinleina (2). Wybór, przedmowa i tło historyczne: James Gunn. Wydawnictwa „Alfa", Warszawa 1986. Cena 480 zł.

bibliografia

1976 (ciąg dalszy)

1132. CARPENTIER Alejo: *Królestwo z tego świata.* Tłum. [z hiszp.] Kalina Wojciechowska. Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 107, nlb. 1. 20 000 egz.
1133. CORTÁZAR Julio: *Ośmiościan.* Tłum. [z hiszp.] Zofia Chądzyńska. Warszawa 1977 [postdat.: 1976]. Czytelnik 16° ss 186 nlb.2. 10 000 egz. – Nike.
1134. [DOSTOEVSKIJ Fëdor]: *Łagodna.* Opowiadanie fantastyczne. Tłum. [z ros.] Gabriel Karski. Posłowie Andrzej Drawicz. Koment. Wanda Jesionowska. Wyd. III. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 58, nlb. 2. 60 000 egz. – Wyd. poprzednie pt. „Potulna". – Na k. tyt. aut.: Fiodor Dostojewski.
1135. DRZEŻDŻON Jan: *Oczy diabła.* Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 16° ss. 256, nlb.4. 20 000 egz. – AF/U.
1136. ESCARPIT Robet: *Fabrykant obłoków.* Tłum. [z ang.] Wanda i Krzysztof Błońscy. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 138, nlb.2. 10 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1137. GARCIA MARQUES Gabriel: *Dialog lustra.* tłum. [z hiszp.] Zofia Chądzyńska. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 87, nlb.5. 20 000 egz. – Proza iberoamerykańska.
1138. GAUTIER Théophile: *Awatar.* Tłum. [z franc.] Zofia Jachimecka. Posłowie Jan Prokop. Wyd. II [właść. I powoj., osobne]. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 105, nlb.2. 50 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1139. KRÜGER Maria: *Godzina pąsowej róży.* Wyd. VIII. Warszawa. Iskry. 8° ss. 198, nlb.2. 100 000 egz. – Biblioteka Młodych. AF/CJF.
1140. KWIATKOWSKI Tadeusz: *Lunapark.* Wyd. III. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss.105,nlb.2. 10 000 egz.
MAJKOWSKI A.: *Żece...* T.III. – zob. 1975.
1141. PILOT Marian: *Tam, gdzie much nie ma albo Brzydactwo.* W: *Karzeł pierwszy, król tutejszy.* [oraz] *Tam, gdzie much nie ma...* Warszawa. Czytelnik. 16° s. 147–222. 10 000 egz.
1142. *POLSKA nowela fantastyczna.* T. I/II. Aut.: Józef Maksymilian Ossoliński [i in.]. Red. Julian Tuwim. Wyd. IV. Kraków. Wyd. Literackie. 16° T. I ss. 242, nlb.2; T. II ss. 295, nlb.4. 30 000 egz. – Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej.
1143. PROROK Leszek: *Wielki zgiełk.* Wyd. II. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 173, nlb.3. 10 000 egz.
1144. SAINT-EXUPÉRY Antoine de: *Mały Książę.* Tłum. [z franc.] Jan Szwykowski. Wyd. X [w metryce mylnie IX]. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 8° ss. 81, nlb.3 50 000 egz.
1145. SCORZA Manuel: *Garabombo zwany niewidzialnym.* Tłum. [z hiszp.] Carlos Marrodan Casas. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 302, nlb. 2. 20 000 egz.
1146. SEGHERS Anna: *Niezwykłe spotkania.* Tłum. [z niem.] Maria Wolczacka. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 140, nlb.4. 20 000 egz. – Trzy opowiadania, w tym dwa fantast.: *Historie nieziemskie* (ASF/AF), oraz *Rozmowa w podróży* (AF).
1147. SENDER Ramón Jose: *Zu, pływający anioł.* Tłum. [z hiszp.] Helena Czajka. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 152, nlb.4. 10 000 egz. – Współczesna Proza Światowa.
1148. THOMAS Dylan: *Szkoła czarownic.* Tłum. [z ang.] i posłowie Teresa Truszkowska. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 121, nlb.3. 10 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.
1149. WILDE Oscar: *Portret Doriana Graya.* Tłum. [z ang.] Maria Feldmanowa. Wyd. III powoj. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 230, nlb.2. 40 000 egz.
1150. WOLF Christa: *Kota Maksymiliana nowe poglądy na życie.* Wybór opowiadań. Tłum. [z niem.] Stefan H. Kaszyński, Maria Szematowicz i Janina Wieczerska. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 136, nlb.4. 6 000 egz. – Niektóre opowiadania fantast. – AF/U.
WU-CZ'ENG-EN: *Małpi...* – zob. U.

Horror (W):

BRÛSOV V.: *Rea...* – zob. U.
1151. *CZARNY pająk.* Opowieści niesamowite z prozy niemieckiej. Aut.: Johan Wolfgang Goethe [i in.]. Red., wstęp i koment. Gerard Koziełek. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 562, nlb.2. tabl. 16. 20 000 egz. – Seria Grozy.
1152. JAMES Montague Rhodes: *Opowieści starego antykwariusza.* Tłum. [z ang.] Janina Mroczkowska. Posłowie Stanisław Lem. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 233, nlb.3 20 000 egz. – Stanisław Lem poleca.
PĄKCIŃSKI M.: *Owadzia...* – zob. ASF.
1153. POE Edgar Allan: *Opowieści niesamowite.* Tłum. [z ang.] Bolesław Leśmian i Stanisław Wyrzykowski. Wybór Apolonia Bejska. Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 412, nlb.4. 80 000 egz. – Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej.
POLSKA nowela fantastyczna. – zob. AF.
1154. VOGLER Henryk: *Opowiadania fantastyczne.* Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 196, nlb.4. 30 000 egz.
1155. WALPOLE Horace: *Zamczysko w Otranto.* Opowieść gotycka. Tłum. [z ang.] i posłowie Maria Przymanowska. Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 105, nlb.4. 30 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy.

Krytyka, biografia, film (R):

KANN M. *Literackie...* T.III: *Droga księżycowa.* – zob. 1975.
1156. PALCZEWSKI Juliusz K.: *Utopista bez złudzeń. Herbert Gorge Wells.* Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 209, nlb.3, tabl. 4, bibliogr. 5 000 egz.
★1157. *STUDIA o prozie Brunona Schulza.* Katowice. Uniwersytet Śląski. 4° ss.145,nlb.1,tabl.1,err., Res. 380 egz. – Prace Naukowe Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, nr.115.
1158. ZGORZELSKI Andrzej: *Motyw podróży w czasie i jego funkcja w angielskiej prozie narracyjnej wieku dwudziestego.* Gdańsk. Wyd. Uczelniane Uniwersytetu Gdańskiego. 8° ss.35, wykr. 275 egz. – Biblioteka Anglistyczna Uniwersytetu Gdańskiego.

„Zagadki nauki" (MS):

ALFA – zob. ASF.
1159. von DAENIKEN Erich: *Oto mój świat. 375 zdjęć, w tym 54 kolorowe, jako ilustracyjne argumenty do zastanowienia i przemyślenia.* Tłum. [z niem.] Eligiusz Kodur i Leonia M. Gradstein. Warszawa. Wyd. Sport i Turystyka. 8° ss. 250, nlb.2, liczne tabl., objęte liczbowaniem, bibliogr. 5 000 egz.
1160. [DANILOV Alëkšej]: *Chemia, atmosfera, kosmos.* Tłum. z ros. Maria Wornik. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss.166, nlb.2. 5 000 egz. – Biblioteka Problemów, t. 218. – Na k. tyt.aut.: A.D. Daniłow.

cdn.
Przygotował **Jacek Izworski**

Grzegorz Filip jest pracownikiem Zakładu Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski Instytutu Filologii Polskiej UMCS. Tematem jego pracy magisterskiej, pisanej pod kierunkiem doc. dr hab. Eugenii Łochowej, była analiza motywu metamorfozy w polskiej nowelistyce fantastycznej przełomu XIX i XX wieku (nowele B. Adamowicza, S. Balińskiego, S. Grabińskiego, J. Huskowskiego, K. Irzykowskiego, A. Langego, F. Mirandoli i J. Relidzyńskiego).
Pisanie o sztuce to druga dziedzina zainteresowań Grzegorza Filipa. Jako recenzent plastyczny współpracuje z redakcją „Kuriera Lubelskiego", publikuje w „Odrze", sam zajmuje się grafiką i ekslibrisem (miał już kilka wystaw).
„Świat plastyki fantastycznej" jest esejem analizującym materiał ilustracyjny „Fantastyki" i specjalnie z myślą o niej napisanym. (an)

Świat plastyki fantastycznej

Grzegorz Filip

Na czym polega fantastyczność w sztuce? Co sprawia, że widząc rysunek, obraz, rzeźbę określamy je jako fantastyczne? *„Podanie definicji fantastyczności jest jednym z trudniejszych zadań, jakie można sobie postawić"* – pisze Stanisław Lem w „Fantastyce i futurologii"[1]). Fantastyczność w literaturze wyznacza według niego obecność takich motywów, które nie posiadają realnego bytu w świecie empirycznym, bo jest to niemożliwe lub taka możliwość nie zaistniała, albo też postaci, zjawisk, zdarzeń istniejących, lecz powszechnie nie znanych, takich, z którymi na co dzień nie obcujemy.

Wielu innych autorów próbuje definiować fantastyczność, podobnie jak Lem, przez opozycję do empirii. To, co w sztuce niezgodne z doświadczaną przez nas rzeczywistością – jest po prostu fantastyczne.

„To, co nieznane, z natury należy do fantastyki" – pisze André Malraux.[2]) Świat sztuki zostaje podzielony na empiryczny i fantastyczny. Ten pierwszy odzwierciedla to, co wokół nas, drugi zaś byłby czystą kreacją autorską. Mamy więc następną opozycję: zapis i kreacja.

Andrzej Banach w swojej książce „O polskiej sztuce fantastycznej"[3]) pisze, że fantazją w sztuce są: *„postaci, sceny, przedstawienia, w których elementy wzięte z natury zostają zmienione i uzyskują postać nie spotykaną w naturze lub znajdują się w sytuacjach nietypowych, obrazy oparte na grze wyobraźni, na bajkach, baśniach, apokryfach, legendach. Także utwory kompozycyjnie niezwykłe"*. Tak więc w plastyce to, co nietypowe, niezwykłe, przeobrażone, zdeformowane – uważać możemy za fantastyczne.

Trzeba tu zaraz poczynić dwa zastrzeżenia. Po pierwsze wykluczyć należy, jako niefantastyczne, wszelkie rodzaje deformacji satyrycznej, karykaturalnej i groteskowej, jako posiadające zupełnie inne funkcje od deformacji fantastycznych. W karykaturze deformacja służy uwypukleniu tego, co jest, by lepiej można było to coś zauważyć i ośmieszyć. W fantastyce cel deformacji nie bywa aż tak utylitarny (choć przecież w inscenizacjach fantastyki grozy plastyczna realizacja pomysłu dąży do wyraźnie praktycznego celu: przestraszyć). Służy ona nie tyle pokazaniu tego, co jest, ile raczej tego, czego nie ma, czego na co dzień nie możemy spotkać.

I druga uwaga. Należy wykluczyć sztukę religijną, jako przedstawiającą wprawdzie rzeczywistość nieempiryczną, lecz nie klasyfikowaną jako fantastyka.

Całą definicję Banacha możemy sprowadzić do pojęcia niezwykłości. Według niego fantastyczne jest to, co niezwykłe w stosunku obrazu do natury, do typowości przedstawień, tematów i kompozycji. Co do skojarzenia fantastyczności z niezwykłością, dziwnością przyjdzie się chyba zgodzić z jedną wszakże uwagą. Fantastyka w plastyce posługuje się niekiedy – dla amplifikacji swego oddziaływania – egzotyzmem. Egzotyczność (orientalizm, afrykanizm itp.) i fantastyczność zawsze się sumują, nie przeszkadzają sobie, a ich kombinacja wzmacnia efekt czyniony na odbiorcy. Bywa wręcz tak, że pierwiastki egzotyczne zostają poczytane za fantastyczne, szczególnie gdy jedne i drugie są w dziele przemieszane ze sobą. Bo też jest fantastyka rodzajem egzotyki, tyle że – jak pisze Erazm Kuźma – egzotyki o zawieszonej weryfikowalności tego, co obce.[4])

Jednakże, jeśli idzie o opozycję świata realnego i fantastycznego, wyrażającą się w pytaniu: „czy doświadczam danego zjawiska, czy nie?" i klasyfikowaniu go na tej podstawie do empirii bądź fantastyki – mam zastrzeżenia.

Czy „Bitwę pod Grunwaldem" Matejki zaliczymy do obrazów fantastycznych? Chyba nie. A przecież mamy tam ludzi w przedziwnych kostiumach, ludzi, którzy się zbiegli, stłoczyli i wykonują dziwne czynności za pomocą niezwykłych narzędzi. Myślę, że nikt z nas nigdy nie doświadczył uczestnictwa w takiej sytuacji, Matejko także nie był tam osobiście, nie ma więc tu miejsca na konfrontację świata sztuki i empirycznego doświadczenia. Tak się kończy definiowanie fantastyczności przez opozycję do empirii.

Spójrzmy na materiał plastyczny proponowany przez „Fantastykę". Miesięcznik ukazuje się niemal od pięciu lat, stara się być pismem do czytania i do oglądania. Zamieszczane w nim ilustracje, to prace autorów polskich i obcych, profesjonalistów i amatorów. Otrzymujemy więc dość szeroki przegląd tego, co się dzieje w plastyce fantastycznej. Oczywiście redakcja dokonuje wyboru, stosując własne kryteria artystyczne i estetyczne, według własnych przekonań o tym, co jest w plastyce fantastyczne, a co nie. Mamy tu kilka różnych rodzajów rozumienia fantastyczności, różnych realizacji fantastycznego tematu, różnych wreszcie stylów.

Biorąc pod uwagę tematykę czy motywy możemy znaleźć w „Fantastyce" rysunki i grafikę nawiązującą do fantastyki naukowej, weird fiction i fantasy. Poza tymi trzema grupami pozostanie jednak sporo innych propozycji plastycznych, jak na przykład wizje symboliczne, groteskowe, przedstawienia grawitujące ku abstrakcji, jednak o wyraźnym klimacie fantastycznym, stylizacje na dawność, pastisze, stylizacje na dziecięcą naiwność, cytaty z egzotycznych kultur i jeszcze kilka innych rodzajów ilustracji w kilkunastu różnych stylach. Zawsze, jak się zdaje, decyduje o wyborze d z i w n o ś ć, niezwykłość przełamująca weryzm przedstawień lub schematyzm kompozycji.

Grafika fantastyczno-naukowa, wcale wbrew pozorom nie najliczniej reprezentowana w piśmie, rzuca się w oczy typowymi dla siebie motywami: statki kosmiczne pokazane z zewnątrz bądź od wewnątrz, pejzaże obcych planet, kosmonauci w kombinezonach, przestrzeń międzyplanetarna. Ten nurt ilustracji jest chyba najbardziej stereotypowy, najbliższy – co może zabrzmieć paradoksalnie – realizmu, który polegałby tu na werystycznym odtworzeniu wizji literatury SF, szczególnie tej wczesnej, w której dominowały drobiazgowe opisy pojazdów kosmicznych i pejzażu obcych planet, a wszechobecną ideą była wiara w nieograniczone możliwości człowieka. Te historyczne już motywy i ideologię hard SF przechowała plastyka fantastyczno-naukowa z jej majestatycznie płynącymi w bezkresnych przestrzeniach międzygwiezdnych kolosami, będącymi wyobrażeniem kultu dla wytworów człowieka, dumnego zdobywcy przestworzy. Tak się już nie pisze, ale często się jeszcze tak rysuje.

Oczywiście spotkamy też niekonwencjonalne przedstawienia fantastyczno-naukowe, w których fantazja odgrywa znaczną rolę. Najciekawsze z nich to próby wyobrażenia fantastycznych maszyn: statków powietrznych, robotów, maszyn myślących. Wprawdzie w tej dziedzinie pewne obiegowe schematy wprowadził film SF, pokazujący wciąż te same stalowe korpusy z setkami migających lampek, ale i tak konwencja bywa z powodzeniem przełamywana.

Elementem najowocniej odświeżającym plastykę spod znaku SF jest wprowadzenie motywów fantasy, co dawno już stosuje wiele grafików. Rzecz jasna takie zabiegi powodują zanieczyszczenie gatunku, czy wręcz jego przekształcenie, czego nie można oczywiście potępiać. Podobny proces wypierania fantastyki naukowej przez fantasy zachodzi przecież także w literaturze.

Nie wnikając głębiej w rozróżnienia gatunkowe popatrzmy na treści i sposób ich przedstawiania w plastyce fantastycznej. Wszechobecnym motywem jest człowiek, zniewolony lub triumfujący, czasem statyczny i posągowy, czasem uskrzydlony i przedstawiony dynamicznie. Dużą rolę w kreowaniu postaci odgrywają metamorfozy, deformacje. Człowiek taki, jaki jest, nie może być bohaterem fantastycznym, za bardzo kojarzyłby się z codziennością. Ubiera się więc w dziwaczne szaty, to stylizowane antycznie, to orientalnie (czasem ubiór podąża za aktualną modą lub naśladuje odzienie modnych bohaterów komiksowych), zakuwa się w zbroje, przywdziewa hełmy, owija w powłóczyste płaszcze. Ale to jeszcze nie deformacja. Bywa, że ciało ulega rozbiciu, podzieleniu na autonomiczne części. Kiedy indziej przekształcenia upodobniają do zwierząt, potworów czy maszkar. Innym razem ciało szczelnie osłonięte metalowym pancerzem, ściśle przylegającym do ciała lub kosmicznym kombinezonem traci kształty ludzkie, przybierając postać zautomatyzowanego robota.

Osobny sposób przedstawiania funkcjonuje w przypadku kobiety. Istnieje jakaś obsesja erotyczna i swoista fascynacja motywem kobiety we współczesnej plastyce fantastycznej. Kobieta jest tu uosobieniem cielesności, erotyzmu rodem z komiksu i zdjęć w magazynach ilustrowanych. Nienaturalnie długie włosy, wyeksponowane szczupłe i zgrabne nogi, odkryte duże piersi, nigdy drobne, jak to było modne na przykład w secesji, sylwetka wysportowana w pozycjach nacechowanych erotycznie: leżącej, półsiedzącej, w locie. Kobieta jest władcza, silna, triumfująca, z pistoletem, miotaczem, mieczem u boku, z groźnym wyrazem twarzy. Nosi różnego rodzaju ozdoby: pasy, obroże, wysokie buty, podwiązki na nagiej nodze, rozcięte głęboko rękawy szat. Biżuteria kobiety-rycerza przypomina elementy średniowiecznego wyposażenia bojowego.

Inny typ kobiety to postać doskonale obojętna, o pustym bądź nieprzeniknionym, tajemni-

czym wyrazie twarzy, ulatująca w przestrzenie lub stojąca w lekkim kontrapoście. Pojawia się też motyw kobiety zagrożonej, osaczonej, kobiety w obliczu niebezpieczeństwa grożącego ze strony potwora czy przerażającej maszyny. Bohaterka jest wtedy naga lub prawie naga, dla podkreślenia bezbronności i uwydatnienia zagrożenia.

Plastyka ma ograniczone możliwości narracyjne, bowiem z zasady zatrzymuje jeden tylko kadr. Nie może opowiedzieć całej historii, pokazuje więc punkt kulminacyjny zdarzenia. Wybiera sytuację najbardziej dramatyczną, moment na krok przed katastrofą. W chwili tej wszystko jest przesądzone albo też jest już ostatnia szansa, by można było coś poradzić, jakoś zadziałać, żeby odwrócić bieg wypadków. Stąd dominacja scen walk, katastrof, wybuchów itp. Co jest w tym wszystkim fantastyczne? Jak przedstawia się fantastyczny obraz człowieka?

Otóż konstruuje go głównie i n n o ś ć, odmienność od obrazu postrzeganego dziś. Człowiek przyszłości będzie inny – stara się powiedzieć fantastyka. Ale jaki? J. Kagarlicki[5]) pisze w swej książce o transformacji człowieka przyszłości pod względem moralnym, umysłowym i fizycznym. Człowiek jest niedoskonały. Uzyskał w procesie ewolucji przewagę nad zwierzętami, ale zarazem zatracił wiele z tego, co posiadał na niższych etapach jego rozwoju. Autor podaje przykład Wellsa, który pisał o chirurgicznych operacjach, dokonywanych w celu doskonalenia ludzkiego ciała, lepszego przystosowania go do warunków i trybu życia. Jednakże pożyteczne – jak by się zdawało – udoskonalenia napawają nas, mówi Kagarlicki, sprzeciwem, niepokojem i niechęcią z uwagi na to, że transformacja ciała stoi w sprzeczności z tradycją kultury, w której harmonijne ciało było symbolem harmonijnej osobowości.

Jak pisze Antoni Smuszkiewicz, bohater utworów fantastyczno-naukowych jest *„wyidealizowanym wyobrażeniem człowieka przyszłości, który (...) jawi nam się w większości wypadków jako heros gotów stawić czoła wszelkim przeciwnościom (...)"*[6])

A więc bohater fantastyki literackiej to człowiek przemieniony, heros, zaś w plastyce fantastycznej... wszechobecna kobieta! Archetyp matki? Rodzicielka nowego człowieka? Z całą pewnością nie. Nic nie uprawnia do takiej interpretacji i w ogóle interpretacja symboliczna jest tu nie na miejscu. Nie zapominajmy wszak, że mamy do czynienia z kulturą masową. O użytych motywach i sposobach obrazowania decydują po prostu względy reklamowe i moda. Zauważmy na przykład, jak przedstawiają się kształty kosmolotów. Wyraźnie widać tu upodobnienie do panującej obecnie mody w projektowaniu linii karoserii samochodowych. A i piękna kobieta jest w folderach reklamujących nowe modele samochodów elementem nieodzownym.

Temat fantastyczny jest atrakcyjny dla artystów. Bywa formą ucieczki od codzienności i zarazem polem dla rozwoju wyobraźni, możliwością kreacji własnego świata. Wyraża się to chyba najdobitniej w pejzażu, który będąc bodaj najpowszechniejszym tematem malarstwa, w fantastyce podlega najróżniejszym transformacjom w stosunku do otaczających nas pierwowzorów i angażuje twórczą wyobraźnię. Pejzaż w plastyce fantastycznej występuje często samoistnie, absorbując całą uwagę odbiorcy lub też jest tłem dla postaci i zdarzeń. Bezkresne przestrzenie, pustka, otchłań, gdzieś daleko leżąca linia horyzontu, obszary zalane wodą – oto ulubione motywy fantastycznego krajobrazu, udziwnionego nienaturalnym doborem barw. W plastyce o motywach fantastyczno-naukowych pojawia się pejzaż powierzchni obcych planet: skały, wulkany, jeziora i góry, nad którymi wisi kula jakiejś planety czy księżyca. Motyw kuli należy do często eksploatowanych, podobnie jak motyw koła. Przynoszą one symboliczne sensy, wikłając przedstawioną rzeczywistość w obszerny kontekst kulturowy.

Współczesny pejzaż fantastyczny korzysta z osiągnięć zarówno dawnego, jak i bliższego nam malarstwa. Mamy tu wpływy pejzażu renesansowego (Botticelli, Leonardo da Vinci, Rafael) i romantycznego (np. Kaspar David Friedrich), secesji (amor vacui) i nadrealizmu z jego pejzażami pustynnymi, podmorskimi czy kosmicznymi (Dali, Tanguy, Magritte, Ernst, Chirico).

Fantastyczny krajobraz obcych planet jest przeważnie rodzajem t r a n s f o r m a c j i znanych pejzaży, np. ziemskiego księżyca – będą to wtedy kratery wulkanów, surowa pustka przestrzeni spękanego gruntu. Transformacji ulega też obraz powierzchni ziemi, stając się fantastycznym wskutek zabiegu zmiany zabarwienia roślinności, wód i skał. Inny rodzaj przekształceń przestrzeni, to wkomponowywanie w krajobraz fragmentów ciała ludzkiego, noszące znamiona symboliczne.

Fantastyczność roślinności zasadza się głównie na zmianie zabarwienia w stosunku do znanych nam z Ziemi kolorów, przemianach kształtów i proporcji. Są to jednak przeważnie transformacje podstawowego elementu – drzewa. Motyw ten pojawia się nader często, podlegając najróżniejszym przekształceniom i stylizacjom. Były one obecne już w kulturze średniowiecznej, gdzie spotykamy na przykład drzewo odwrócone (arbor inversa), rosnące z nieba w kierunku ziemi.

Jak się wydaje, fantastyczność krajobrazu polega więc głównie na o d r e a l n i e n i u, odmienności, ale owa nienaturalność kojarzy się nieodparcie ze sztucznością. Świat plastyki fantastycznej jest plastykowy, jakby uformowany z bajecznie kolorowych mas plastycznych. Woda nie jest mokra, lecz pocztówkowa (jak na kartkach znad Adriatyku), ogień rodzi demony, lecz nie parzy (notabene oba te Heraklitejskie symbole – woda i ogień – spełniają w fantastyce niebagatelną rolę), rośliny zadziwiają kształtem i barwą, ale zdają się istnieć tylko po to, by się prześcigać w swej dziwności.

Ta fantastyczno-sztuczna przestrzeń, rozjaśniona nienaturalnym światłem lub spowita mrokiem nadającym przedmiotom niespotykane odcienie i kształty, wypełnia się osobliwymi postaciami i stworzeniami. Fantastyczne stwory trzymają się zwykle bardzo blisko natury. Znamiennym rysem jest to, że zawsze mają oczy i część ciała, którą można określić jako głowę, będącą w miarę łatwo czytelną metamorfozą głowy ludzkiej, zwierzęcej bądź ptasiej. Często są skrzydlate (motyw skrzydeł powtarza się i u ludzi, i u stworów, i u maszyn). Dziwotwory bywają zbliżone w anatomii i czynnościach do smoków z bajki lub przedpotopowych gadów ze starych zoologicznych albumów. Są też stwory do niczego nie podobne, wyłaniające się z kryjące je barwą zbliżoną do koloru ich ciała krajobrazu, wynurzające się zza horyzontu, przeważnie przez coś częściowo przesłonięte, by nie można było dokładnie zobaczyć ich budowy.

Zadaniem potworów jest oczywiście wprowadzenie nastroju grozy, dramatyzmu, także przez kontrasty: smok i bezbronna kobieta, człowiek i przerażająca bestia czy zwierzo-maszyna.

Na kształty współczesnych fantastycznych potworów ma wpływ niewątpliwy cała tradycja zoomorficznego fantazjowania w plastyce, od pierwszych rytów w grotach, przez średniowieczne wizerunki diabła i potworów morskich, którymi straszono samotnych żeglarzy, malarstwo Heronima Boscha, po Henri Rousseau i Witkacego, by wymienić tylko nielicznych.

Jest jeszcze inny rodzaj fantastyczności, mianowicie konstruowanej przez element niewiedzy, braku powiązania między przedstawionymi przedmiotami a ich funkcją. Za przykład niech posłużą rysunki czy obrazy przedstawiające egzotyczną architekturę, świątynie nie istniejących religii, wnętrza osobliwych budowli o nieznanym przeznaczeniu. Zatajenie konkretnej przydatności przedstawionych przedmiotów, z a g a d k o w o ś ć w sposobie ich pokazania – powołują do życia fantastykę.

Fantastyczność przedstawień plastycznych to nie tylko odrealnienie, metamorfoza znanych kształtów i barw, wprowadzenie nadnaturalnych przedmiotów i postaci, zagadkowość. Czasem same przedmioty przedstawione nie mają w sobie nic fantastycznego. Dopiero takie, a nie inne ich z e s t a w i e n i e, rozbicie na części i złożenie według odmiennego klucza wywołuje odczucie fantastyczności. Są obrazy i rysunki, których fantastyczność jest niejako dana, rozpoznawalna od pierwszego rzutu oka i takie, w których fantastyczny charakter można by powątpiewać. Niektóre kierunki w sztuce, np. symbolizm, surrealizm czy hiperrealizm, stwarzają poprzez swą poetykę szczególną dogodność dla wystąpienia fantastyczności, inne zaś nie. Z reguły do fantastyki nie zalicza się na przykład abstrakcji, sztuki nieprzedstawiającej, a to dlatego, że za fantastyczną uważa się rzeczywistość inną, odmienną, nienaturalną czy niemożliwą do spełnienia, ale zawsze jednak rzeczywistość jakoś podobną do otaczającej, choćby na zasadzie kontrastu.

Fantastyka przejawia się nie tylko w sferze przedmiotów przedstawionych. Mówi się na przykład o fantastycznej k o m p o z y c j i. Miałoby to polegać na odmiennym podejściu do problemów perspektywy (zarzucenie perspektywy linearnej, powietrznej, deformacje przestrzeni i powierzchni, przenikanie planów, brak logiki i harmonii).

Prócz kompozycji także inne środki mogą współtworzyć fantastyczność obrazu. Współczesne możliwości techniczne powodują, że można ją budować zupełnie nowymi sposobami, ale też sprawiają, że modna, atrakcyjna technika szybko się eksploatuje, stosowana masowo, bez umiaru i prób pogłębienia, jak to się stało na przykład w wypadku serigrafii.

Z fantastycznością łączy się też element i l u z j i. Sprzeczność, paradoks, iluzja, groteska to kategorie bardzo bliskie cudowności, magiczności, zagadkowości, dziwności, tajemniczości, oniryczności – które wyróżniliśmy jako konstytuujące fantastyczność. Iluzja wzmaga też efektywność przedstawiania, cechę w kulturze masowej pożądaną. Interesujący pomysł, efektowny chwyt – stanowią połowę sukcesu.

Plastyka fantastyczna przeważnie nie jest samodzielna. Jako ilustracja książki czy czasopisma współtworzy nastrój wywołany przez literaturę, plastycznie unaocznia i dookreśla treści literackie, pomaga wyobraźni czytelnika.

Czy w plastyce możliwe jest zilustrowanie wszystkich motywów, którymi operuje fantastyczna literatura? Można przedstawić postaci, przedmioty, zdarzenia, sytuacje, nastroje. Trudniej ze zilustrowaniem takich motywów literatury fantastycznej, jak podróż w czasie, deformacje przestrzeni, ale i to się próbuje robić. Plastyce trudniej także pełnić funkcję prognostyczną, którą realizuje przecież ambitniejsza literatura SF.

Wydaje się, że przedstawienia plastyczne wymagają zastosowania pełniejszego dookreślenia, niż to mamy w obrazowaniu literackim, gdzie możliwe jest na przykład przemilczenie kształtów i anatomii istot pozaziemskich. W plastyce zaś trzeba to pokazać, choćby za pomocą skrótu, szkicu czy przesłoniętego fragmentu. W związku z tym literaturze przynależna byłaby jakby pełniejsza fantastyczność niż plastyce, bo pomnożona o zagadkę, niedopowiedzenie, miejsca niedookreślone, pozostawione do wypełnienia przez wyobraźnię czytelnika. Oczywiście nie sposób wszystkich tych atutów odebrać sztukom plastycznym. Tu, mimo pełniejszej naoczności, konieczności powiedzenia wprost, bez pozostawiania na rysunku białych plam, zostają jednak ogromne możliwości operowania nastrojem kształtów i kolorów, kontrastami zestawień, egzotyką motywów, fantastyczną kompozycją, onirycznymi metamorfozami postaci i przedmiotów.

Jedno co z pewnością łączy fantastyczną literaturę i plastykę, to zagrożenie ze strony schematu, obsesyjności motywów, reklamowego czy reklamiarskiego charakteru obrazowania, które to czynniki niszczą fantastyczność, sprowadzając ją do banału i stereotypu. Właśnie owe stereotypy w przedstawieniach plastycznych udało mi się tu najlepiej uchwycić, bowiem to, co prawdziwie fantastyczne – najmniej poddaje się opisowi. Zaś tam, gdzie króluje stereotyp, brak miejsca na fantastykę.

Przypisy:

1. Kraków 1970, t. 1, s. 13.
2. *Przemijanie a literatura*, przeł. A. Tatarkiewicz, Warszawa 1982, s. 120.
3. Kraków 1968, s. 7.
4. *Semiologia egzotyki*, (w:) *Miejsca wspólne. Szkice o komunikacji literackiej i artystycznej*, red. E. Balcerzan, S. Wysłouch, Warszawa 1985, s. 308.
5. *Co to jest fantastyka naukowa?*, przeł. K.W. Malinowski, Warszawa 1977, s. 310.
6. *Stereotyp fabularny fantastyki naukowej*, Wrocław 1980, s. 129.



Karcer i niebo wcielenia

Rozmowa z Adamem Wiśniewskim-Snergiem

Maciej Parowski: – *Jak paru innych polskich autorów fantastyki masz podobno złe doświadczenia z kinem. W latach siedemdziesiątych mówiło się o serialu na podstawie „Robota"; dwa lata temu prasa filmowa donosiła o przymiarkach do „Według łotra". I co – rozeszło się po kościach?*

Adam Wiśniewski-Snerg: – Wcale mnie to nie martwi. Jestem przeciwnikiem ekranizacji moich książek, tym bardziej zdecydowanym, im więcej zdobywam doświadczeń w tej dziedzinie. Umowy na oba filmy zostały formalnie zawarte, a ja otrzymałem honorarium za scenariusz i prawa do książek. Jednakże z różnych powodów filmy nie zostały zrealizowane. Między innymi wytłumaczono mi, że będą duże kłopoty techniczne, że na przykład w przypadku „Robota", nie wszystko będzie można pokazać dzięki trikom i operacjom na stole montażowym. W sumie dobrze się stało. W trakcie pracy nad scenariuszem zrozumiałem jak bardzo mnie irytuje konieczność przeróbki prozy na język filmu. Brzydzę się tym choćby dlatego, że wszystkie te myśli i wartości, które starałem się przekazać językiem literackim, nadając im w książkach postać ostateczną, uległyby spłyceniu, bądź przestałyby w ogóle istnieć po przełożeniu ich na język filmu.

– Nieprzekładalność dotyka przede wszystkim chyba Lema – pisarza dyskursywnego, intelektualnego, eseisty z temperamentu. Powieści „Robot", „Według łotra" (w jednej z warstw będąca wręcz opowieścią o planie filmowym), „Nagi cel" – wyglądają na gotowe scenariusze.

– Tak mi często mówiono, ale to powierzchowna ocena. W przypadku kina trzeba się dokładnie zdecydować, czy to co się pokazuje widzowi ma charakter umowny czy serio. W powieści „Według łotra" brak tej jednoznaczności w sposób zamierzony. Mamy tam do czynienia z różnymi stopniami człowieczeństwa, różnymi stopniami rzeczywistości i uczestnictwa w niej. Każdy w tej książce – manekin, statysta drugiego planu, statysta pierwszoplanowy, aktor, reżyser – „widzi" wokół siebie co innego. A widzi to tylko, co jest w stanie objąć własną świadomością. Manekin, patrząc na manekiny, widzi jakby ludzi i traktuje ich serio, podobnie jak siebie. Trzeba być stopień wyżej, by ocenić ułomność niższego stanu. Manekin nie postrzega dekoracji jako dekoracji, statysta nie odbiera swojej sytuacji jako sztucznej i zaprogramowanej. Ma tę świadomość czytelnik książki, ale nie miałby jej widz. Zwłaszcza że powieść można tłumaczyć jeszcze inaczej – bohater „Według łotra" widzi wokół siebie ludzi, ale jest chory psychicznie i dokonuje projekcji na otoczenie swego pokaleczonego wnętrza. Jak przedstawić tę wieloznaczność językiem filmu? Kino jest zbyt konkretne i przez to ułomne w stosunku do literatury.

– Ułomne czy inne? Rosemary z filmu Polańskiego jest podobnie nieokreśloną postacią – szaloną albo rzeczywiście zapłodnioną przez diabła. Polański ładnie to rozegrał: Reżyser formatu Polańskiego, Weira, Ridleya Scotta, a może i naszego Koprowicza (autora „Medium"), pracujący w dodatku dla zamożnej kinematografii, mógłby podobnie radzić sobie z prozą Snerga. Zwłaszcza że już w „Robocie" może się skoncentrować na wydarzeniach atrakcyjnych z punktu widzenia awanturniczego, pokazać sceny przyspieszone, pokazać ludzi-posągi i kulę rewolwerową pędzącą z zawrotną prędkością uśpionego żółwia.

Zgoda, tylko że tam jest jeszcze bardzo istotna teoria Nadistot, której nie można pokazać na ekranie, bo przecież Nadistot nikt nie widział. Ten ciąg generacji, począwszy od roślin, przez zwierzęta, aż do umysłów ludzkich i nadludzkich – można opowiedzieć, ale co dalej?... Poza tym sama nieruchomość czy ruch na ekranie nie ma jeszcze posmaku grozy, fantazji, niezwykłości. W powieści można powiedzieć, że człowiek-posąg ma wynikającą ze wzoru Einsteina masę lokomotywy czy okrętu dziesięciotysięcznika, ale jak to się ma do języka filmu? Nieruchoma kula rewolwerowa, pędząca w innym czasie, byłaby na ekranie kawałkiem metalu wiszącym na żyłce. Albo jeszcze gorzej – widzowie w ogóle nie zorientowaliby się o co chodzi. Nigdy więcej nie podejmę się pisania scenariusza na podstawie swojej prozy, jest to coś odrażającego.

– Więcej czasu zostanie na książki. Od ponad roku czekamy na nową powieść pt. „Arka", przygotowywaną do druku w KAW. Jak ma się ta książka do trzech poprzednich tytułów? A może powiesz o najnowszych planach?

– Tak jest. Zamierzam zdradzić coś bardzo istotnego, co dotyczy całej mojej twórczości. Pora na odsłonięcie zamysłu autorskiego ukrywanego przez dwadzieścia lat. Piszę teraz tom piąty, zakończenie cyklu powieściowego. Wszystkie moje powieści połączone są w jedną całość, nie są to książki niezależne, lecz kolejne wcielenia jednej i tej samej postaci. Dlatego pisałem wszystkie powieści w pierwszej osobie, bo dotyczą losów tej samej istoty ludzkiej, zakładającej tylko różne maski. W tej chwili rozpocząłem piąty tom, któremu nadałem tytuł „Każdemu niebo". Całość ukaże się najprawdopodobniej pod wspólnym tytułem „KARCER I NIEBO WCIELENIA" – w pierwszym tomie „Robot" i „Według łotra", w drugim „Nagi cel", „Arka" i „Każdemu niebo". W sumie – około tysiąca stron druku. W każdej powieści mój bohater nosi inną maskę, inne ciało i jest kim innym. Ale wszystkie te postaci wewnętrznie akceptuję, istnieją we mnie jakby na paru poziomach.

– Wygląda to na rozwinięcie indyjskiej wiary w reinkarnację. Jaki to ma związek z osobą autora, z jego koncepcją rzeczywistości i pisarską filozofią? Słyszałem coś o tym – Sneg pisarz fantastyczny i fizyk-amator, któremu los nie pozwolił studiować ukochanej dziedziny.

– Prawda o mnie jest taka – urodziłem się 1 stycznia 1937 roku. Formalnie mam tylko podstawowe wykształcenie, tzn. nie chodziłem do szkoły średniej i nie mam żadnego dyplomu. Ale najwidoczniej urodziłem się z zacięciem do belferki, bo przez 12 lat uczyłem matematyki i fizyki kandydatów do egzaminów konkursowych na wyższe uczelnie. To znaczy ludzi, którzy nieźle te przedmioty znali, ale chcieli się podciągnąć na wyższy poziom. Sam, dawno temu, w 1963 roku, postanowiłem też studiować fizykę. Przedtem trzeba było zdać eksternistyczny egzamin dojrzałości i następnie po uzyskaniu matury ubiegać się na wyższą uczelnię. Zdawałem taki eksternistyczny egzamin – matematykę zdałem na piątkę, fizykę na piątkę, natomiast jako jedyny w grupie nie zdałem pisemnego egzaminu z języka polskiego.

– Einstein miał podobne problemy z matematyką.

Nie miałem żadnych problemów. Było to i pozostało dla mnie wielką zagadką. Poszedłem do kuratorium, żeby coś wyjaśnić, żeby pokazali mi moją pracę, ale kurator po prostu wyrzucił mnie za drzwi. Miał pełne zaufanie do profesorki języka polskiego, która była również dyrektorką szkoły. A ponieważ mieszkam w określonej dzielnicy, mogłem zdawać egzamin eksternistyczny tylko u niej. Wiedziałem więc, że nigdy w życiu nie dostanę oceny dostatecznej z języka polskiego, a tym samym moja droga na uniwersytet została zamknięta. Nie mogłem fizyki studiować, zacząłem jej uczyć. Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło. Co bym zyskał gdybym przez pięć lat chodził – właśnie chodził! – na fizykę? Przecież mogłem tę fizykę studiować w domu. I studiowałem ją naprawdę i bardzo intensywnie się nią zajmuję do dziś.

– I stąd wziął się twój portret jako Sneera w powieści „Limes inferior" Janusza Zajdla. Sneer, też, tak jak Snerg, liftuje, czyli podwyższa klasę osobnikom teoretycznie stojącym wyżej od niego. Lifting jako metafora korepetycji! Janusz wiedział rzecz jasna, że uczysz fizyki i na jakich warunkach.

– Oczywiście. Nawet zapowiadał, że nawiąże w powieści do mojej osoby. Ale, wstyd powiedzieć, nie znam tej książki. Dopiero niedawno przeczytałem inną jego rzecz – „Cylinder Van Troffa".

– „Limes inferior" stanowi polemikę z „Robotem" i jest zarazem jego kontynuacją. Obie powieści pokazują podbój ludzkości przez zaawansowaną cywilizację, lecz dokonujący się bez okrutnych aktów przemocy. U Zajdla przybiera ten podbój kształt opresji politycznej – obcy obdarowują ludzi niechcianym systemem. W „Robocie" Nadistoty porywają nas i hodują, by dyskretnie zjadać nasze umysły.

– No, niezupełnie tak. W mojej powieści była tylko luźna spekulacja dotycząca ogólnego pytania – dlaczego oni, Nadistoty, nas porwali, czemu całe miasto szybuje ku gwiazdom? Nie wiem czy będą się karmić naszymi duszami, na pewno porwali nas dla jakiejś korzyści, a nie po to, by się na przykład chwalić nieskończonymi możliwościami. Jeśli my coś robimy, to także nie po to, by dogodzić komuś, lecz sobie. Dlaczego Bóg stworzył świat? – uważam podobnie, że miał w tym jakiś interes, świat był Bogu do czegoś potrzebny. Odpowiedź jest tu taka sama, jak w przypadku powieści „Według łotra" – dlaczego reżyser tworzy film? Tworzy go dla widzów. Żeby się artystycznie wyżyć. Żeby coś po sobie zostawić. Podobnie w przypadku Nadistot – rzeczywiście w końcówce „Robota" sugerowałem żartobliwie, że chcą się karmić naszymi duszami. Zabrzmiało to groźnie, owszem, taka możliwość istnieje, ale to już w zasadzie do Teorii Nadistot nie należy.

– Cóż do niej należy w takim razie? I czy to jest teoria – literacka zabawka, czy najgłębsze wyznanie wiary Adama Wiśniewskiego-Snerga?

– Słowo wiara jest tu nieodpowiednie, bo przecież mowa nie o hipotezie, czy o przypuszczeniu, lecz o *teorii*. Cóż to jest teoria? To próba uporządkowania faktów w jakiejś dziedzinie. Im dziedzina obszerniejsza, im próba uporządkowania bardziej doskonała, tym teoria bardziej zasługuje na swe miano, tym jest większa. W Teorii Nadistot spróbowałem uporządkować byt, życie, istnienie w kosmosie. Patrząc na świat dostrzegłem najpierw wielką różnorodność bytów, następnie zaakceptowałem fakt, że nie ma mowy o równości, przeciwnie – mamy do czynienia z olbrzymimi różnicami w stopniach bytu. Istnieć można w różnym stopniu intensywności. Następnie uporządkowałem te byty i starałem się wyciągnąć jakieś wnioski. Podstawowym wnioskiem było stwierdzenie, że żadna istota nie postrzega swojej nadistoty, lecz widzi tylko istoty z szeregów niższych od siebie. A w takim razie nie ma nic dziwnego w fakcie, że my swych nadistot nie postrzegamy, ponieważ zwierzęta nie postrzegają naszych umysłów, a rośliny nie postrzegają zwierząt.

– Tak sformułowana teoria ignoruje doświadczenia mistyczne różnych religii, opisane w wielu Świętych Księgach, z których wynika, że Nadistota może się pozwolić obejrzeć podistocie. Pomijasz też świadectwo Ewangelii. Jednocześnie historia Krzyża jest bardzo plastycznie wykorzystana w drugiej powieści, „Według łotra". Jeśli serio przyjąć zapewnienie, że obie powieści należą do logicznego pięcioksiągu, stanowi to chyba sprzeczność.

– Nie ma żadnej sprzeczności. W Teorii Nadistot nie używam słowa Bóg, bo go po prostu zdejmuję z cokołu. Nasze nadistoty nie są naszym Bogiem, ich przewaga polega tylko na przewadze jednego stopnia. One są również śmiertelne, ułomne, niedoskonałe; nad nimi stoją kolejne nadistoty. Tak samo jak my, którzy stoimy wyżej od zwierząt, też nie jesteśmy wszechmocni ani nie jest wszechmocne zwierzę, które stoi nad rośliną, mimo że może ją zjeść. Tak więc w „Robocie" i Teorii Nadistot słowo Bóg, słowo Wszechmocny, nie mają w ogóle miejsca, są niepotrzebne. A w powieści „Według łotra" chodzi już o zupełnie co innego, nie ma nawiązania do Teorii, pomijając takie, że przyszłość rozwoju ludzkiego prowadzi nas do ekranu trójwymiarowego. W tym sensie w „Nagim celu" z kolei mamy do czynienia jakby z Nadistotami, bo jeśli tworzy się możliwość filmu, w który można wejść i brać udział w jego akcji i rozmawiać z bohaterami, to dla kogoś stojącego stopień niżej jest to już sytuacja na granicy cudu. Płowy Jack z „Według łotra" jest twórcą, jest reżyserem takiego filmu. Ja tu nie widzę sprzeczności.

– Powiedzmy, tylko że oschłe to jakieś i zimne. Warstwa fabularna, sensacyjna „Robota" zainspirowała paru młodych autorów. Natomiast Teoria Nadistot i jej implikacje mają wielu zwolenników, ale w polskiej SF nikt tą drogą nie poszedł.

– Też to zauważyłem. Nie mam kontynuatorów ani następców. Mało co prawda czytam, ale mam wrażenie, że u nas realizowany jest raczej nurt Zajdla, to znaczy rozpatrywane są różne wersje społeczeństw i losów jednostek w tych społeczeństwach. Mamy dużo powieści politycznych, dających różne wersje ustrojów.

– Może to jest teraz najważniejsze dla pisarza fantastycznego w Polsce?

– Mnie to nie interesuje. Boję się, że wszystko tu już powiedziano wiele razy. Pisarz fantastyczny... o właśnie, przy okazji chciałbym się wypowiedzieć na istotny temat – czym dla mnie jest fantastyka, a przede wszystkim czym różni się od zwykłej beletrystyki. Daremnie czekam na to pytanie od wielu lat. Otóż przede wszystkim bardzo trudno zdefiniować samą fantastykę, każdą wybitną książkę można właściwie tu zaliczyć. Na przykład w konwencji XIX-wiecznej autorzy wchodzący w rolę narratora-Boga, wiedzący wszystko co bohater myśli, co zrobi – to było przecież bardzo fantastyczne i nic z realizmem nie miało wspólnego. Ale jest coś co fantastykę i beletrystykę różnicuje wyraźnie – to zainteresowanie się ludzkością bądź człowiekiem. Bo pomiędzy ludzkością a człowiekiem nie ma porozumienia w podstawowej sprawie. Ludzkość rozrasta się w czasie i przestrzeni, jest wieczna. Człowiek jest ograniczony. Zagrożenia człowieka nie są zagrożeniami dla ludzkości, bo gdyby nawet zginęło 90% czy 99% ludzi, to ludzkość może się odrodzić. Przed nią nie ma niebezpieczeństwa zagłady absolutnej. Człowiek przeciwnie, ma pewność ograniczenia w czasie. Dlatego ma prawo bać się, szukać pocieszenia i wsparcia w tej dziedzinie, które mu daje beletrystyka, filozofia bądź religia. Patrząc z takiego punktu widzenia widać, że ludzkość żadnego właściwie wsparcia nie potrzebuje. I fantastyka, prawdziwa fantastyka, zajmuje się według mnie właśnie ludzkością. Nawet jeśli fantastyczni autorzy dają swym bohaterom imiona i nazwiska, to postaci te nie rozwiązują problemów człowieka tylko problemy ludzkości. A przed ludzkością nie ma problemów egzystencjalnych.

– Mogę sobie znakomicie wyobrazić fantastykę, która mówi o człowieku.

– W dyskusjach o literaturze nie powinno się w ogóle używać słowa „fantastyka", bo znaczy ono zbyt wiele. Proponuję następującą merytoryczną klasyfikację literatury. Każda literatura czegoś broni: SF – ludzkości; literatura polityczna – narodu bądź jakiejś grupy; literatura piękna – człowieka.

– Jaki typ literatury w takim razie uprawia według ciebie Adam Wiśniewski-Snerg?

– Typ trzeci oczywiście. Wzbogacony elementami SF. Choć nie mam pewności czy słowo „wzbogacony" jest tu właściwe.

– Mówiliśmy, że Snerg nie ma kontynuatorów. Czy sam Snerg kogoś naśladuje? W wydanej w 1960 roku minipowieści Adama Hollanka „Zbrodnia wielkiego człowieka" są podobne sceny ze zmianami tempa czasu.

– Nie czytałem tej książki i nigdy o niej nie słyszałem. Do scen ze skamieniałego miasta w „Robocie" zainspirowała mnie teoria względności Einsteina.

– Jacy są twoi ulubieni pisarze, o ile masz takich?

– Mam, ale spoza fantastyki. W gatunku cenię Lema, jak wszyscy, właściwie wychowałem się na tym pisarzu. Interesowałem się też innymi fantastami, podoba mi się Vonnegut i jego „Śniadanie mistrzów", ale w sumie z SF niewiele sobie cenię. Książki tego gatunku z reguły nudzą mnie, dochodzę najdalej do siódmej strony. Wśród pisarzy najwyżej cenię Franza Kafkę – nie dlatego, że jest pisarzem uznanym przez innych, on mi po prostu szczególnie odpowiada i to od dwudziestego roku życia. Mam manię czytania jego książek, „Zamek" niedawno przeczytałem po raz piąty. Poza tym Bruno Schulz, Witold Gombrowicz, Dostojewski... Nie jestem w swych upodobaniach oryginalny, bo to są pisarze uznani w świecie i u nas, ale na przykład Proust też jest modny, a „W poszukiwaniu straconego czasu" nie przeczytałem. Wolę czytać książkę znaną po raz piąty, by odkryć w niej coś nowego, niż brnąć poza siódmą stronę książki, po której sobie nic nie obiecuję. Jeśli z takim trudem piszę, wciąż poprawiam, „Robota" na przykład trzy razy zmieniałem, tracę pieniądze, bo książka topnieje w oczach, zadaję sobie trud, udoskonalam – to dlaczego inni pozwalają, bym po kilku stronach musiał ich odrzucić. Niech sami czytają swoje rzeczy po parę razy i sami dojdą do wniosku, że trzeba je poprawić.

Rozmawiał **Maciej Parowski**

Kluby

Przy Oficerskiej Szkole Lotniczej w Dęblinie powstał w grudniu ubiegłego roku klub, który już zgłosił akces do Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki. Mimo krótkiego okresu działania może poszczycić się zorganizowaniem kilku spotkań, pokazów filmowych oraz imprezy przeznaczonej dla mieszkańców Dęblina, w programie której znalazła się wystawa grafiki, kiermasz książek, pokaz slajdów z malarstwem SF, konkurs na temat współczesnej literatury fantastyczno-naukowej, pokazy filmów, prezentacja gier komputerowych oraz możliwości ich programowania. Klub liczy w obecnej chwili około 50 członków.

Wszystkim zainteresowanym podaję adres: Klub Fantastyki przy Wojskowym Ośrodku Kultury WOSL, 08-521 Dęblin 3.

★

Od dłuższego już czasu działa przy Bibliotece Publicznej w Hajnówce Koło Miłośników Fantastyki. Liczy w chwili obecnej 25 członków. Będąc w Hajnówce, przy okazji spotkania z naszą redakcją, mogłem stwierdzić, że w klubie panuje niemal rodzinna atmosfera, a członkowie Koła są prawdziwymi miłośnikami fantastyki. Mimo stosunkowo młodego wieku dysponują sporą wiedzą literacką. Trzeba dodać, że spotkanie z redakcją było bardzo udane, co zawsze w dużym stopniu zależy od publiczności.

Adres: Koło Miłośników Fantastyki przy Miejskiej Bibliotece Publicznej, 17-200 Hajnówka, ul. 1 Maja 45.

★

W Dobrym Mieście powstał nowy klub. Działa przy Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury, a opiekuje się nim Warmiński Oddział PSMF. Klub liczy obecnie 17 członków.

Adres: Klub PSMF „Atlantis" przy Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury, 11-040 Dobre Miasto, ul. Fabryczna 6.

Imprezy

Organizowane co roku przez Zielonogórski Oddział PSMF „Ad Astra" Bachanalia Fantastyczne odbędą się w tym roku podczas Dni Zielonej Góry (wrzesień). Będzie to już trzecia impreza pod tą nazwą, a poprzednie dwie należały do bezsprzecznie udanych. Zgodnie z tradycją organizatorzy rezerwują sporo miejsc dla osób nie zrzeszonych w klubach. Bliższe informacje będzie można uzyskać pod adresem: Oddział PSMF Zielona Góra, ul. Sulechowska 4.

★

W „Fantastyce" nr 3/87 pisałem o przeniesieniu imprezy Warmińskiego Oddziału PSMF na maj br. Termin ten uległ ponownej zmianie: impreza odbędzie się w październiku br. Zainteresowanych prosimy o kontakt pod adresem: Warmiński Oddział PSMF „Stalker", OKTR Akces, 10-401 Olsztyn, ul. Pana Tadeusza 6.

Feniks i SFera

Z prawdziwą przykrością muszę zawiadomić liczne już rzesze czytelników i miłośników biuletynów PSMF „Feniks" i „SFera", że oba pisma jeszcze nie otrzymały zgody na ukazywanie się w roku 1987.

Mak

„*Księżyc – piękna planeta, co miłość rodzi*" – pisał w czternastym stuleciu Dante Alighieri. Nie była to tylko poetycka przenośnia: Dante wyraził w ten sposób bardzo stare przekonanie ludzi, że Księżyc wywiera na nich jakiś wpływ. Nie jest bowiem przypadkiem, że od zarania naszych dziejów satelita Ziemi był symbolem tajemnicy i miłości – ale także lęku i śmierci. Symbolika lunarna (księżycowa) odgrywała zawsze wielką rolę w mitologii i magii i do dziś przetrwała w życiu plemion nie uległych jeszcze wpływom cywilizacji.

Z tamtej strony lustra

Co nam chce powiedzieć Księżyc?

Maciej Iłowiecki

Czy u źródeł tego leżało lękliwe zdumienie, jakie pierwotni łowcy musieli odczuwać na widok kuli niepodobnej do żadnego innego obiektu na niebie, która w dodatku cyklicznie zmieniała swój kształt? Koczującym hordom zimny, smutny blask Księżyca i zarazem przypominająca ludzką twarz jego tarcza musiały się wydawać znakiem wielkiej tajemnicy. Od najdawniejszych czasów zauważono również niezwykły związek cyklu płciowego kobiety z cyklem księżycowym.

Zatem jednak miłość i Księżyc? W XX wieku wykazano, że jajeczkowanie u kobiet (a więc zdolność do zapłodnienia) występuje najczęściej podczas nowiu lub pełni i w tym właśnie czasie rośnie gwałtownie potencjał elektryczny kobiecego organizmu i w specyficzny sposób wzrasta atrakcyjność kobiety, ujawniająca się różnymi nieuchwytnymi bodźcami, działającymi na mężczyzn. Zależność atrakcyjności seksualnej od okresu płodności wydaje się bardzo rozsądnym wynalazkiem ewolucji, a cel tego wynalazku jest oczywisty: dobro gatunku. Zależność ta u wszystkich zwierząt jest całkowita i absolutnie wiążąca. Po prostu samiec czuje pociąg do samicy tylko w okresie jej płodności. I tylko gatunek ludzki wyrwał się z tej bezpośredniej zależności, w czym niektórzy upatrują nawet przekleństwo naszej kondycji, inni zaś widzą w tym, wręcz przeciwnie, jej jedyne i prawdziwe urozmaicenie.

Zostawmy jednak tę kwestię; w tej chwili interesuje nas fakt, że siła męskiego pociągu do kobiet w jakiś sposób jest jednak, choćby pośrednio, związana z Księżycem; związki Księżyca z miłością nie są więc wynalazkiem poetów, choć byłoby smutne, gdyby utraciły swój poetycki romantyzm.

Jest przecież pewne, że nasi przodkowie w zamierzchłych czasach zauważali już także i inne związki Księżyca z przyrodą na Ziemi. Może najpierw spostrzegli, że u nich samych i u wielu zwierząt pełnia wywołuje jakiś dziwny niepokój, na przykład psy i wilki wyją do Księżyca. Być może nieco później zauważyli, iż różne lecznicze rośliny działają najskuteczniej wtedy, kiedy zostały zebrane w czasie pełni lub też właśnie w czasie nowiu. Przetrwało to w różnych starych przepisach, w baśniach oraz legendach, a w naszych czasach stanowiło dobry pretekst do wyśmiewania zabobonów i przesądów. Drwić ze spraw, których się nie rozumie, nauczyła nas, niestety, współczesna nauka (czy też – sprawiedliwiej byłoby powiedzieć – jej wulgaryzatorzy). A przecież ta sama nauka – dopiero niedawno – znalazła wyjaśnienie tych przesądów. Oto po prostu pewne substancje lecznicze, różne alkaloidy, olejki itp. gromadzą się w niektórych roślinach najintensywniej właśnie w świetle Księżyca, w czasie pełni, często w określonej godzinie nocy. Pewne cykle fizjologiczne ludzi, zwierząt i roślin związane są cyklem księżycowym i jest to fakt przyrodniczy, którego negować już się nie da.

Zresztą dotyczy to również przyrody martwej. Niewątpliwe są związki stadiów Księżyca z pogodą, bo najzwyczajniej w świecie tak wielki obiekt bliski Ziemi musi wywoływać wpływ – choćby wyłącznie grawitacyjny – na stan atmosfery, tej otoczki gazowej naszej planety, której delikatne nawet fluktuacje mogą wywołać potężne zaburzenia meteorologiczne. Niesłusznie więc sceptycy wyśmiewali przez lata Pliniusza Starszego, który 19 stuleci temu ogłosił spostrzeżenie, iż pełnia Księżyca sprowadza deszcz: w XX wieku stwierdzono nieprzypadkową korelację statystyczną, z której można wyciągnąć taki wniosek: w krótkim czasie po nowiu lub pełni dość często dochodzi do ulewy, przynajmniej w tych rejonach, gdzie deszcze nie są czymś nadzwyczajnym. Również cyklony i trąby powietrzne występują w czasie nowiu i pełni częściej (przewaga wynosi 25%), burz na morzu dotyczy to w jeszcze większym stopniu.

W sferach występowania trzęsień Ziemi różne ludowe wierzenia również wiążą te klęski z Księżycem. Naturalnie, dziś już tyle wiadomo o przyczynach trzęsienia Ziemi, że wpływ Księżyca może być uznany tylko za jeden z wielu czynników „bodźcowych", doprowadzających czasem do wzmożenia istniejących w zewnętrznych warstwach globu napięć. Niemniej jednak statystyki trzęsień Ziemi wydają się wskazywać nieprzypadkowe związki z fazami Księżyca.

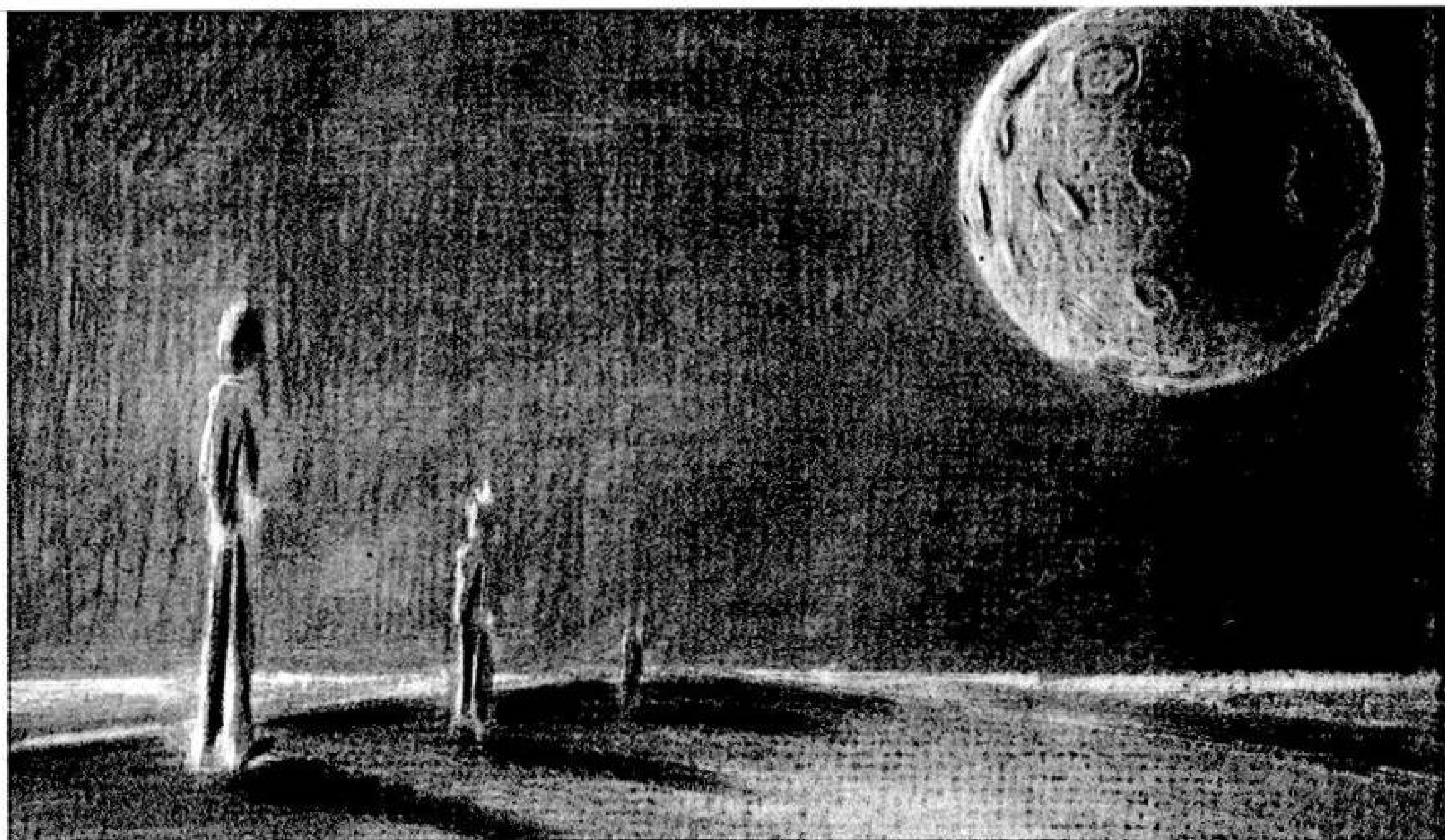
O tym, że Księżyc jest odpowiedzialny za powszechne na Ziemi zjawisko przypływów i odpływów morza, wie dziś każdy uczeń. Zdumiewający jest raczej fakt, że wspomniany Pliniusz Starszy, wielki naturalista starożytnego Rzymu, sądził podobnie, choć przecież nie mógł wiedzieć nic o grawitacji, czyli o przyciąganiu wód przez potężnego satelitę. Wierzono w liczne rzeczy, o których pisał uczony Rzymianin, a które dziś wydają się absurdalne i naiwne – ale akurat odpowiedzialność Księżyca za ruchy wód morskich wydawała się przez długie wieki nie do przyjęcia. Nawet wielki Galileusz wiązał pływowe ruchy wód z ruchem Ziemi wokół Słońca i był to jego zdaniem jeden z ważniejszych argumentów na rzecz teorii Kopernika. Zdarza się w historii nauki stosunkowo często, że fałszywa przesłanka służy wsparciem prawidłowemu wnioskowi, ale jeszcze częściej na odwrót – z prawdziwych przesłanek wyciąga się fałszywe wnioski.

Wracając do pływów morskich, można snuć domysły, że odegrały one wielką rolę w ewolucji życia na Ziemi, być może też umożliwiły wyjście życia z morza na lądy. Muły nadbrzeżne, cyklicznie zalewane wodami przypływów, mogły być swoistym laboratorium biogenetycznym (biogeneza – tworzenie życia), później zaś stały się również swoistym poligonem doświadczalnym dla istot morskich, które próbowały przystosowywać się do okresowego braku wody w czasie odpływu. Krótko mówiąc, wybrzeża dzięki przypływom i odpływom były i są klasyczną strefą przejściową, a w takich strefach, w warunkach stale zmiennych, ewolucja życia bywała najszybsza. Jeśli słuszne są te koncepcje (istnieją dziś również inne), związki życia z Księżycem stają się jeszcze głębsze.

Jest zresztą oczywiste, że gigantyczne ciało niebieskie, ponad 73 tryliony ton materii, kula o średnicy równej przeszło jednej czwartej średnicy Ziemi, wirująca wokół naszej planety w średniej odległości około 380 tys. km – nie może nie wywierać wpływu na to, co dzieje się na Ziemi. Satelita Ziemi ma największe względne (to znaczy w porównaniu do swej planety) rozmiary spośród 32 księżyców Układu Słonecznego – i z tego powodu wielu astronomów traktuje układ Ziemia–Księżyc jako planetę podwójną.

Najbliższy towarzysz Ziemi jest jedynym – do dziś – obiektem pozaziemskim, na którym byli ludzie (następnym może będzie Mars, ale kiedy?). I mimo że jest tak bliski, że jest najlepiej – po Ziemi – poznanym obiektem Układu Słonecznego i że byli na nim ludzie – wciąż nie wiemy, jak właściwie powstał i jak tłumaczyć pewne zjawiska z nim związane. Jest to doprawdy zdumiewające, ale po księżycowych wyprawach ludzi i automatów, po analizach gruntu księżycowego nie tyle zwiększyła się nasza wiedza o Srebrnym Globie, ile raczej zwiększyła niewiedza! Polega to na tym, iż dotychczasowy zbiór informacji o Księżycu jest niespójny, nie pasuje do żadnej teorii – w tym sensie, że jeśli jedne informacje dowodzą czegoś, to inne – czegoś właśnie przeciwnego. Jak powiedział któryś ze specjalistów, dane na temat Księżyca są takie, jakby dotyczyły kilku różnych ciał niebieskich.

Uczeni nadal toczą spory, czy Księżyc powstał jednocześnie z Ziemią z obłoku pramaterii, czy też był kiedyś samodzielną planetą (Luną), przechwyconą przez grawitację ziemską, czy też jest po prostu cząstką Ziemi, kawałem jej własnego ciała, wyrwanym przez jakąś kosmiczną katastrofę, zderzenie z innym ciałem niebieskim. Pewne ostatnie badania przyniosły wiele argumentów na rzecz tej trzeciej hipotezy, ale


Marek Zalejski

może dlatego, że katastrofy są teraz w ogóle modne?

Kilka lat temu krążyły uporczywe plotki, że NASA (Amerykańska Agencja Kosmiczna, organizująca wyprawy pozaziemskie) zataiła pewne taśmy, na których nagrano rozmowy z uczestnikami wypraw księżycowych. Lunonauci mieliby zobaczyć na Księżycu COŚ NIEZWYKŁEGO..., coś co musieli zostawić tu OBCY. Ale dlaczego tak niezwykłą informację miano by zatajać?

W 1970 r. w „Komsomolskiej Prawdzie" w ZSRR ukazał się artykuł młodych naukowców, Wasina i Szczerbakowa. Stawiali oni tezę najdziwniejszą ze wszystkich dotychczasowych: że Księżyc jest w całości sztucznym tworem, gigantycznym statkiem kosmicznym z głębin Wszechświata, przypadkowo uwięzionym kiedyś w strefie przyciągania Ziemi. Miałby to być rodzaj olbrzymiej, automatycznej sondy kosmicznej bez załogi... Najśmieszniejsze, że hipoteza „sztucznego tworu" w sposób spójny wyjaśnia pewne niewyjaśnione właściwości Księżyca. Nie oznacza to wszakże, iż jest to hipoteza trafna.

Przypuszczam, że zagadki Srebrnego Globu są wystarczająco tajemnicze i dziwne, nie ma potrzeby dorabiać Księżycowi jeszcze sztucznego pochodzenia, chociaż – jak wiadomo – osobiście uwielbiam hipotezy nieprawdopodobne i dziwaczne.

Zatem wracam jeszcze do związków Księżyca z życiem. Przypomnę słynne doświadczenie biologa z USA, Fredericka Browna. Chciał on zbadać, jaki bodziec skłania nieruchawe mięczaki, ostrygi, do otwierania skorupek w czasie przypływu morza. Wydaje się to na pozór oczywiste: napływająca woda niesie miliony żyjątek planktonowych; ostrygi żywią się nimi, odfiltrowując wodę i dlatego otwierają skorupki w trakcie przypływu. Niby oczywiste – ale skąd wiedzą, że jest właśnie przypływ? Nie czują tego przez twardą skorupkę muszli. Brown wywiózł nieszczęsne ostrygi o 1500 km od wybrzeży Atlantyku i umieścił je w akwariach w stojącej wodzie morskiej, także pełnej planktonu. Ostrygi jakby nigdy nic nadal otwierały skorupki w tym dokładnie czasie, kiedy o półtora tysiąca kilometrów od akwarium, w ich dawnym środowisku następował właśnie przypływ. Więc nie sam ruch wody wywołuje reakcję otwierania muszli. Ale wkrótce nastąpiła rzecz dziwna: termin otwierania przesunął się dokładnie na tę godzinę, o której wystąpiłby przypływ wód w tym miejscu geograficznym, gdzie teraz mieszkały mięczaki, gdyby oczywiście sięgało tu morze. Innymi słowy – ostrygi reagowały na pozycję Księżyca, który – jak stwierdziliśmy wcześniej – wywołuje pływy morskie!

Stało się jasne, że organizmy zwierząt (potem udowodniono, że dotyczy to wielu gatunków, także zresztą lądowych) w jakiś sposób rejestrują położenie Księżyca. Wiadomo na przykład, że wiele drobnych gryzoni w czasie pełni lub nowiu wykazuje największą ruchliwość (zmieniają się wtedy różne wskaźniki fizjologiczne w ich organizmach – jak ciśnienie krwi, temperatura, stężenie we krwi różnych soli i hormonów itd.). Niektóre ryby wędrujące ruszają w dalekie podróże wówczas, kiedy pewien hormon – tyroksyna – osiąga w ich krwi odpowiednie stężenie. Dzieje się to zawsze przy określonej fazie Księżyca. Pora rozpoczęcia wędrówki przez łososie i pstrągi (bo je głównie badano) nie zależy od długości dnia, pogody, temperatury – zależy wyłącznie od fazy Księżyca.

Łatwo się domyślić, że Księżyc musi także jakoś wpływać na fizjologię ludzi. O jego związkach z cyklami płodności wspomniałem wcześniej. Ale również bardzo dawno zauważono nasilanie się objawów pewnych chorób w czasie różnych faz Księżyca (najczęściej w czasie pełni). Dotyczy to na przykład epilepsji, gruźlicy, astmy, malarii, migreny, bezsenności, pewnych chorób nerek lub tzw. dny (podagry) – jak widać są to choroby o różnej, jak to się mówi, etiologii (wywołane przez różne przyczyny, nie mające jakiejś wspólnej podstawy). Dopiero niedawno stwierdzono doświadczalnie, że cyklicznie pojawiające się zmiany w ludzkiej krwi (np. zmiany krzepliwości) związane są również z cyklem księżycowym. W czasie pełni krzepliwość bywa najmniejsza, najłatwiej wtedy o krwotoki, najtrudniej zatamować krew. Ciekawe, że wiedzieli o tym lekarze średniowieczni i puszczali krew pacjentom (był to przecież kiedyś powszechny sposób leczenia niemal każdej dolegliwości) tylko w określonych fazach Księżyca, chyba że przypadek był nagły.

Niewątpliwa jest też korelacja między fazami Księżyca a nasilaniem się objawów chorób psychicznych lub w ogóle przypadkami zachorowań na te choroby. Udowodniono to, porównując statystyki szpitali psychiatrycznych z cyklami księżycowymi. Czy zatem jest przypadkiem, że niektóre plemiona odległe od cywilizacji z dawien dawna przechowują obyczaj, że zbrodnie popełnione w czasie pełni Księżyca karze się łagodniej? Co oznacza, że wedle statystyk amerykańskiej policji istnieje pewna zbieżność krzywej liczby przestępstw w czasie z krzywą cyklu księżycowego?

Zresztą, mało jest chyba w ogóle ludzi, którzy by w jakiś sposób nie odczuwali jednak pełni Księżyca, których system nerwowy nie rejestrowałby (niekoniecznie w sposób świadomy) cyklu przemian księżycowych. No, a lunatycy? Do dziś nie wiadomo, czym właściwie jest lunatyzm, dlaczego też ulegają mu tylko niektórzy.

Istnieje koncepcja, iż Księżyc wpływa na ludzki system nerwowy (w ogóle na organizmy żyjące na Ziemi) pośrednio – poprzez zmiany ziemskiego pola magnetycznego, które wywołuje swym ruchem wokół Ziemi. Może tu oczywiście wchodzić w grę wiele innych czynników. Ogrom tajemnic pozostaje jeszcze do zbadania. Możemy tylko coraz bardziej zyskiwać na pewności, iż związki naszych organizmów z Kosmosem są jednak głębsze i silniejsze – i być może w przesądach naszych przodków tkwiły jakieś racjonalne korzenie.

W starym micie greckim Selene – bogini Księżyca, zakochała się w pięknym pasterzu Endymionie. Chcąc go zatrzymać przy sobie, ucałowała Endymiona – pocałunek Selene wywołał wieczny sen, a Endymion pozostał u Greków symbolem pięknej śmierci.

Dlaczego u tak wielu ludów symbolika Księżyca jest symboliką śmierci? Dlaczego wszelkie zjawy, upiory i wilkołaki upodobały sobie czas Księżyca? Dlaczego światło Księżycowe kojarzy się z czymś upiornym? Dlaczego tak często rzeczywiście w czasie pełni ogarnia nas niepokój? Czy jest to narzucone przez stare obyczaje, kulturę, literaturę, czy może ma głębsze biologiczne korzenie?

Kiedy 18 lat temu (już 18!) załoga Apollo 10 przywiozła na Ziemię pierwszy okruch Księżyca, amerykański pisarz Norman Mailer nie mógł powstrzymać się od okrzyku: *„Cudowny mały kamień z Księżyca! Cóż u diabła chciał powiedzieć?"* Właśnie. Co nam chce powiedzieć Księżyc? ■



Bajki nie tylko dla dzieci

Ogromna popularność fantasy wydaje się świadczyć, że to nie zło, jak próbowało nam wmówić wielu całkiem niegłupich ludzi, lecz dobro jest dla człowieka fascynujące i pociągające. Bo przecież wszystkie książki i filmy tego gatunku mówią zawsze o jednym: o walce dobra ze złem.

W zamierzchłej przeszłości (podobnie jak w odległej przyszłości) może zdarzyć się wszystko. W fantasy wiarę w cudowne wynalazki, na której zasadza się SF, zastąpiono wiarą w magię, w tajemne siły dostępne jedynie dla nielicznych (podobnie zresztą jak i prawa fizyki).

Na ekrany kin wszedł właśnie film, opowiadający o walce dobra ze złem; o świecie, w którym zdarzają się rzeczy, wydawałoby się, niemożliwe. Obraz ten, „Nieśmiertelny" (Highlander), podobnie jak „Terminator" czy „Blade Runner" – jest filmem łączącym elementy fantasy i miejskiego dreszczowca. Dzięki temu pomieszaniu konwencji udało się utrzymać przez cały czas trwania niezłe tempo filmu.

Akcja rozpoczyna się w 1985 roku w Nowym Jorku meczem zapaśniczym. Ale już w następnej sekwencji, w scenerii garaży pod Madison Square Garden dwóch nie wyróżniających się niczym panów stacza pojedynek na miecze.

Tłem muzycznym tego epizodu jest nagranie grupy rockowej „Queen", towarzyszące nam nadal, gdy przenosimy się do szesnastowiecznej Szkocji, żeby spotkać tam znowu zwycięzcę pojedynku na miecze – Connora MacLeada.

W świecie filmu nieśmiertelność, o której zawsze marzyła ludzkość, jest udziałem niewielkiej grupy wybrańców. Czy któryś z nich przyznałby się, że posiada cechę, która choć daje niewątpliwe korzyści, czyni jednak z niego odmieńca? MacLead boleśnie odczuwa konsekwencje swej innośći na własnej skórze. Straszliwie raniony w bitwie przez złowrogiego rycerza Kurgana – ożywa. Dla jego ziomków jest to niepojęte i przerażające, widzą w tym dzieło szatana. Niedoszły nieboszczyk zostaje wypędzony z rodzinnej wioski.

Christopher Lambert jest w roli Connora MacLeada bardzo przekonywający. Równie naturalny w XVI jak i w XX wieku, początkowo nie może zrozumieć co się z nim stało. Kim jest, uświadomi mu dopiero Ramirez (Sean Connery), który odnajduje go, żeby stać się jego nauczycielem – zarówno fechtunku, jak i zasad walki czekającej go w przyszłości. Okazuje się bowiem, że będąc nieśmiertelnym można zginąć, ale tylko z ręki innego nieśmiertelnego.

Przeciwnikiem Connora jest demoniczny Kurgan, którego gra Nancy Brown. Kreacja tego aktora jest niesłychanie sugestywna: podobnie jak Lambert, Brown radzi sobie dobrze zarówno w skórze złowieszczego kniazia, jak i nieco zboczonego nowojorskiego punka. Przy tym ucieleśnia on zło w takim stopniu, że widz ani przez chwilę nie ma wątpliwości kto wygra.

W „Nieśmiertelnym" nie brakuje właściwie niczego, czym współczesny film ekscytuje widza, od realistycznie pokazanej bitwy klanowej na terenach średniowiecznej Szkocji po rajdy samochodowe na ulicach Nowego Jorku. Nie mogło też zabraknąć i kobiet.

Ramirez przygotowując Connora, radzi mu między innymi, żeby ten nie wiązał się z kobietami, które są śmiertelne. Któż jednak przyjąłby taką radę opierając się tylko na doświadczeniu innych. MacLead przeżywa piękny romans z niewinnym blond dziewczęciem imieniem Heather. Żyje z nią długo i szczęśliwie, prowadząc spokojny żywot rolnika. Ale ich wspólna droga nie może zakończyć się wspólnym kresem.

W pięć wieków później zwiąże się z Brendą Wyatt (Roxanne Hart). Jest ona ekspertem sądowym policji nowojorskiej, a jednocześnie specjalistką od broni średniowiecznej. Inne czasy, inne kobiety.

W XX wieku z grupy nieśmiertelnych nie pozostało już wielu. Większość zginęła z ręki okrutnego Kurgana, pragnącego sięgnąć po Wielką Nagrodę, czekającą na ostatniego i jedynego z nich. Film nie daje odpowiedzi na pytanie przez kogo nagroda będzie dana ani dlaczego tylko nieliczni posiedli nieśmiertelność. Światem fantasy rządzą nieznane siły, których zwykły śmiertelnik nie jest w stanie zrozumieć i poznać (tak jak nie poznaliśmy do końca praw rządzących wszechświatem, Ziemią i nami samymi).

W sumie „Nieśmiertelny" jest dobrą zabawą i w porównaniu z innymi filmami tego gatunku (których i tak poza „Nie kończącą się opowieścią" nie możemy obejrzeć w kinie) jest bajką opowiedzianą inteligentnie.

Reżyser Russel Mulcahy, którego poprzednim filmem był australijski horror „Razorback" lubi pracować w plenerze, co widać wyraźnie w „Nieśmiertelnym". Przy tym film został bardzo pięknie sfotografowany przez Gerry'ego Fishera, szczególną urodę mają sceny rozgrywające się na wzgórzach Szkocji.

Dodać można, że film został bardzo szybko sprowadzony na nasze ekrany, powstał bowiem w 1986 roku.

Również w ubiegłym roku wszedł na ekrany kin (tym razem niestety tylko zachodnich) nowy obraz Ridleya Scotta. „Legenda" (Legend) jest także filmem fantasy, ale tu nie ma mowy o jakimkolwiek mieszaniu gatunków.

Nazwisko reżysera dobrze jest znane wszystkim miłośnikom kina SF. Scott zdobywszy duże doświadczenie w dziedzinie fotografii, rysunku, scenografii i filmu reklamowego zadebiutował w długim metrażu „Pojedynkiem" (Duellistes, 1977). Już w tej pierwszej próbie okazał się jednym z najbardziej zdolnych twórców swego pokolenia. W 1979 r. potwierdził swe umiejętności dramaturga realizując film „Obcy, 8 pasażer Nostromo" (Alien), jeden z największych dreszczowców w historii kina SF. W 1981 r. robi w Hollywood film „Blade Runner" (obraz tak znaczący w historii kina fantastycznego, że chciałabym wkrótce napisać o nim oddzielnie). Już wtedy przygotowywał się do nakręcenia „Legendy".

Niestety, ukończony w zeszłym roku film nie dorównuje wcześniejszym dokonaniom Ridleya Scotta. Jest to przepięknie sfotografowana bajka, opowiadająca o zaczarowanym królestwie, w którym ludzie i zwierzęta żyją obok siebie pod ochroną świętych jednorożców. Kraina pokazana w filmie jest rzeczywiście urocza, ale nic się w niej nie dzieje. Tylko księżniczka Lili spaceruje po lesie ze swym przyjacielem Jackiem, żyjącym w harmonii z siłami natury.

Spokojne szczęście niełatwo jest przedstawić na ekranie, dlatego też musi zostać zawiązany dramat. W głębinach ziemi mieszka Pan Ciemności. Siedząc w swym wielkim, ponurym pałacu snuje plany uczynienia całego świata swoim królestwem. Lili nieświadomie ułatwia mu realizację tych planów. Krainę słońca ogarnia wieczna zima. Musi rozpocząć się walka. Wezmą w niej udział gobliny po stronie ciemności i przeciwstawiający się im Jack z grupą elfów.

W roli przywódcy elfów, Honethorna Gumpa występuje pełen wyrazu, o przykuwającej wzrok twarzy David Bennet (odtwórca roli Oskara w „Blaszanym bębenku"). O innych aktorach trudno coś powiedzieć. Nie tworzą pełnokrwistych postaci, są raczej symbolami (niewinności, dobra, zła).

Przygotowując się do „Legendy" Scott rozważał różne jej wersje. Na początku miała to być adaptacja „Tristana i Izoldy" (ta koncepcja powstała jeszcze podczas kręcenia „Pojedynku", została jednak odrzucona, ponieważ zapowiadał się film dla elity, a Scott chce tworzyć dla szerokiej publiczności). W trakcie realizacji „Blade Runnera" reżyser odkrył pisarza-scenarzystę Williama Hjortsberga, z którym rozpatrywał pomysł nakręcenia „Pięknej i Bestii" („La Belle et la Bête" Cocteau). Przejrzeli także wspólnie większość klasycznych baśni, ale te okazały się albo za krótkie, albo nazbyt złożone. Pierwszy scenariusz powstał pod koniec pracy nad „Blade Runnerem" i czerpał pełnymi garściami z różnych znanych źródeł. Był jednak za długi i uznano, że jego realizacja byłaby zbyt kosztowna. Dokonano więc wielu cięć.

Koncepcja stworzenia scenariusza będącego wyłącznie zapożyczeniami była może dość oryginalna, niestety musiał ucierpieć na tym sam film. Reżyser chciał prawdopodobnie pójść w ślady wielkich twórców literatury korzystających często z ludowych podań i baśni. Scott wykorzystał poza wymienioną wcześniej „Piękną i Bestią", wiele innych utworów, wśród nich „Władcę Pierścieni" Tolkiena, „Lew, czarownicę i starą szafę" Lewisa oraz mit o Orfeuszu i Eurydyce.

Gęsto też w filmie od postaci i rekwizytów występujących w baśniach i w fantasy (jednorożec, dziewica, pierścień itd.). Dlatego też mimo wysmakowanych malarskich obrazów, po prostu trochę się na tym filmie nudzimy.

Scott pragnąc stworzyć film doskonały zaserwował nam jedynie mdławy koktajl z fantasy. Mulcahy nie trzymający się ściśle konwencji nakręcił film dobry.

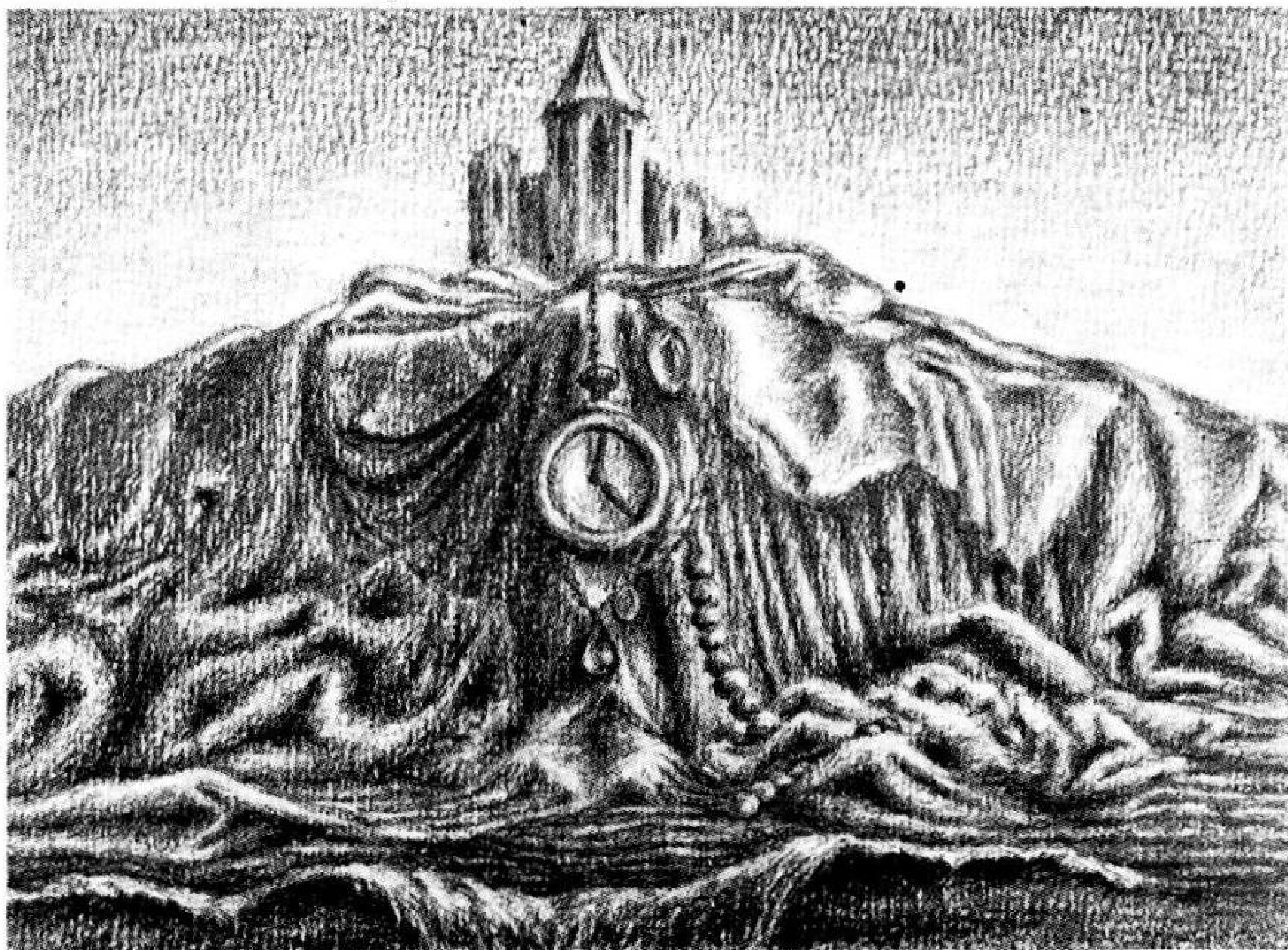
Dorota Malinowska

NIEŚMIERTELNY (Highlander). Reżyseria: Russell Mulcahy. Scenariusz: Gregory Widen, Peter Bellwood, Larry Ferguson wg opowiadania G. Widena. Obsada: Christopher Lambert, Roxanne Hart, Clancy Brown, Sean Connery, Beatie Endey. USA, 1986.

LEGENDA (Legend). Reżyseria: Ridley Scott. Scenariusz: William Hjortsberg. Obsada: Mia Sara, Tom Cruise, Tim Currey, David Bennet, Alice Pleyten. Anglia, 1986.

PS. Omawiany przeze mnie „Terminator" („Fantastyka" nr 4/87) wszedł na ekrany kin polskich pod tytułem „Elektroniczny Morderca".

■


Leszek Golonski

Adam Hollanek

MIĘSO

gdyby można nie jeść
nigdy żadnego mięsa
zdobywanego w bólu
umierania

gdyby się udało
zrównać krwawe rzeźnie
z ziemią wraz z siepaczami
za to że czuli w palcach
kształty zabitych
od wewnątrz

gdybyśmy się nauczyli
z ułamków materii
nieżywej budować krew
która nie byłaby prawdziwa

gdyby zabronić zabijania
nawet pająków
obojętnie o świcie
czy o zmroku złowionych
tygrysowi być tygrysem
myśliwemu myśliwym

cóż by to była za sublimacja
bez poczucia winy
bez ciała i mięsa
nareszcie roboty
z plastykowymi mózgami

NIELUDZKIE

to nieludzkie że można na księżyc
jest sierpień z posrebrzonym niebem
że mógłbym z tobą wędrować po globie
srebrnym jak po ziemi czy potrzebne
to naszej miłości czy przyjdzie nam
coś z techniki która z nieba kruszce
pościąga na kołyski dla naszych dzieci

TCHNIENIE

jak się przedostać
przez pięcioksiągi mojżesza
almanachy mózgów
przez tę pajęczynę
mądrości do wnętrza
twoich uczuć
i dotknąć miłości
od samego środka
zdobyć niewyrażalną
małość niewysłowioną
zwyczajność przypływ
i odpływ twego tchu
zanim w powietrzu
się rozpłynie

KICZ

gdyby nie było kiczu
jaskrawo malowanych warg
ani wypiętych pośladków
ani zwierzęcych ciągot
okrzyków rozkoszy i strachu
głupich zdrad podłych
podstępów wilczych dołów
podpaleń z czerwonym grzebieniem
jacy bliziutcy boga
prosto do nieba
szlibyśmy nie ludzie

STANZE KOSMICZNE – III

bóg mnie w kościele dziś znalazł
poprzez oczy wszedł we mnie
wraz z krzyżem i przybitymi
doń rękami i nogami jego konie
mnie wlokły w kawałkach skórę
wlokły wzrok wlokły i każdy palec
osobno tak mnie bóg rozłożył
na czynniki pierwsze żeby stwierdzić
czy jeszcze mam trochę jego duszy
a taka dusza może podróżować od razu
do wszystkiego co prawdziwie boskie
trzeba mieć duszę zawsze w pogotowiu

Zamieszczone wiersze pochodzą ze zbioru „Pokuty" opublikowanego nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej w marcu br.